

Przekrój i „Przekrój”
Wspominamy mistrza,
który debiutował na naszych łamach → 6

Kurioza demografii
Do czego namawia Matka Boska
z testem ciężowym? → 24

Ilustratorzy na eksport
Czołówka polskich rysowników
zabłądnie w Berlinie → 46

PRZE KRÓJ

nr 34 (3550), 26 sierpnia 2013, cena: 4,90 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

DEKS
1424

ISSN 0033-2488

34 >

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

Ewa Wanat

Królowa polskiego eteru flirtuje z inteligentami → 12

~~Flower~~ power.



The Beetle. Kiedyś znak czasu. Teraz wyprzedził swoje czasy.

Oryginalny jak zawsze, dynamiczny jak nigdy. The Beetle w swoim nowym wcieleniu potwierdza z całą mocą, że jest jedną z najbardziej wyrazistych ikon motoryzacji. Pokaż, że masz fantazję. Wsiądź do The Beetle.

Skorzystaj z innowacyjnej oferty finansowej. **Teraz wystarczy 695 zł miesięcznie**, by cieszyć się nowym The Beetle. AutoKredyt daje Ci też wybór – po trzech lub czterech latach decydujesz, czy chcesz nadal być właścicielem samochodu, czy wolisz oddać go do salonu i zyskać możliwość wymiany na nowego Volkswagena. Zwróć również uwagę na ubezpieczenie w promocyjnej cenie 1% wartości auta.

O szczegóły zapytaj sprzedawcę.

Volkswagen rekomenduje oleje  **EDGE**

Volkswagen Bank
Kredyt. Leasing. Ubezpieczenia. E-banking.

Volkswagen Safe+
Wszystko, co daje gwarancja. Do 5 lat.

Infolinia: 801 200 400 (opłata jak za jednostkę taryfikacyjną połączenia lokalnego). Niektóre elementy wyposażenia widoczne na zdjęciu nie są dostępne w ofercie. W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa w cyklu łączonym od 4,9 do 7,6 l/100 km, emisja CO₂ od 129 do 176 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji na stronie www.volkswagen.pl

AutoKredyt – reprezentatywny przykład: cena samochodu: 84 884 zł; wkład własny: 25 465 zł; całkowita kwota kredytu: 59 419 zł; stopa oprocentowania kredytu: 4,99%; prowizja bankowa: 3 106 zł; odsetki: 8 078 zł; składka ubezpieczenia komunikacyjnego: 849 zł; składka ubezpieczenia spłaty kredytu: 1 844 zł; rzeczywista roczna stopa oprocentowania: 9,43%; czas obowiązywania umowy: 36 miesięcy; całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta: 73 295 zł; wysokość raty miesięcznej: 881 zł; wysokość ostatniej raty: 41 593 zł. Oferta przy skorzystaniu z ubezpieczenia komunikacyjnego i ubezpieczenia spłaty kredytu oferowanych przez Volkswagen Serwis Ubezpieczeniowy Sp. z o.o.



Das Auto.

ZUZANNA ZIOMECKA



Rząd i Kancelaria Prezydenta stają na głowie, by przekształcić nasz grzyb demograficzny (omślały kapelusz starszaków na chudej nóżce młodziaków) w sprawną piramidę. Te próby to podręcznikowy przykład myślenia „in the box”, czyli skrajnie antyinnovacyjnego. Ja rozumiem, że system stoi na młodej sile roboczej, ale żadna długość urlopu macierzyńskiego ani nawet karta zniżkowa na basen dla rodzin wielodzietnych nie zmienia faktu, że duże rodziny nie mają żadnego sensu. Wykształceni, świadomi ludzie niebrzydzący się antykonceptji rozumieją, że przyszło nam pracować w czasach gospodarczej wańki-wstańki, grubych kosztów edukacji (bo państwowa to raczej wańka bez wstańki) i słabnących więzi rodzinnych. Jeśli więc ktoś ma zbędną gotówkę, prędzej

kupi kawalerkę w ramach inwestycji na starość, niż urodzi dziecko. I żadna ustawa (poza nakazem typu: rodzisz albo płacisz!) ani kampania społeczna (str. 24) tego raczej nie zmieni. Możemy zamknąć oczy i jechać na zderzenie czołowe z katastrofą lub kompletnie zmienić tor myślenia: skoro nie dzieci nas uratują, to zwróćmy się ku starszym. Promujmy zdrowy styl życia, by jak najmniej obciążać NFZ, podkreślajmy wartość doświadczonych mentorów w pracy, przełamujmy kult młodości na rzecz zainteresowania osobami dojrzałymi. Można nawet sięgnąć po najsprawniejszą broń w arsenale matki Polki – poczucie winy. Bo żaden plakat nie sprawi, że urodzę dziecko. Ale taki, który mi wytknie, że zbyt rzadko odwiedzam moje babcię, dałby skutek natychmiastowy.

MARCIN PROKOP



Poszukiwania Świętego Graala mediów trwają. Ten, kto jako pierwszy znajdzie magiczną formułę pozwalającą skutecznie połączyć mechanizmy tradycyjnej prasy z możliwościami Internetu, będzie rządził królestwem medialnym. Na razie wielu śmiałków, w tym wielkie koncerny i biznesowe nazwiska z najwyższej półki, połamało sobie zęby na nieudanych próbach. Bo niby sprawa wydaje się prosta, a jednak nie wystarczy wyjąć treści z gazety i wstawić ich do sieci albo udostępnić płatnej wersji na tablety, żeby zacząć zarabiać. Ostatnio do krucjaty przyłączył się kolejny rycerz. Jeff Bezos, założyciel Amazona, który

za drobniaki wyciągnięte z kamizelki kupił „The Washington Post”, jeden z najbardziej prestiżowych dzienników w USA (str. 32). Świat medialny wstrzymał oddech. Bo jeśli nie Bezos – facet, który doskonale potrafi zarabiać na handlu słowem w Internecie – wie, co zrobić z tym tematem, to kto? Wszyscy oczekują więc cudu, objawienia, wytyczenia nowej drogi. Tymczasem jeden z prawdopodobnych scenariuszy jest taki, że słynna gazeta posłuży jedynie ochronie interesów podatkowych czarodzieja dotcomów, a na wizjonerski przełom przyjdzie nam jeszcze poczekać. Oby tylko krócej niż na odnalezienie Świętego Graala.



AKTUALNOŚCI

- 6 → **POŻEGNANIE** Mistrz absurdu ucieka O Sławomirze Mrożku, który był taki sam jak szwarccharaktery z jego utworów, pisze Cezary Polak / **Życie warte życia** Paweł Chara, fotografik i sekretarz Mrożka, podzielił się z nami osobistym wspomnieniem i kolekcją zdjęć mistrza
- 2 → **BOHATERKA TYGODNIA** Siejemy daleko Z Ewą Wanat, szefową i dyrektorką programową radia RDC, rozmawia Mike Urbaniak

GRUBE SPRAWY

- 24 → **DEMOGRAFIA** By żądz moc mój wzmóc W skuteczność społecznych kampanii prorodzeniowych wątpi Joanna Ćwiek
- 28 → **FINANSE** Zaklinacz rynków Portret Marka Carneya, nowego szefa Banku Anglii, sporządził Grzegorz Siemionczyk
- 32 → **BIZNES** Obywatel Bezos Po co e-miliarderowi papierowa gazeta w portfolio? Zastanawia się Dagny Kurdwanowska
- 36 → **KONKURS PIĘKNOŚCI** Ślicznotki w karocach Patryk Chlewicki, zdjęcia Łukasz Łukasiak
- 40 → **FOTOGRAFIA** Tonie stocznia Agnieszka Berlińska

KULTURA

- 46 → **ILUSTRACJA** Obrazki z wystawy Polska jest gościem honorowym międzynarodowego festiwalu Illustrative w Berlinie. Piszcie Anna Sańczuk
- 52 → **FILM** Młodość siedemdziesięciolatka Na jubileuszowy Festiwal Filmowy w Wenecji zaprasza Barbara Hollender
- 56 → **TEATR** Miłość w ruinach World Trade Center Na sztukę o zamachowcach z WTC zaprasza Mike Urbaniak

- 60 → **ART VOLVER** Nauki ściśle Stepiński w stołecznym Teatrze Nowym, Hirst w CSW
- 62 → **MUZYKA** Recenzje Kucińska o debiucie Archy'ego Marshalla, Winczewski o Moderat
- 64 → **FILM** Recenzje Chrobak odwiedziła kino, Nowakowska ogląda seriale w TV
- 66 → **ZWIASTUN LITERACKI** Słońce Karpat Fragment książki „Bukareszt. Kurz i krew” Małgorzaty Rejmer

ROZMAITOŚCI

- 70 → **MODA** Opium dla mas Nad niebezpiecznymi związkami mody i religii pochylała się Dominika Wasilewska
- 74 → **OD RZECZY** Byt i but O najstarszych trzewikach pisze Franciszek Barwiński
- 76 → **POP-ATRZ** Czapeczki od Tiffany'ego Kuba Dąbrowski
- 78 → **PIERWSZA PRACA** Chciałem być najlepszy Z Damianem Gajdą, szefem działu kultury w Onecie, rozmawia Patryk Chlewicki
- 80 → **WINO** Wina nieistniejące Gdyby Wojciech Bońkowski miał wskazać winiarski kraj przyszłości, byłaby to Turcja

FELIETONY

- 21 → **JAKUB ŻULCZYK** Nadzieja na śmietniku, albo o perłach kultury odkrytych po latach
- 22 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Ruch umysłowo-kołowy, czyli na szosie europoseł Migalski ma rację
- 65 → **ROMAN KURKIEWICZ** Czy miasta istnieją, albo Italo Calvino rządzi

W tym tygodniu nie piszemy...

- ...o ofercie londyńskiego City. Moritz Erhardt, niemiecki student, który odbywał staż w mieszczącym się w stolicy Wielkiej Brytanii oddziale jednego z banków, zmarł z przepracowania. Miał harować po 21 godzin na dobę przez trzy dni. Chwilowo zabrakło nam słów.
- ...o zainteresowaniu rodaków sytuacją międzynarodową. Aktualnie Polacy bardzo się niepokoją alarmującymi doniesieniami z Egiptu. Krwawe starcia w ojczyźnie faraonów troskają ich szczególnie w kontekście chwilowych utrudnień w zabawach typu all inclusive. Grunt to empatia.
- ...o Annie Lisewskiej. Znanej z tego, że pragnie się oddać jak największej liczbie mężczyzn. Na razie wdziękami seksmistrzyni cieszyło się trochę ponad 300 panów. Jeśli licznik Lisewskiej dobieje do tysiąca, powinien się zaciąć.

A Wy nie chcecie czytać...

- ...o tym, dlaczego i komu zależało na pojawieniu się informacji o odejściu Rostowskiego. Narobili społeczeństwu nadziei, a tutaj nic z tego nie wyjdzie. *Bartosz Dębski*
- ...o tym, kto zaczął na plaży oraz czy marynarze nie lubią kibiców (i vice versa). *Michał Biedrzyński*
- ...nie chcemy w ogóle czytać, nasze społeczeństwo nie czyta, są wakacje, dajcie nam wszyscy święty spokój!!! (ironii szukać proszę). *Kamil Gajdek*

W środy pytamy Was na Facebooku, jakie sprawy umieścilibyście w tej rubryce. Wybrane odpowiedzi publikujemy w wydaniu papierowym!



ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Hubert Kropielnicki

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kucińska, Katarzyna
Nowakowska, Cezary Polak, Marek
Raczkowski, Marianna Saska,
Karolina Sulej, Stach Szablowski,
Mike Urbaniak, Jerzy Ziomecki

Stażyści: Iwa Pawlak
Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoedycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnecka

Korekta: Dominika Stepien,
Lidia Scibek

Projekt strony internetowej:
KRCMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rpm.pl)

Biurowie Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl

Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzciński
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:

Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:

prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje:
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 693 70 00 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata Elektroniczna
(e-wydanie, wydanie na tablety):
tel. 801 15 15 15, e-mail:
serwisplatne@rpm.pl

www.przekroj.pl
www.sklep.rp.pl
www.e-kiosk.pl
www.e-gazety.pl

Zdjęcie na okładce:
Kuba Dąbrowski
makiija: Ela Przygoda

CEZARY POLAK, ZDJĘCIA PAWEŁ CHARA

Mistrz absurdu ucieka

Sławomir Mrozek bywał taki jak szwarccharaktery z jego utworów. Był narcyzem, melancholikiem i mizoginem, pił na umór, szpanował luksusowym autem. I być może dlatego potrafił opisać patologie współczesnego świata jak nikt inny. Karierę zaczął w „Przekroju”. Po śmierci składamy mu hołd.

Na kanwie jego biografii można napisać bedeker – po Polsce, Europie, Ameryce, a także Bliskim Wschodzie oraz ZSRR. Ale nie byłby to przewodnik turystyczny, bo turysta podróżując z zamiarem zwiedzania obcego państwa i powrotu do kraju. Mrozek wyjeżdżał nie po to, żeby zrelaksować się na obczyźnie, lecz po to, żeby uciec z ojczyzny albo z poprzedniego miejsca zamieszkania.

Jak na mistrza teatru absurdu przystało, urodził się później, niż zapisano w dokumentach – wpisując datę 29 września 1930 r., kancelista parafii w podkrakowskim Borzęcinie odmłodził go o trzy dni. W dorosłym życiu będzie opowiadał, że już gdy przychodził na świat, rzeczywistość była „jak z Mrożka”. Jego ojciec, urzędnik pocztowy, wraz z kolejnymi awansami przenosił się z rodziną najpierw do Poronina, a potem do Prokocimia.

Jak wspominał autor „Tanga”, wojna, okupacja i nazistowski terror (widział aresztowania sąsiadów, łapanki i brutalność niemieckich żandarmów) były wstrząsem, z którym nie mógł sobie poradzić. To wtedy uciekł po raz pierwszy – na razie mentalnie. Podczas gdy wielu pisarzy odrzuciło traumę wojenną na kartach książek, on nie chciał i nie potrafił. Na temat okupacji milczał prawie cztery dekady. Dopiero w latach 80. wydał poruszający wojenną tematykę dramat „Pieszo”.

Ku chwale Stalina

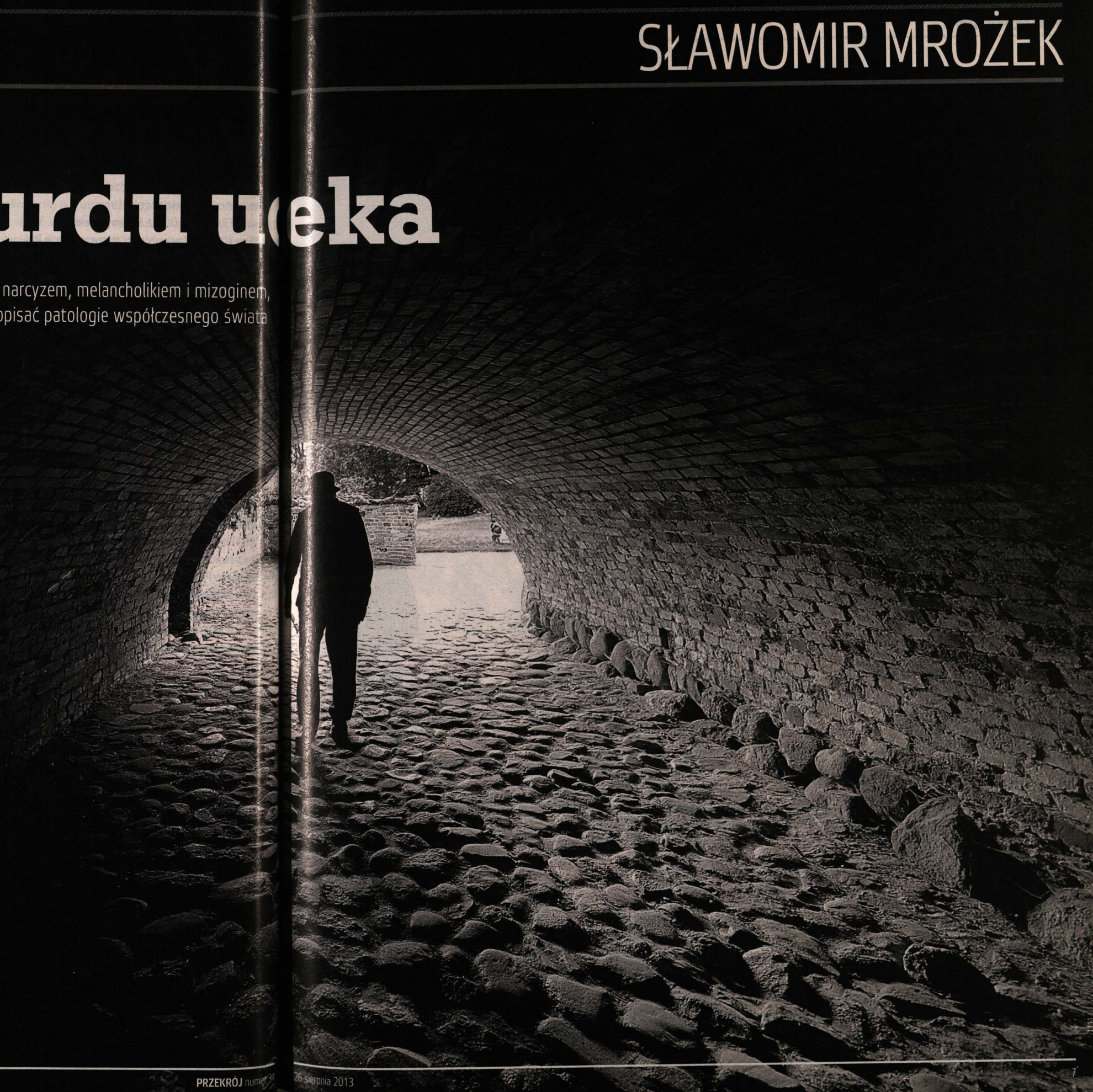
Pierwszą wielką ucieczką Mrozek uciekł w życie jako nastolatek. Po wyprowadzce

z domu tułał się po Krakowie. Rozpoczął i rzucał studia (architekturę, sztuki plastyczne, orientalistykę). W 1950 r. wygrał konkurs „Szpilek” na humoreskę. Na jego talencie poznał się poeta Adam Włodek, prominentna postać krakowskiego środowiska literackiego, ówczesny mąż Wisławy Szymborskiej. Włodek zlecił Mrożkowi napisanie reportażu o Nowej Hucie. 23 lipca 1950 r. tekst ukazał się na łamach „Przekroju”. 20-letni autor spłodził dwustronicowy produkt w duchu epoki, w którym sławił junaków wyrabiających 700 proc. normy, przewodnią rolę Partii i ZSRR, ostrzegał przed wrogami klasowymi. W socrealistycznym zaczerpnięciu trwał sześć lat. „On odszedł. Po wszystkie czasy zostanie Jego wielkość” – napisał po śmierci Stalina w artykule opublikowanym na łamach „Dziennika Polskiego”. Przejrzał na oczy po odwilży październikowej.

W opublikowanym w paryskiej „Kulturze” esaju „Popiół? Diament?” (1983 r.) egzorcyzmował się z komunistycznego zaangażowania. Tłumaczył, że dał się uwieść marksistowsko-leninowskiej wizji szczęśliwego społeczeństwa ze zintensyfikowanej doświadczeniem wojny tęsknoty za normalnym życiem.

Kariera z „Przekroju”

Wróćmy do lat 50. Droga do ideologicznego oczyszczenia, a także trampoliną kariery literackiej Mrożka okazał się „Przekrój”. W siermiężnej pecelewskiej urawniłowce wydawniczej redagowany przez Mariana



Eilego tygodnik był oknem na świat, piśmem, które przeciwstawiało się prymitywizmowi ówczesnego polskiego życia kulturalnego, sterowanego przez partyjnych czynowników.

Do literatury trafił poprzez działalność dziennikarską. „Nieprzypadkowo zapewne debiut Mrożka tak ściśle wiąże się z »Przekrojem«. Dzięki temu Mrozek od razu znalazł się w nurcie, który kształtował oblicze nowej kultury, popularyzując rodzime osiągnięcia sprzed wojny, a także współczesną sztukę, styl życia i literackie mody z Zachodu” – napisała Halina Stephan w monografii „Mrozek”.

Od 1956 r. zamieszcza w „Przekroju” cykle felietonów i nowelek „Ze sztambucha intelektualisty” oraz „Przez okulary Sławomira Mrożka”. Sześć lat później publikuje prześmiewcze historyjki rysunkowe „Polska w obrazach”, „Polak w Paryżu” i „Pamiętnik”. Największy rozgłos przyniósł mu trzeci z kolei cykl – wydany także w formie książkowej – na który składały się pozabawione ornamentów, minimalistyczne rysunki, opatrzone lapidarnymi podpisami. Ich bohaterowie, naszkicowane grubą kreską ludziki, odgrywali rozmaite role i sytuacje ilustrujące polskie przywary i stereotypy narodowe.

Po Krakowie krążą plotki o samotniczym trybie życia Mrożka. Że w Domu Literatów przy Krupniczej, gdzie dostał kwatery, pracuje w rękawiczkach, bo nie chce mu się palić w piecu. Że wychodzi z mieszkania tylko w sprawach zawodowych albo żeby coś przekąsić.

„Era Mrożka” w „Przekroju” skończy się w 1968 r., po tym jak autor opublikuje na Zachodzie list protestacyjny przeciwko wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji. Nazwisko Mrożka wyleci ze stopki redakcyjnej, a jego proza i sztuki teatralne trafią na indeks.

Jestem alkoholikiem

Od pięciu lat Sławomir Mrozek jest na wielkim „gigancie”. W 1963 r. wyemigrował do Włoch – zamieszkał w miasteczku Chiavari na Riwierze. Napisze tam „Tango” (1964), które wprowadzi go na światowe salony i da mu drugie miejsce (po Fredrze) w klasyfikacji autorów najczęściej wy-

stawianych między Odrą a Bugiem. Jest zapraszany, inscenizowany i fetowany w Europie i Ameryce. Mężnieje – także w sensie fizycznym. Zapuszcza wąsy, które do końca życia będą jednym z dwóch nieodłącznych elementów jego wizerunku. Drugim są kapelusiki i kaszkiety, pod którymi ukrywa rysującą się łysinę. Wkrótce z premedytacją ogoli się na tyso.

Zbiera laury po „Tangu” i pogrąża się w depresji – egzystencjalnej i twórczej. „Biada ci, jeśli napiszesz coś, co odniesie sukces. Nigdy się potem z tego nie wygrzebieasz. Będą ci to wypominali do końca życia i zamienisz się w konia, co musi biegać coraz szybciej” – powie po latach. Zazdrości sukcesów Haroldowi Pinterowi. Pije. „Jestem do pewnego stopnia alkoholikiem. Stałem się nim tak, jak zostaje się alkoholikiem, nieznacznie, chyłkiem, nie mówiąc sobie bynajmniej, że się nim jest. Poznaje po kilku symptomach: a) muszę wypić dwa razy więcej, b) tracę kontrolę nad moją głową, kiedy jestem pijany” – notuje w pierwszym tomie „Dzienników”. W trzatomowej edycji zapisków obejmujących lata 1962–1989 (być może ukaże się także czwarty) autor „Rzeźni” dopowiada intymne szczegóły życiorysu, jakby chciał wykonać kolejną wolę i uciec – tym razem swoim biografom.

Bywa wobec siebie brutalnie szczery. „Cało moje życie utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem gnojem” – notuje w 1963 r.

W stronę furii i auta

Pierwszy tom jest zapisem zmagania ze sobą, z Polską, doświadczeniem emigracji i straty po dramatycznej śmierci żony. W drugim, obejmującym lata 1970–1979, Mrozek roztkliwia się nad sobą, przybyszem z gorszej części Europy, ignorowanym przybłędą, który jest „za wielki na Polskę, za mały na świat”. Megalomańskiej frustracji towa-



rzyszą mizoginiczne ataki furii wywołane rozstaniem z wieloletnią partnerką. „Spośród idiotek europejskich największymi idiotkami są Polki. Ach, te kozaczki zadzierzyste, te czupurności, te zuchowatości, te samodzielności »myśli«. (...) Mam już tego wszystkiego dosyć” – notuje.

Jednocześnie przeżywa świetny okres twórczy, pisze m.in. „Rzeźnię” i „Emigrantów”, zarabia i wydaje. Zmienia mieszkanie w Paryżu, kupuje luksusowe auto. W 1977 r. pisze: „Mam jeden cel: 23 marca znaleźć się na drodze w moim nowym samochodzie, który rozwija szybkość do 173 km na godzinę. Za mną jest dziewiętnaście lat urazu, kiedy zawsze wyprzedzały mnie lepsze samochody. Dziewiętnaście lat tłumaczenia sobie, że to nie ma żadnego znaczenia i że jestem zupełnie szczęśliwy w samochodzie, jaki mam: skromnym, ubogim, lecz sympatycznym. Dziewiętnaście lat udawania, że mi na tym nie zależy, że mnie nie obchodzi, że jestem ponad to i obok tego. Za tydzień chcę się pozbyć tego kompleksu”.

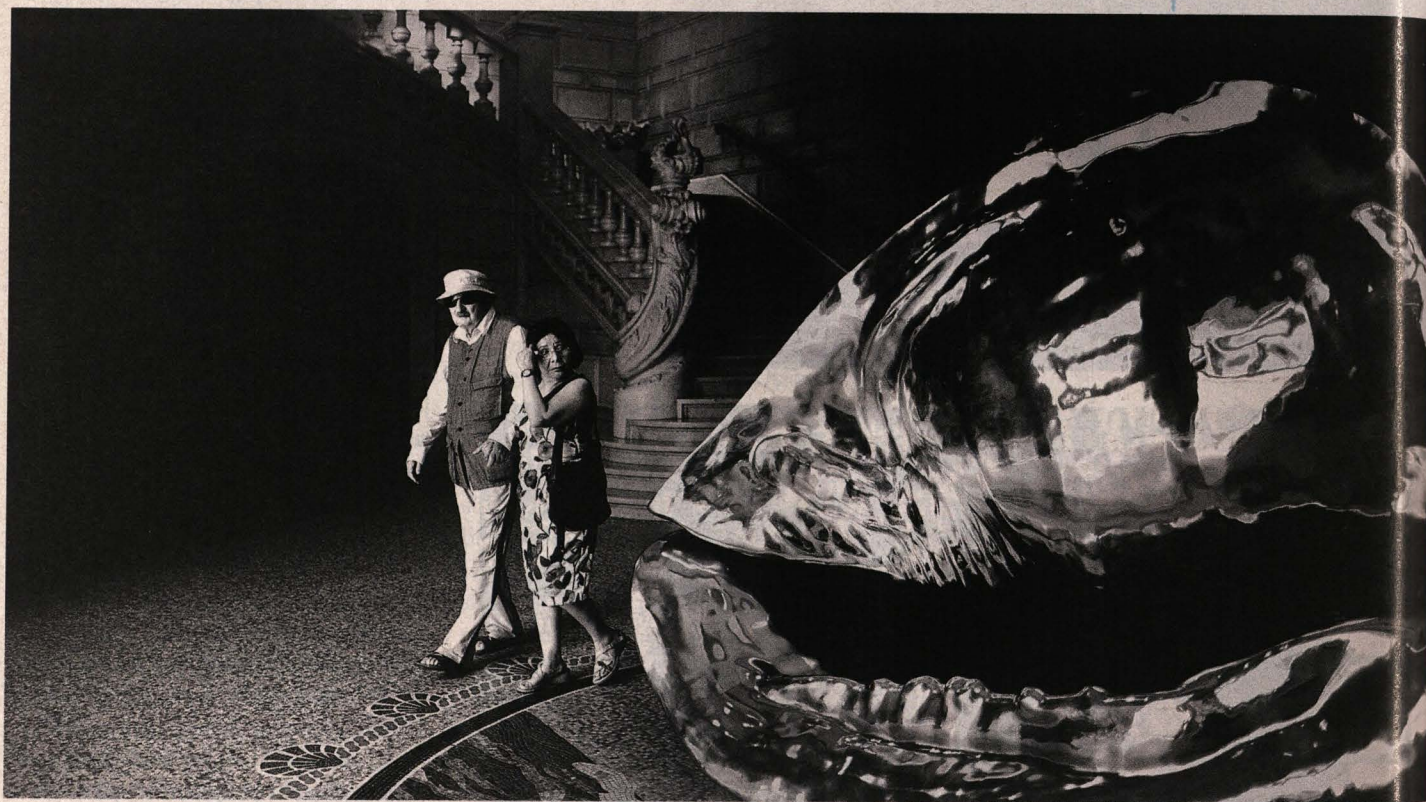
Romansuje. Po śmierci żony w 1969 r. w jego życiu pojawiają się kolejne kobiety. Bywa, że po kilka w tym samym czasie. W „Dzienniku” ukrywa je pod inicjałami: Y., N., D., R.

R., malarka, która po latach sama robi karierę pisarską (rozpozna się jako dziewczynka w czerwonym płaszczyku w „Liście Schindlera” Spielberga), w zapowiadanej na jesień książce „Mrozek. Striptiz neurotyka” Małgorzaty I. Niemczyckiej opowiada, że stosował wobec niej terror emocjonalny, wymagał całkowitego podporządkowania i ułożenia planu doby według własnych potrzeb.

W 1987 r. Mrozek żeni się z Meksykanką Susaną Osorio Rosas. Zamieszkują na ranchu w Meksyku. Tam pisze swoją ostatnią głośną sztukę „Miłość na Krymie”. Wkrótce zdecyduje się na kolejną ucieczkę. Po 33 latach emigracji wraca z małżonką do Polski. W 2002 r. doznaje udaru mózgu, zapada na afazję, z której wychodzi po żmudnej terapii. Komponuje autobiografię i robi kolejną wolę. W 2008 r. wyjeżdża do Francji, o której w latach 80. powiedział, że „skisła”. Osiedla się w Nicei, na Lazurowym Wybrzeżu. Mówi, że niczego istotnego już nie stworzy. Ogłasza dzienniki. Ucieka po raz ostatni. ☞

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ CHARA, FOTOGRAFIK, SEKRETARZ SŁAWOMIRA MROŻKA

Życie warte życia



Święty spokój i prywatność. **Sławomir Mrozek** cenił to sobie ponad wszystko. Wiedziałem o tym. Nieśmiała myśl o wspólnym projekcie zrodziła się lata temu i do dziś czasem trudno mi uwierzyć, że to wszystko się wydarzyło...

Dojrzałem przez lata. Zaczynałem się w dziełach Mistrza, dorastałem do jego myśli i twórczości. Mrozkowie mieszkali jeszcze w Polsce, ale wkrótce wyjechali, osiedli w Nicei, a mnie twórczość pana Sławomira coraz bardziej „infekowała”. Zrodził się we mnie rodzaj szaleństwa na jej punkcie. Miesiącami tylko jedna myśl kłębiła się w głowie: muszę spróbować pokazać go światu moimi oczami. Oczywiście marzeniem było samo bycie w otoczeniu Mistrza – marzeniem nazbyt śmiałym, jak wtedy mi się

wydawało. Dodatkowo sprawę komplikowała, jak wówczas sądziłem, ugruntowana opinia Mroźka na temat Polski i Polaków, choć On sam, paradoksalnie, przyznał mi już znacznie później, że „najbardziej denerwuje mnie, że nie potrafię przestać być patriotą”.

Pierwsze rozmowy na temat projektu odbyliśmy w listopadzie 2011 r. Byłem przerażony i podekscytowany. Przedstawiłem pomysł, cele projektu, a także pokazałem Mrozkowi moją już dojrzałą twórczość. I nastąpiły trzy długie miesiące ciszy. Właściwie straci-

łem nadzieję, kiedy zupełnie nieoczekiwanie dostałem krótką wiadomość: hotel Copernicus, Kraków, marzec 2012 r. Serce mi zamarło.

Znając ogólną niechęć Mroźka do mediów oraz dłuższych spotkań z ludźmi, byłem przygotowany, że usłyszę „nie” dla swojej propozycji. Postanowiłem zatem, że wezmę ze sobą książkę Mroźka i poproszę o autograf (tak niechętnie rozdawany), by została mi jakaś pamiątka po spotkaniu. Jednak nie zdążyłem nawet wyjąć książki z torby, gdyż nieoczekiwanie padły słowa, które zapamiętam do końca życia: „Rozmyślałem o twoich fotografiach, twoja wrażliwość jest mi bliska, myślę, że się dogadamy”.

I tak wszystko zaczęło się na dobre. Po 15 minutach rozmowy Pan Sławomir zaprosił mnie do Nicei. Tam mieliśmy

rozpocząć pracę nad, jak sam o tym mówił, „Pierwszym i ostatnim dziełem o Mroźku”, okraszając to odrobiną śmiechu. Podczas spotkania w Krakowie ustaliliśmy, że po raz pierwszy przyjadę w maju 2012 r., jednak po namyśle, ze względu na ówczesny stan zdrowia Pana Sławomira, postanowiłem przyspieszyć i wyjechać niemal natychmiast.

Od początku podchodziłem do tego projektu z pokorą. Wiedziałem, że to wielkie wyzwanie, jednak nie przypuszczałem, że aż tak wielkie. Szybko potwierdziło się, że Pan Sławomir, w całym tego słowa znaczeniu, jest geniuszem, a mój umysł ciągle nie jest gotowy, by sprostać wymaganiom kogoś takiego. Mrozek kierował do mnie myśli o niezwykłej głębi, często zamknięte w jednym zdaniu, a porażające mocą wypowiedzi kilkusetstronicowej książki. Zanim jakkolwiek zdążyłem ochłoniąć, padały kolejne i kolejne. Nic dziwnego, że zaczęły się problemy. Nie tylko natury osobistej (Pan Sławomir poraził mnie wręcz swoim geniuszem), ale i bardziej techniczne – Mrozek werbalizuje myśli w pozornie prostych i zwyczajnych słowach, jednak ich układ i dobór sprawiają, że wszystko nabiera nowych, zaskakujących znaczeń, a ja po minucie nie jestem ich w stanie odtworzyć.

Naturalnie więc zrodziła się poważna wątpliwość: czy podołam, a jeżeli tak, to jak długo? Wszak wiem, jaki ogromny zaszczyt mnie spotkał, jak wielu o tym marzy, a ja to mam! Odpowiedź przyszła szybko. Po drugim pobycie w Nicei poważnie rozważałem zakończenie projektu. Postanowiłem porozmawiać o tym z żoną Pana Sławomira. Susana, ku mojemu zdziwieniu, nie była tym zaskoczona, jednak poprosiła mnie, bym wszystko jeszcze raz przemyślał. Poradziła, bym porozmawiał o problemie z przyjaciółmi w Polsce, a na koniec dodała: „Sławomir bardzo cię polubił, jest zaangażowany, mam wrażenie jak nigdy, że może zacząć jeszcze pisać. Inspirujesz go”.

Ta rozmowa była punktem zwrotnym. Po powrocie do kraju wdrożyłem w życie porady Susany i byłem gotowy, by powrócić do realizowania projektu.

Po kilku tygodniach dalszej współpracy Pan Sławomir zaproponował, bym zamieszkał w jego gabinecie. Kolejne wielkie marzenie się spełniło. Nigdy wcześniej Mrozek nie dopuścił nikogo do siebie tak blisko. Poczulem, że spotkał mnie zaszczyt, ale i brzemie, jakie na mnie spadło.

Z początkiem czerwca, czyli po kilku tygodniach od dnia, w którym zamieszkałem w gabinecie, Mrozek wyszedł z kolejną propozycją. Poprosił, bym został jego osobistym sekretarzem. Niezwykle było, że stało się to ot, tak. Po prostu. Pan Sławomir tego nie planował. Najzwyczajniej w świecie przyszedł czas, że potrzebował kogoś, kto pomógłby mu w codziennym załatwianiu spraw – życiowych, administracyjnych, urzędniczych, a także artystycznych.

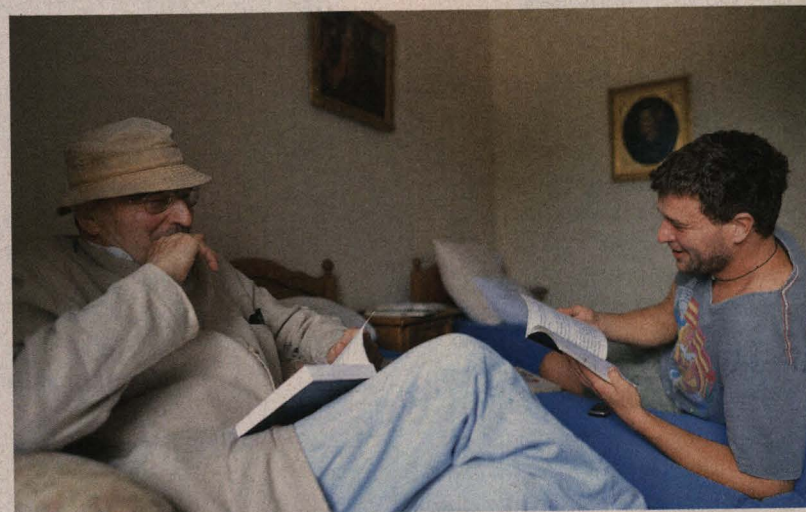
Nasze relacje się zacieśniły. Od tego momentu rozpoczął się kolejny etap projektu (i mówię to z absolutnym przekonaniem) – pierwszego i ostatniego dzieła o Sławomirze Mroźku. Jako jego osobisty sekretarz miałem wgląd do korespondencji zawodowej i osobistej Mistrza, do całokształtu jego bycia i życia, a to rzuciło zupełnie nowe światło na nasze relacje, ale przede wszystkim wyznaczyło nowe tory naszej wspólnej działalności.

Pracowaliśmy nieprzerwanie do 19 lipca 2013 r. Do tego czasu odwiedziliśmy szereg niezwykle istotnych miejsc dla Pana Sławomira i dla projektu. Prze-

jechaliśmy tysiące kilometrów po Francji i Polsce. Odbyliśmy wiele spotkań z prominentami i z przyjaciółmi Pana Sławomira. Wszystko to skrupulatnie zarejestrowałem na fotografiach i filmach. Do zakończenia projektu zabrakło mi ostatniej sesji, która się już nie odbędzie...

Początkowym zamierzeniem projektu „Mrozek – życie warte jest życia”, który miał trwać sześć miesięcy, a znacznie się przedłużył, było stworzenie albumu fotograficznego. Po drodze wyniknęło tyle nowych sytuacji, że początkowe plany zostały zweryfikowane. Dziś wiem, że będzie to książka albumowa, w której prócz wielu fotograficznych oblicz Pana Sławomira pojawi się szereg naszych rozmów. A były ich tysiące. Czasem zupełnie przyziemne, czasem rzucające nowe światło na Mistrza. Premiera książki odbędzie się w maju 2014 r. Zostanie wydana przez zaprzyjaźnione z Panem Sławomirem Wydawnictwo Literackie. Uzupełnieniem książki będzie film paradokumentalny, który mam nadzieję zaprezentować pod koniec przyszłego roku.

Każda chwila, którą miałem zaszczyt spędzić z Mroźkiem, została utrwalona na zdjęciach, nagraniach lub po prostu w mojej pamięci. Wszystko to w hołdzie geniuszowi, niezwykle umysłowi i człowiekowi, którego zawsze będę darzył przyjaźnią, szacunkiem i wdzięcznością, że pozwolił mi sobie potowarzyszyć. ☺



Paweł Chara, autor tekstu i zdjęć, był osobistym sekretarzem Sławomira Mroźka. W maju 2014 roku ukaże się jego książka albumowa „Mrozek – życie warte jest życia”.

ROZMAWIA MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI

Siejemy daleko

Dzisiejsze zmiany w świecie medialnym bardzo mnie ciekawią, chcę być ich częścią, choćby po to, żeby to wszystko poszło w dobrym, a nie w złym kierunku. Może uda mi się odrobinę przyczynić do tego, żeby w mediach było coraz mądrzej, a nie coraz głupiej – mówi **Ewa Wanat**, redaktor naczelna i dyrektor programowa radia RDC.

Świat zmierza ku zagładzie.
Co ty gadasz?

Świat medialny.
Daj spokój. Też jesteś malkontentem?

Zostałem nim na potrzeby naszej rozmowy.
Ludzie od zarania dziejów mówią, że jest coraz gorzej, a tymczasem świat się po prostu zmienia. Także medialny. Bez wątplenia kończy się dwudziestowieczny model funkcjonowania prasy, radia czy telewizji, ale nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Nic nie trwa wiecznie, to chyba oczywiste. Jesteśmy obecnie świadkami i często uczestnikami wielkiej medialnej transformacji i nikt nie wie, dokąd nas ona zaprowadzi.

Ta transformacja to po prostu spienienie mediów.

Takie gadanie jest bezproduktywne i szkoda na nie czasu. Ja się zmianom w świecie medialnym przyglądam i próbuję nadażyć za nowym. Skoro pracuję w mediach, to mam taki obowiązek, choć oczywiście nie wszystko musi mi się podobać. Nie rozumiem tego narzekania, że teraz wszystko jest marne i ogłupiające, że nie ma rzetelnego dziennikarstwa.

Przecież nie jest tak, że następne pokolenia są głupsze od poprzednich. To jest niemożliwe. Kolejne pokolenia mają raczej coraz większy zasób wiedzy,

nowe odkrycia, nowe możliwości i nad tym rzeczywiście coraz trudniej zapanować, ale trzeba próbować. A od objaśniania świata są właśnie dziennikarze.

Ale czy ktoś jest tym objaśnianiem zainteresowany? Wszystko jest przecież na Facebooku i Twitterze.

Zawsze będą ludzie, którzy potrzebują tak zwanych jakościowych treści, a do ich dostarczania potrzebni są wy-

specjalistyczny dziennikarz potrzebuje specjalnych warunków, które pozwolą mu się nieustannie kształcić, być na bieżąco w swojej dziedzinie, czytać, oglądać. Taki dziennikarz musi umieć oddzielić ważne informacje od błahych, potem wszystko zanalizować i wyjaśnić. To jest bardzo utrudnione, jeśli się nie jest na etacie, bo trzeba produkować wiele tekstów czy materiałów, żeby się utrzymać. Ilość obniża jakość.

Wyda mi się jednak, że to jest okres przejściowy. Tak się złożyło, że żyjemy w czasach przełomu i musimy sobie z tym jakoś poradzić. Może niedługo będzie lepiej.

Skąd to przypuszczenie?

Od kilku miesięcy pracuję w medium publicznym, jakim jest Polskie Radio RDC, i patrzę z nadzieją na plany nowej ustawy medialnej mającej zapewnić stałe źródło finansowania mediom publicznym, które są – na całe szczęście – wpisane do rozlicznych aktów prawnych, także Unii Europejskiej. A Unia uważa je za jeden z filarów demokracji.

Jednocześnie stabilne finansowanie może pomóc mediom publicznym realizować rzeczy droższe i bardziej wymagające, bo media komercyjne nastawione są wyłącznie na zysk. I tu widzę tę nadzieję na to, że będzie lepiej. Media publiczne mogą zagwarantować dziennikarzom godne warunki pracy, które

specjalizowani w różnych dziedzinach dziennikarze, którzy z tego zalewu informacji będą odsiewać kompetentnie ziarna od plew.

Takich dziennikarzy się głównie w Polsce zwalnia, bo są zbyt drodzy.

Gdzieś się zwalnia, ale też gdzieś się zatrudnia.

Jeśli już się kogoś zatrudnia, to jako autorów zewnętrznych.

Skoro model funkcjonowania mediów się zmienia, to zmieniają się też zasady zatrudnienia. Ale masz rację, że dobry



przełożą się na rzetelność przygotowywanych materiałów. Tylko oczywiście nie wszyscy mogą pracować w publicznym radiu czy telewizji.

Jesteś zalewana aplikacjami o pracę?

Dostaję dziesiątki aplikacji miesięcznie od ludzi, którzy chcą pracować w radiu. Co ciekawe, większość chce się zajmować twoją dziedziną, czyli kulturą. Ludziom się z jakiegoś powodu wydaje, że kultura to taka łatwa i przyjemna działka.

Bo uważają, że obejrzą film w kinie, napiszą o tym na Facebooku i są dziennikarzami kulturalnymi.

A kiedy trafią do mediów, wygadują takie głupoty, że włos się jeży na głowie. Młodzi są przekonani, że zajmowa-

To kolejna plaga współczesnych mediów.

Dziennikarstwo kopiuj-wklej.

Tą metodą pracują głównie dziennikarze, którzy muszą szybko coś wyprodukować, bo mają płacone od liczby materiałów. Tłuką na akord, ponieważ tak zarabiają pieniądze.

Tłuką i zalewają nas bezwartościową pulpą.

Ale proszę cię, już przestań lamentować. Gdybym twój lament podzielała, tobym dawno przestała być dziennikarką i zajęła się czymś innym. A nadal uważam, że dziennikarstwem warto się zajmować i szukać dla niego jak najlepszych rozwiązań. Zamiast narzekać, trzeba tworzyć media, w których będzie miejsce na pogłębione, rzetelne, mądre i krytyczne dziennikarstwo.

Bo Tomek nie ma aż tylu pieniędzy, żeby zatrudniać doświadczonych dziennikarzy ze świetnym piórem. Tam pracują młodzi ludzie i cały czas się uczą. Poza tym w Internecie liczą się szybkie i efektowne treści.

Których żywot trwa chwilę.

Na tym między innymi polega ta zmiana w mediach, o której mówimy. Ale jeśli jest zapotrzebowanie na takie marki jak e-teatr.pl czy Krytyka Polityczna, to nie jest źle. Tylko ludziom trzeba tłumaczyć (uważam, że powinna być w Polsce w szkołach edukacja medialna), że wpis na Facebooku czy tweet to jedno, a pogłębiona wiedza to drugie, że dobrze jest kupić gazetę, która nam jakieś zjawisko tłumaczy,

niemal wszystkim spada.

Miesięcznikom kobiecym na przykład nie spada. To jedyny segment papierowy, który rośnie, bo to fajne, bo można dodać krem, a do iPada nie można. Myślę jednak, że niedługo papier będzie bibliofilskim gadżetem.

Dzisiaj gadżetem jest iPad,

jutro będzie nim papier?

Tak jak współcześnie płyty winylowe.

To przejście do Internetu poważnych treści

idzie jednak opornie. Dziennikarze, mam wrażenie, nie podniecają się nim, bo uważają publikowanie w sieci za podrzędną formę twórczości.

To prawda, bo w necie każdy może pisać, a na papierze nie.

że chcę w niej uczestniczyć. W Niemczech byłam urządzona, poustawiana, ale chyba nie nadaje się do życia z jakąś zaplanowaną ścieżką kariery. Dzisiejsze zmiany w świecie medialnym, o których rozmawiamy, też bardzo mnie ciekawią, chcę być ich częścią, choćby po to, żeby to wszystko poszło w dobrym, a nie złym kierunku. Może uda mi się odrobinię przyczynić do tego, żeby w mediach było coraz mądrzej, a nie coraz głupiej.

Czyli zmiana na lepsze.

Zobacz, siedzimy w Warszawie nad Wisłą. To miasto co roku jest inne, zmienia się nieprawdopodobnie. Dwa lata temu nie było tu, na wiślanym nabrzeżu, psa z kulawą nogą, a teraz wszyscy są nad rzeką, powstało mnóstwo knajpek.

Z drugiej strony bowiem winni obecnej sytuacji są po części dziennikarze, którzy pozwolili na to, by mediami rządziły działy sprzedaży. A pozwolili dlatego, że bali się o swoje miejsca pracy, mają przecież kredyty do spłacenia.

Tabloidyzacja wydaje mi się błędnym kołem.

Dziennikarze myślą, że ludzie tak myślą.

A może niekoniecznie ludzie pragną samej sieczki.

Oczywiście, że nie. Spójrz na „Politykę”. To robiony od lat treściwy i porządny tygodnik. I co? Ma stabilną i wysoką sprzedaż, i jeszcze podnosi cenę.

To po co ta wojna na tabloidowe okładki między „Newsweekiem” i „Wprost”?



nie się kulturą polega na tym, że zrobisz wywiad z aktorem i zadadzą mu kilka infantylnych pytań typu: jak się panu grało w tym filmie? I już! A przecież zajmowanie się kulturą wymaga wiedzy, znajomości kontekstu, trzeba mieć przeczytanych parę obowiązkowych lektur i obejrzanych kilka obowiązkowych spektakli i filmów, trzeba znać historię sztuki. To skomplikowany, wielowarstwowy świat, który wymaga dużej wiedzy i kompetencji. Bez tego dziennikarze kulturalni są po prostu papugami, które powtarzają to, co im podesłał spece od PR.

Nie palmy komitetów, zakładajmy własne?

Otóż to. Dobrym przykładem jest NaTemat.pl. Tomek Machała próbuje robić nowoczesny portal, który nie działa metodą kopiuj-wklej, i zatrudnia dziennikarzy, żeby tworzyli własne, unikatowe treści. Zamiast lamentu mamy więc próbę jakiejś konstruktywnej propozycji. Mniej czy bardziej udaną, to kwestia dyskusji.

Powiedziałbym, że mniej, bo poziom publikowanych tam tekstów, a przeczytałem ich kilka w dziale kulturalnym, a dokładnie w dziale styl życia, jest słaby.

a potem jeszcze tygodnik, w którym znajdziemy jeszcze bardziej pogłębiony tekst.

Tylko kto ten tygodnik kupi?

Myślę, że znajdą się tacy. I nie ma tu znaczenia, czy mówimy o wersji papierowej czy elektronicznej – to tylko nośniki. Ale nie jest też tak, że ludzie przestają w dzisiejszych czasach nagle interesować się światem i czytać, tylko mają po prostu o wiele większy wybór mediów. Kiedyś było kilka gazet i parę kanałów radiowych i telewizyjnych, dzisiaj mamy ich setki.

Myślisz, że to się zmieni?

A czy ja jestem wróżką?

Masz duże doświadczenie medialne i świetną intuicję.

Tu nie da się nic przewidzieć, nie będę przepowiadała przyszłości.

Ciebie ta cała zmiana kręci?

Bardzo, bo uwielbiam zmiany. Dla mnie zmiana jest jak powietrze, bez niej umieram, jest mi niezbędna do życia.

Przecież nie miałam zamiaru wracać do PRL-u, ale okazało się, że nadchodzi wielka zmiana, i stwierdziłam,

Tu jest po prostu cudownie! I ta nasza piękna Wisła przecież płynie, a nie stoi. Wszystko musi płynąć, wszystko musi się zmieniać.

Jak poważne media w tabloidy?

A ten znowu swoje. Grzegorz Miecugow powiedział kiedyś – zresztą polecały na niego za te słowa gromy ze wszystkich stron – że jesteśmy tacy, jacy są widzowie. Dajemy to, czego chcą ludzie. I miał rację, tak jest. Ludzie chcą, żeby było lekko, łatwo i przyjemnie. Trochę plotki, trochę sensacji, trochę pornografii. Ale to tylko część prawdy.

Oba tytuły należą do prywatnych firm, które chcą zarabiać kasę.

„Polityka” też jest prywatna.

Ale na innych zasadach. To firma powstała ze spółdzielni dziennikarskiej i dziennikarze mają wpływ na to, w którą stronę tytuł zmierza.

A może to dowodzi, że jeśli dziennikarze, a nie działy sprzedaży, zarządzają tytułem, można robić coś ambitnie?

Być może, ale też pamiętaj, że liczba ludzi interesujących się światem jest niewielka.

Po „Fakt” idzie codziennie do kiosku grubo ponad 300 tys. ludzi.

Dlatego że tam nie ma tekstów, tylko obrazy z podpisami.

Polskie media opiniotwórcze podzieliły się na dwa wrogie obozy: propisowskie i proplatformerskie, i się nawzajem palują. Prawda to?

Niestety, tak się stało, że większość z nas dała się ponieść tej walce politycznej, wciągnąć w wojnę domową między PO i PiS. Mówię o wojnie domowej, bo to przecież obozy z tej samej rodziny, prawica kontra prawica. Niektórzy dziennikarze szybko się zorientowali, że to ślepa uliczka, inni brną w to dalej. Dlatego bardzo się cieszę, że pracuję teraz w publicznym medium, którego mi-

Grzegorz Miecugow powiedział kiedyś, że jesteście tacy, jacy są widzowie. Dajemy to, czego chcą ludzie. I miał rację, tak jest.

sją jest pokazywanie pluralistycznego obrazu świata. Mogę spokojnie zapraszać do studia Jasia Kapelę z „Krytyki Politycznej” i Dawida Wildsteina z mocno oszołomskiej „Gazety Polskiej” i konfrontować ich myślenie o świecie.

Ale interesuje mnie rozmowa o ważnych sprawach, a nie partyjna polityka, która w Polsce nie zajmuje się rozwiązywaniem jakichkolwiek problemów. Mam wrażenie, że w naszej polityce są, poza nielicznymi wyjątkami, niemal sami nieudacznicy. Ludzie prymitywni, niemyślący, niemający żadnej refleksji, widzący czarno-biały świat, nastawieni na robienie kariery, z jakimś strasznym parciem na szkło i mikrofon, narcystyczni, zakompleksieni i niezrozumiający tego, co się wokół dzieje. I media wchodzi w ten świat, choć mam wrażenie, że bardziej pasjonuje on dziennikarzy niż ich odbiorców.

Media cudownie się odnalazły w tym partyjnym życiu. Dyskusje o polityce sprowadzają się głównie do tego, że zaprasza się do studia polityków, którzy mają dawać sobie po mordzie. Im ktoś jest większym chamem, jak posłanka Krystyna Pawłowicz, tym częściej gości w studiach telewizyjnych.

Czy ty możesz przestać? Nie wszędzie jest tak źle. Są media zainteresowane autentyczną rozmową o problemach.

Ja ich nie widzę. Widzę za to nieustające małpie show.

Ale po co zapraszać ludzi, którzy się ze sobą zgadzają?

Niech się nie zgadzają, ale niech rozmawiają, trzymając jakiś poziom.

To jest kwestia tego, jak poprowadzisz rozmowę. Poza tym mówisz o programach, które mogą poprowadzić komputer albo małpa. Ale jeśli masz mądrego dziennikarza, on poprowadzi dyskusję merytorycznie i ciekawie, nawet jeśli ma w studiu osoby o skrajnie różnych poglądach. Chyba że z góry chodzi o krwawą jatkę. Wtedy nie mamy o czym gadać.

Odejście z fotela szefowej TOK FM było trudne?

Strasznie, ale też zbawienne. To był ciężki moment w moim życiu, ale jak już wiemy, zmiana jest zawsze wskazana. Ostatnie dwa lata w strukturach korporacyjnych Agory to była masakra. Nigdy więcej nie pozwolę sobie, żeby tak funkcjonować, kompletna aberracja.

Teraz jestem naprawdę szczęśliwa. Mam ogromne wsparcie w tworzeniu radia. Fajnie jest robić coś z poczuciem, że ktoś ci ufa i szanuje twoją robotę.

Przejście z radia do radia było oczywiste?

Nie, bo dostałam kilka propozycji z mediów nieradiowych, w tym jedną za niewyobrażalne dla mnie pieniądze. Coś mnie wtedy tknęło i zapytałam, jaka jest relacja między redakcją a marketingiem. Usłyszałam, że rządzi dział sprzedaży. Wtedy już wiedziałam, że to nie dla mnie. Ale przygotowałam dla tego wydawnictwa projekt autorski, moc-

EWA WANAT

W latach 2003–2012 była redaktor naczelną i dyrektor programową radia TOK FM, które pod jej rządami stało się jednym z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce, ważnym głosem w debacie publicznej i kilkakrotnie zwiększyło słuchalność. Sama Wanat znalazła się w 2011 r. na liście „100 najbardziej wpływowych Polaków” tygodnika „Wprost”, była trzykrotnie nominowana (wraz z zespołem TOK FM) do Nagrody im. Dariusza Fikusa w kategorii Twórca Mediów, trzykrotnie do Nagrody im. Andrzeja Wojciechowskiego i dwukrotnie do Nagrody Mediów Niptel. Jest laureatką Hiacynta 2010 „za dziennikarstwo otwarte, odważne, pełne otwartości na problemy społeczne”, otrzymała także tytuł Człowiek Mediów przyznawany przez miesięcznik „Brief”. Od maja jest redaktor naczelną i dyrektor programową Polskiego Radia RDC.

ny, powiedziałabym nawet, że hardkorowy. Ciekawa byłam, jak zadziała. Oczywiście okazał się biznesowo zbyt ryzykowny. Przyjęłam więc propozycję z Polskiego Radia RDC, bardzo mi się spodobała.

Bo?

Bo uwielbiam budować coś od początku według własnych koncepcji. Oczywiście jest to praca mozolna i rozłożona na kilka lat. Tak samo było z TOK FM, które z niszowej stacji zamieniliśmy z zespołem w opiniotwórcze radio. Nie interesuje mnie zarządzanie czymś, co już świetnie hula.

Nie odstraszało cię uwikłanie mediów publicznych w politykę?

A prywatne nie są uwikłane? Poza tym myślę, że to wielkie zainteresowanie polityków publicznymi mediami, oczywiście zainteresowanie w sensie przemawiania ich jako polityczne łupy, już minęło. RDC ma na razie słabą słuchalność i politycy się nim nie zajmują. I dobrze. Mam nadzieję na spokojne robienie świetnego radia.

RDC jest radiem regionalnym.

To ci nie przeszkadza?

A w czym? Mamy w zasięgu całe Mazowsze, a to 1/5 kraju, w dodatku z Warszawą. Jeśli chcesz robić opiniotwórcze radio, to tylko w stolicy. Dodatkowo dzięki silnym nadajnikom docieramy do sporej części województwa świętokrzyskiego, podlaskiego, łódzkiego i lubelskiego. Siejemy, jak widzisz, daleko. I nie zapominajmy, że radia można słuchać w Internecie, czyli wszędzie.

Trudność polega tylko na pożegnaniu Warszawy z Mazowszem, bo stolica, uważająca się za europejską metropolię, jest do regionu odwrócona plecami. Region ma z kolei kompleks „warszawki”, pretensje o jej wielkopolskość. Chciałabym jednak Warszawę z Mazowszem połączyć, bo bez względu na miejsce zamieszkania wszędzie są ludzie, którzy chcą mądrzej, i dla nich ma być RDC. Nie chcę walczyć z komercyjnymi nadawcami. Komercja

walczy o słupki, a ja o słuchacza. Chciałabym pozyskać dla nas liderów opinii. To głównie do nich powinny mówić media publiczne.

To jest dla ciebie opiniotwórczość?

Tak. Opiniotwórczością nie jest liczba cytowań czy kolejny tysiąc słuchaczy, choć słuchalność jest ważna. Kluczowe jest docieranie do liderów opinii, którzy to, co usłyszą w RDC, poniosą dalej w świat.

Powiedziałaś kiedyś, na zasadzie anegdoty, że zrobiłaś badania fokusowe i wyszło z nich, że w TOK FM brakuje programu dla działkowców. Tworzysz radio intuicyjnie?

Oczywiście, bo uważam, że badania fokusowe są bzdurą, na co najlepszym dowodem był choćby „Nowy Dzień” Agory, który, stworzony na podstawie niezliczonych badań, upadł szybciej, niż powstał. Byłam świadkiem takich fokusów – to laboratoryjna, sztuczna sytuacja, ludzie chcą się popisać przed innymi, mówią, co uważają, że nale-

ży powiedzieć, zaspokajają swój narcyzm. To kompletny bezsens. Jeśli się nie ma wiedzy, intuicji, odrobiny talentu i wizji, to w mediach nic się nie stworzy.

Na czym oprzesz swoją pierwszą jesienną ramówkę w RDC?

Radio to ludzie, nie ramówka. Możesz wymyślić najcudowniejsze programy, ale jeśli za mikrofonem usiądzie ktoś nijaki, można wszystko wywalić do kosza. Kluczowa jest osobowość przed mikrofonem, której ludzie chcą słuchać. Tak było w TOK FM i tak będzie w RDC.

Będziemy mówić o rzeczach ważnych i ciekawych, więc na politykę, w sensie partyjnych przepychanek, nie będzie u nas miejsca. Bardzo ważne są poranki, które zaczął już prowadzić Grzegorz Chlasta, w mojej opinii jeden z najlepszych dziennikarzy w Polsce. To człowiek, który umie rozmawiać, słucha rozmówców, nie gra na siebie i się nie popisuje. O reszcie nowych prowadzących nie powiem do czasu

konferencji prasowej poświęconej nowej ramówce. Mogę jeszcze tylko dodać, że będzie sporo kultury: program o teatrze, o książkach, dużo dobrej muzyki, której nie usłyszysz w innych stacjach. Znajdzie się też miejsce na kabaret, ciekawe wywiady, będzie program naszych reporterów terenowych. W nowej odsłonie wróci mój i doktora Andrzeja Dępy program o seksie.

Kiedy się umawialiśmy na rozmowę w niedzielę, powiedziałaś, żebyśmy się spotkali w radiu, bo będziesz tam cały dzień. Czy ty wychodzisz z radia?

Tak, tylko teraz przed startem nowej ramówki jestem zestresowana i mam mnóstwo pracy. Ale obudziłam się i powiedziałam sobie: „Wanat, chyba na głowę upadłaś, żeby w taką piękną, słoneczną niedzielę jechać do radia. Nad programem posiedzisz w nocy. Teraz idź nad Wisłę”. I jesteśmy.

Przyjechałaś rowerem?

No co ty, przecież zamówiłam piwo. ☺



NAUKA

Kosmiczny eksperyment bliźniaków

NASA przeprowadzi eksperyment z udziałem astronautów – bliźniaków Marka i Scotta Kellych. Jeden z braci, Scott, od marca 2015 r. spędzi 12 miesięcy w kosmosie, drugi – Mark, zostanie w domu i będzie wiódł normalne życie w Arizonie. Bracia Kelly wielokrotnie brali udział w lotach wahadłowców i misjach na stacji orbitalnej. Zawsze razem. Badacze przez rozdzielenie ich chcą się dowiedzieć, jakie różnice zajdą w ich stanie zdrowia. Obaj będą pod stałą obserwacją sztabu specjalistów. W ciągu roku naukowcy z NASA zgromadzą unikatowe obserwacje do analizy. → kru

KOSMOS

One way ticket

Już 100 tys. osób zgłosiło się do programu lotu na Marsa i zbudowania tam kolonii. Bilet oferowany przez Mars One kosztuje od kilkunastu do kilkudziesięciu dolarów. Pierwsza czwórka wybrana spośród tysięcy ochotników polecą jeszcze w 2022 r. – zapowiada szef firmy Bas Lansdorp. Jest tylko jeden haczyk: to lot w jedną stronę. Nowych Marsjan przed podróżą czekają wieloletnie szkolenia. Ich wysiłki i rywalizację podglądać będą kamery, a sprzedaż praw do nadawania kosmicznego Big Brothera ma pozwolić zebrać 6 mld dolarów potrzebnych do zorganizowania lotu. → peka



KSIĄŻKA

Každy egzemplarz będzie dziełem sztuki

Na szczycie poznańskiego Starego Browaru, w betonowej rotundzie, znalazło swoje miejsce wydawnictwo Mundin. Mieści się, ale i mierzy wysoko – predestynuje je ku temu nazwa, pożyczona od alpejskiego szczytu Piz Mundin, czyli wierzchołka świata. Mundin założyli promotorka i kolekcjonerka sztuki Grażyna Kulczyk i Honza Zamojski, zajmujący się od lat książką artysta i wydawca w jednym. – Pod względem artystycznym nasza współpraca jest w dużej mierze kontynuacją tego, czym zajmuję się od dawna i na czym dobrze się znam. Nowa jest osobowość prawna wydawnictwa. Sprawia to, że możemy więcej, a plany mamy ambitne – zapowiada Honza Zamojski.

– Rok temu moje wydawnictwo Morava złapało logistyczną i finansową zadyszkę, więc postanowiłem znaleźć kogoś gotowego mnie wesprzeć. Udało mi się spotkać z Grażyną Kulczyk i po kilku spotkaniach okazało się, że mamy podobne spojrzenie na książkę i rynek wydawniczy i że warto działać wspólnie. Mundin nie jest fanaberią sponsorską, ale realną współpracą. Razem decydujemy o tym, jakie tytuły i w jakiej formie będziemy wydawać – opowiada. Założone w czerwcu wydawnictwo opiera się na trzech filarach. – Będziemy wydawać tzw. artist books, dajemy pracującym nad nimi artystom pełną swobodę twórczą i wspieramy ich w tym. Nowym pomysłem są al-



ANDRZEJ P. FLORKOWSKI

bumy archiwizujące ułamek twórczości wybranych artystów. W pierwszej książce z tego cyklu zaprezentujemy niepublikowane wcześniej rysunki Leszka Knafla z lat 1983–1990. Zamierzamy również powrócić do tradycji ilustrowania prozy. Zaczniemy od kryminału Charlesa Willeforda „Miami Blues”, który zilustruje dla nas Ola Niepsuj – mówi Honza Zamojski. Pierwszym „artbookiem” będzie książka Bownika, artysty z warszawskiej Galerii Starter, nad następnymi tytułami wydawnictwo pracuje m.in. z Pauliną Ołowską i Piotrem Rypsonem. Książki te mają być nie tylko magazynami wyjątkowych treści, ale i dziełami sztuki. Czytelnicy mogą li-

czyć na bonusy. Oprócz regularnego nakładu pojawiają się też numerowane i sygnowane przez artystów edycje specjalne, którą zamiast druku na okładce wyróżniać może oryginalny rysunek. Literatura ma być również pretekstem do dalszych poszukiwań. Mundin zaprasza na spotkania autorskie, wystawy i przede wszystkim targi wydawców – pod koniec 2013 r. w Starym Browarze ma się odbyć druga edycja Rookie. Zapewne właśnie na niej zobaczymy pierwsze literacko-artystyczne owoce. Oryginalne książki do domowych kolekcji będzie można kupować w wybranych księgarniach w Polsce i za granicą oraz przez stronę internetową wydawnictwa. → Edyta Borkowska

FESTIWAL

Zrób to sam



Do V9 przy ul. Hożej 9 w Warszawie wchodzi się od podwórka. Warto tam zajrzeć, gdyż ta ukryta świetlica stała się centrum międzynarodowego festiwalu Sitofest, będącego efektem współpracy warszawskich i berlińskich pracowni sitodruku. Prosta technika, która dzięki zastosowaniu szablonu, siatki, farby i matrycy pozwala na niedrogo powielanie wzorów, wywodzi się od daleko-wschodnich metod stosowanych od tysięcy lat. Wystawy, koncerty i warsztaty potrwać do 8 września, wszystko w duchu D.I.Y. → eb

SPROSTOWANIE

W związku z nieprawdziwymi informacjami, które pojawiły się w artykule autorstwa Joanny Ćwiek „Lud w gąszczu liczb” zamieszczonym w tygodniku „Przekrój” 29 lipca 2013 r., informujemy, że minister edukacji narodowej Krystyna Szumilas, powołując się na badania CBOS, odnosiła się do faktu, że jak wynika z tego badania, 91,9 proc. rodziców, którzy zdecydowali o zapisaniu dzieci sześciolletnich do szkoły, jest zadowolonych ze swojej decyzji.



DESIGN

Ponadczasowy RM58

Dzięki RM58 Polska marka Vzor jest na krótkiej liście kandydatów do prestiżowej nagrody Interiors News Annual Awards 2013 w kategorii meble. Zaprojektowany w 1958 r. przez Romana Modzelewskiego, współzałożyciela, profesora i rektora Łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych, fotel zyskał nowe życie dzięki Jakubowi Sobiepankowi.

– Zaczęło się od pracy dyplomowej na Wydziale Wzornictwa Przemysłowego ASP w Warszawie. Założeniem było stworzenie przekrojowej kolekcji polskiego wzornictwa, począwszy od kolekcji Romana Modzelewskiego. Tę ideę kontynuuję w moim przedsiębiorstwie wspólnie z Michałem Wochem i Krystyną Łuczak-Surówką – opowiada „Przekroju” autor pro-

jektu. Polacy mają trzech konkurentów, a kto wygra, dowiemy się 21 listopada, podczas uroczystej kolacji w Satchi Gallery. Ale już teraz możemy gratulować Vzorowi – jego pracę doceniło jury złożone ze specjalistów pracujących w renomowanych firmach designerskich i architektonicznych, a rywalizował z projektami na najwyższym światowym poziomie. → eb

REKORD

Nie tylko stringi

Na oficjalnym portalu promocyjnym RP (www.poland.gov.pl) Koronkowy Koniaków znajduje się na liście „Atrakcji i osobliwości”, obok Dębu Bartek, Kaplicy Czaszek i Pałacu Kultury i Nauki. Mieszkańcom tej znajdującej się w powiecie cieszyńskim liczącej 1469 ha wsi nie brakuje pomysłów na promocję – ktoś nie słyszał o koronkowych

stringach z Koniakowa? Odbijające się w połowie sierpnia Dni Koronki Koniakowskiej stały się okazją do kolejnej akcji lansującej Koniaków. Największa na świecie, licząca 5 m średnicy koronkowa serweta, na którą pięć pracujących od kwietnia koronczarek zużyło niemal 60 kilometrów nici, trafiła do Księgi rekordów Guinnessa. Gratulujemy! → eb

Jakub Żulczyk

Nadzieja na śmietniku



Najbardziej popularnym ostatnio gatunkiem dokumentu jest opowieść typu „zapomniany geniusz, który dopiero po latach odzyskuje należny mu pokłask”.

Chyba już wszyscy wiemy, że wyprodukowaliśmy zdecydowanie za dużo kultury. Przez ostatnie 100 lat powstało już tyle książek, płyt, obrazów, sztuk teatralnych, że aby zapoznać się ze wszystkimi chociaż pobieżnie, człowiek potrzebowałby jakichś 500 lat. Zakładając, że w tym czasie chciałoby mu się czytać, oglądać i słuchać, a nie byczyć się przez dekady na plaży (piszący te słowa bez wahania oczywiście wybrałby drugi wariant). Świadomość tego ogromu jest ciężka, zwłaszcza dla tak zwanych wytwórców kultury – stos wyprodukowanych przez cywilizację dzieł sięga do jonosfery, więc pocucie bezsensu w dokładaniu kolejnej cegiełki do tegoż może wywoływać depresję. Zaczynamy rozumieć, że większe odkrycia czekają nas podczas grzebania w wyprodukowanym przez ostatnie dekady śmietniku niż w bieżącym. Zrozumiała to też chyba sama kultura. Nie idzie już o to, że jej podstawowym budulcem, zwłaszcza na jej masowym odcinku, jest cytat, sampeł i odniesienie. Chodzi o to, że sam fakt – jak to mówią hiphopowi producenci – „diggingu”, czyli odkopania z tego nieskończonego śmietnika jakiegoś zapomnianego skarbu, stał się jedną z najbardziej ekscytujących opowieści krążących w kulturze ostatnich lat.

Najbardziej popularnym ostatnimi czasy gatunkiem dokumentu jest opowieść typu „zapomniany geniusz, który dopiero po latach odzyskuje należny mu pokłask”. Zaczęło się chyba od wstrząsającego emocjonalnie obrazka „This is Anvil” – historii składającej się z totalnych nieudaczników grupy heavymetalowej, która po umiarkowanym sukcesie w latach 80., posiadając lekko pogubioną w życiu menedżerkę i jednego, ewidentnie upośledzonego fana, nie chce złożyć broni i dalej gra koncerty dla kilku totalnie pijanych metaluchów. Dokument okazał się takim sukcesem, że Anvil wrócili do gry, nagrywają płyty, grają supporty przed AC/DC, a do jednego fana doszło parę tysięcy nowych. Wszyscy też płakaliśmy na filmie „Searching for Sugar Man” o amerykańskim pieśniarzu imieniem Rodriguez, który po krachu kariery poszedł robić na budowie, nie zdając sobie sprawy z tego, że za oceanem, w RPA, ma status Dylana, Hendriksa i Jana Pawła II razem wziętych.

Nowy dokument z tej linii, „A band called Death”, niebawem historia czarnoskórego zespołu trzech braci z Detroit, który na przekór wszystkim grał punk rocka w 1973 r., kiedy

Sid Vicious palił papierosa za podstawówką, wydaje się najciekawszy z tej trylogii. Historię poznajemy z perspektywy dwóch wciąż żywych braci Hackneyów, Bobby’ego i Dannisa. Nad całą opowieścią ciąży jednak duch pomysłodawcy i lidera Death, ich brata, gitarzysty Davida, klasycznego, rockowego odszczepieńca – zapijaczanego mistyka, który w swojej wizji zespołu nie chciał ustąpić nawet o centymetr. To przez ten upór radosna twórczość Death wydostała się na światło dzienne dopiero dzięki obsesyjnym kolekcjonerom rzadkich płyt winylowych. „A band called Death” zawiera wszystko to, co historie o Anvil i Rodriguezie – pełną wzruszeń historię o zwykłych ludziach i połkniętych bez zapitki marzeniach. I jak one pokazują, że upragniony sukces może w końcu przyjść. Może i na starość, ale jednak może. Kopany w tyłek przez całe życie artysta w końcu odbierze należne laury za swój geniusz, przytulany na scenie przez wzruszoną rodzinę.

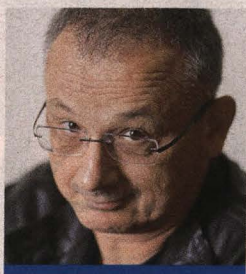
Oczywiście wszystkie wyżej wymienione dokumenty to kawał świetnej filmowej roboty. W czym jednak tkwi ich fenomen? Może w tym, że w czasach, w których rozpoznawalność sama w sobie stała się szczytem aspiracji społecznych, niosą nadzieję. Świadomość, że nie wszystkim dane będzie odnieść sukces, jest chyba najpoważniejszym źródłem napięcia w społeczeństwach zachodnich. Historie Rodrigueza i Death dają wszystkim choćby cień wiary, że uznanie jeszcze może przyjść. Że jakiś freak, za kilkadziesiąt lat, wygrzebie nasze klejone w domu piosenki, wiersze czy zdjęcia z Instagrama i obwoła nas wielkimi, zapomnianymi prekursorami. Że powiedzenie, iż jeśli nie osiągnie się nic przed trzydziestką, to nie osiągnie się nic, jest tak naprawdę błagą.

I zastanawiam się tylko, dlaczego nikt jeszcze nie popełnił dokumentu o fascynującej historii Jobriatha, pierwszego otwarcie gejowskiego wokalisty pop, amerykańskiej odpowiedzi na Davida Bowiego, który musiał związać swoją karierę muzyczną szybciej, niż ją zaczął, obrzucany na koncertach przez nieliczną publiczność butelkami po browarach. Może dlatego, że Jobriath dokonał swego żywota, umierając na AIDS jako anonimowy, restauracyjny pianista. I nie zdążył wygrzebać go za życia żaden nawiedzony, szperający w płytach bloger ani reżyser filmów dokumentalnych.

Autor jest pisarzem, dziennikarzem i felietonistą. Wydał m.in. „Radio Armageddon” (2008) i „Świątynię” (2011). U nas pisze o kulturze i show-biznesie.

Mariusz Ziomecki

Ruch umysłowo-kołowy



FRANEK MAZUR

Obywatele Polski wydają się wierzyć w politykę represji i ograniczanie wolności pod byle pretekstem, w imię „porządku”.

Marek Migalski jaki jest – każdy widzi. Kiedy był gwiazdą pisowskiej prawicy, słysząc jego nazwisko zmieniałem kanał. Jednak ostatnio stało się coś nietypowego. Otóż Migalski, teraz w roli europosła, położył na stole sensowną propozycję zmian w polskim prawie o ruchu drogowym i... został zakrzyczany przez komentatorów. Więc klamerka na nos i spróbujmy wyjaśnić, dlaczego, w tym wypadku, warto potraktować pomysły pana doktora trochę bardziej serio.

Czego chce Migalski? Głównie podniesienia limitów prędkości. Europoseł wnioskuje, żeby wzorem Niemiec znieść całkowicie ograniczenie na autostradach, a na drogach ekspresowych podnieść limit do 130 km/godz. Chce też nieznacznie zwiększyć dozwoloną prędkość na tzw. terenie zabudowanym w dzień, a w nocy (między 23 a 5 rano) ustalić ten limit na 70 km/godz. Macie z tym problem? Bo ja – żadnego. Takie limity mniej więcej odpowiadają faktycznym prędkościom, z jakimi normalni ludzie jeżdżą u nas po lepszych drogach. To prędkości bezpieczne dla trzeźwych kierowców prowadzących współczesne auta. Postęp technologiczny stale podnosi poprzeczkę bezpieczeństwa.

Dziś nie trzeba mieć umiejętności Kubicy, by bez sensacji przekroczyć na autostradzie 200 km/godz. czy pokonać zakręt szybciej, niż wymyślili faceci, którzy ustawiają znaki drogowe. Wiemy z praktyki, że tam, gdzie stoi znak „ostry zakręt” i ograniczenie do 40 km, spokojnie można jechać 60; opony nawet nie pisną. Wiele ograniczeń, na które natykamy się na drogach, zostało ustalonych w zamierzonych czasach, gdy po drogach krążyły auta o właściwościach jezdnych wozów drabiniastych. Ale znaki modyfikowane są z oporami. Dlaczego?

Wbrew temu, co w kółko słyszymy, nie chodzi o nasze bezpieczeństwo. Gdyby ochrona życia i zdrowia kierowców była nadrzędnym celem policji i państwa, cały system działałby inaczej. Policja pilnowałaby miejsc statystycznie niebezpiecznych i koncentrowała się na wyłapywaniu tych, którzy przeginają za kierownicą, a nie

kryła się w krzakach, by zabierać pieniądze zamiastowym frajerom, którzy nie wiedzą, gdzie na chwilę trzeba zwolnić.

Sztuczne zaniżanie limitów prędkości ma sens w miastach, ale nie poza nimi. Kodeksowe pojęcie terenu zabudowanego też jest zresztą nadużywane na niekorzyść kierowców; znak często stoi kilometry przed miejscem, gdzie faktycznie stać powinien. Dlaczego więc prawie wszyscy tak naskoczyli na europosła? Moim zdaniem to klasyczna polska hipokryzja. Migalski powiedział głośno to, co większość kierowców myśli i praktykuje. Nikt też nie wyjaśnił, dlaczego egzamin na prawo jazdy nie może być zdawany w trybie eksternistycznym, bez odbycia kursu, jak sugeruje europoseł; w wielu krajach w takim trybie można zdobyć nawet dyplom lekarza i prawnika. Można też spokojnie zezwolić na używanie antyradarów i przestać demonizować używanie telefonów komórkowych przez kierowców do rozmów. Te – w odróżnieniu od wystukiwania esów na klawiaturze – nie rozpraszają uwagi bardziej niż pogawędka z pasażerem albo wyszukiwanie stacji radiowej. Tylko najbardziej libertariański pomysł Migalskiego, by znieść nakaz zapinania pasów bezpieczeństwa, budzi opór (choć nie dam głowy, że ci, którzy przeżywają wypadki dzięki pasom i zostają inwalidami, kosztują społeczeństwo mniej niż miłośnicy nieograniczonej wolności, którzy bez pasów giną na miejscu).

Słyszeliśmy, że Migalski lubi szybko jeździć i że jego inicjatywa to demagogia, która ma mu pomóc utrzymać się w polityce. Możliwe, ale bardziej gryzie mnie powszechność przywiązania do represyjnych rozwiązań, jakie ujawniła dyskusja nad jego propozycjami. Obywatele Polski tak boleśnie doświadczanej przez autoritaryzmy w większości wydają się wierzyć w politykę represji i ograniczanie wolności pod byle pretekstem, w imię „porządku”. Gdy ktoś, jak zeuropeizowany ostatnio Migalski, zakwestionuje taki porządek, pierwszą reakcją jest złość. To pokazuje, jak bardzo jesteśmy okaleczeni i nie ufamy sobie nawzajem.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem.
U nas pisze o cywilizacji.

PIENIĄDZE Z UNII – PODLASKIE



OCHRONA ZABYTEKÓW

Rewaloryzacja Ogrodu Branickich

Dzięki dotacji z programu regionalnego Podlasia dwie części (salon ogrodowy i dziedziniec wstępny) barokowego Ogrodu Branickich w Białymstoku (na zdjęciu) odzyskały dawną świetność. Projekt renowacji został doceniony i nominowany do głównej nagrody w tegorocznej, szóstej już edycji konkursu „Polska Pięknieje – 7 Cudów Funduszy Europejskich” w kategorii „Zabytek”. Podczas rewaloryzacji ogrodu wykonano m.in. sieci wodno-kanalizacyjne i elektryczne. Pojawiło się też sześć nowych fontann. Zasadzono nowe rośliny, a alejki zyskały nowe nawierzchnie. Wyremontowano mur i schody prowadzące na dziedziniec wstępny. Zbudowano też Pawilon pod Orłem, czyli ozdobną altanę parkową. Piękno ogrodu podkreśla również nowe oświetlenie. → 05a

SZKOLNICTWO

Sprzęt dla Politechniki Białostockiej

Politechnika Białostocka jest największą uczelnią techniczną w północno-wschodniej Polsce. Zmodernizowano w niej ponad 1700 m² powierzchni dydaktycznych na Wydziale Mechanicznym oraz na Wydziale Budownictwa i Inżynierii

Środowiska. Dzięki nowoczesnemu wyposażeniu multimedialnemu możliwe jest teraz prowadzenie kształcenia zdalnego. Z nowej infrastruktury do 2016 r. ma skorzystać 14 tys. studentów i pracowników uczelni. → 05a

KULTURA

Sala koncertowo-teatralna w Suwałkach

Otwarte w maju br. Miejskie Centrum Usług Publicznych, Kultury i Sportu – sala koncertowo-teatralna w Suwałkach pełni dwie podstawowe funkcje: sali teatralno-koncertowej na ok. 680 osób z zapleczem dla artystów oraz domu kultury z kameralną przestrzenią teatralną na 82 osoby i z salami tematycznymi do ćwiczeń teatralnych, muzycznych i plastycznych. Ponadto obiekt jest miejscem prezentacji wystaw artystycznych, może też pełnić funkcje konferencyjno-szkoleniowe. To jedna z najnowocześniejszych scen nie tylko w Polsce, ale i w Europie, która powstała dzięki pieniądзом europejskim z programu regionalnego Podlasia. → 05a

Instrumenty dla Opery i Filharmonii Podlaskiej

Pieniądze europejskie z podlaskiego programu regionalnego posłużyły m.in. do zakupu instrumentów i akcesoriów muzycznych dla Opery i Filharmonii Podlaskiej. Kontrabasy, puzony, wiolonczele, skrzypce, a także pałki do kotłów symfonicznych, kufrы podróżne do przewozu instrumentów, struny, tłumiki czy statywy to tylko niektóre spośród 138 nowych profesjonalnych instrumentów i akcesoriów muzycznych, o które wzbogaciła się Opera i Filharmonia Podlasia. Ich zakup pozwoli podnieść poziom artystyczny koncertów oraz wzbogaci repertuar opery o nowe formy muzyczne, m.in. operetkę i musical, których prezentacja wymaga różnorodnego instrumentarium profesjonalnej klasy. → 05a

Więcej o funduszach UE w Podlaskiem: www.rpowp.wrotapodlasia.pl; www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty; www.mapadotacji.gov.pl



NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
dla rozwoju Polski



MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

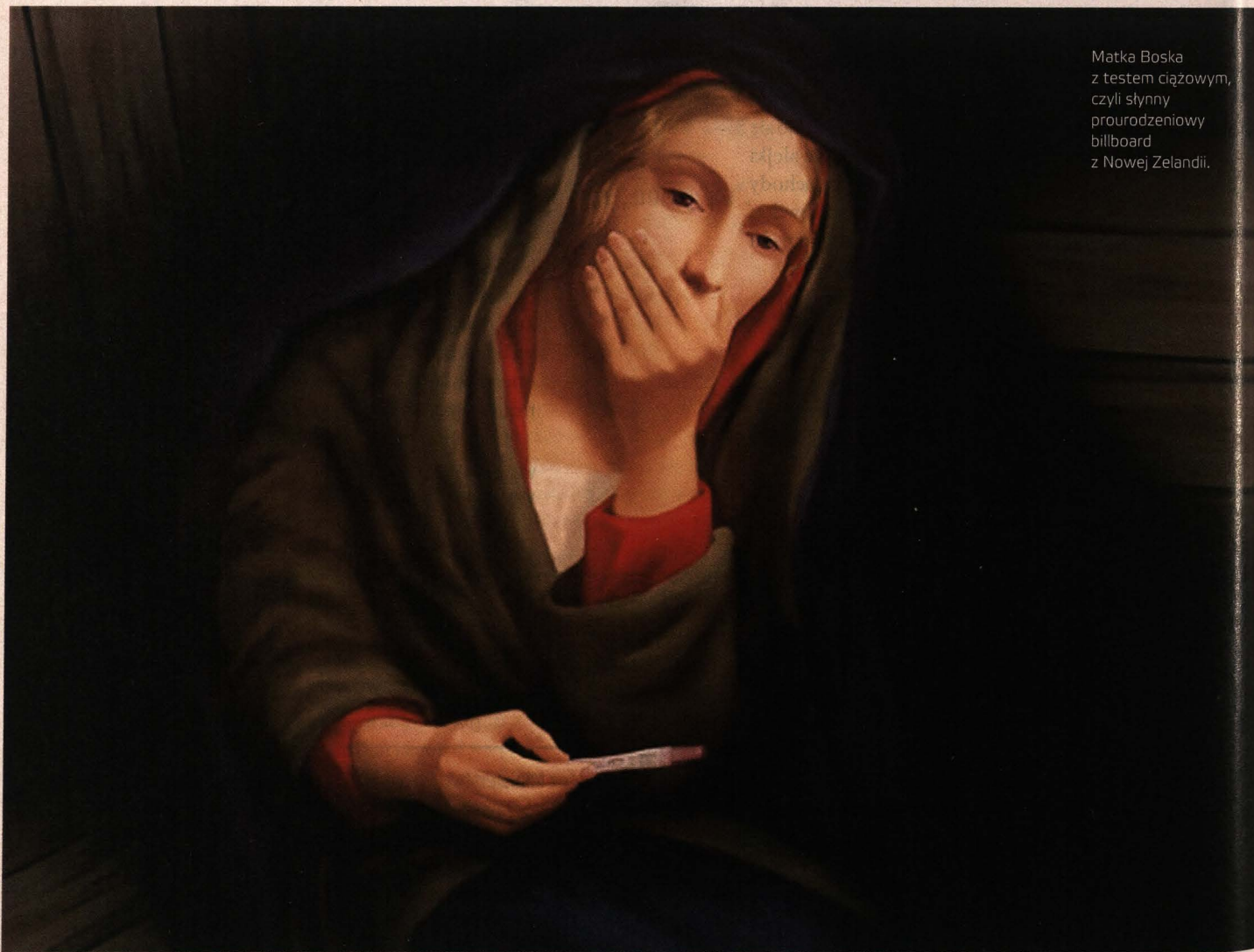
Sięgnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach:
www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty

JOANNA ĆWIEK

By żądz moc móc wzmóc

Już za tydzień wchodzi w życie **nowelizacja przepisów o urlopie macierzyńskim**. Mamy wątpliwości, czy dzięki tym zmianom Polacy wskoczą ochoczo do łóżek, żeby uratować nasz system emerytalny.



Matka Boska z testem ciążowym, czyli słynny prourodzeniowy billboard z Nowej Zelandii.

Kiedy Uther Pendragon, król całej Brytanii, zapalał niepo- hamowaną żądzą do nadobnej Igreny, żony księcia Gorloisa i księżnej Kornwalii, od uczuć natychmiast przeszedł do czynów. Z licznym wojskiem obległ księcia Gorloisa w twierdzy Terrabil, a ponieważ nie mógł jej zdobyć i uśmiercić małżonka ukochanej, o pomoc zwrócił się do czarnoksiężnika Merlina. – Kocham do szaleństwa jedyną kobietę, której nie mogę mieć – oświadczył. – Trafi mnie szlag, jeżeli jej nie zdobędę.

Merlin zmienił go więc w Gorloisa. Szlachetny królewski nos skrócił się i zgrubiał, pierś straciła na objętości, nogi się zakrzywiły, a ręce schudły, albowiem książę Kornwalii nie był przystojnym mężczyzną, choć ożenił się z piękną kobietą. Przynajmniej zdaniem Thomasa Bergera, autora powieści „Artur Rex”, którą tu z grubsza cytujemy.

Po czym Merlin przeniósł odmienionego króla do Kornwalii, gdzie na wysokiej skale w zamku Tyntagel schroniła się Igreny. Na życzenie króla zmienił dzień w noc i doprowadził go pod drzwi sypialni, gdyż w innym razie oszalała z lubieżności Uther, nie znając twierdzy, noc całą zużyłby na szukanie – i tak oto poczęty został król Artur, w tej „satyrycznej księdze arturiańskiej naszych czasów” („New York Times Book Review”).

Ale dość żartów. Dziś Igreny użyła- by pigułki. Uther z pewnością nie zapominałby o wciągnięciu prezerwatywy na monarszy maszt, więc nawet czary Merlina nie doprowadziłyby do narodzin legendy Kamelotu.

Get Britain Fertile

Babcia w ciąży? To możliwe – przynajmniej na plakatach, które w maju zawisły na terenie Wielkiej Brytanii. W ten kontrowersyjny sposób producent testów ciążowych postanowił zachęcić młode kobiety do wcześniejszego macierzyństwa. Statystyczna Brytyjka rodzi pierwsze dziecko, kie-



Plakaty z nagą Britney Spears w ciąży, czyli „rozmnażajmy się” po japońsku.

dy ma trzydzistkę na karku – jak nadobna księżna Kate, która powiła syna w wieku 31 lat.

Twarzą kampanii społecznej „Get Britain Fertile” (Podaruj Brytanii Płodność) została Kate Garraway, popularna 46-letnia prezenterka telewizyjna, której specjaliści od charakterystyki dodali zmarszczki na twarzy i dłoniach, czule obejmujących ciążowy brzuch. Efekt powszechnie skomentowano jako groteskowy, chociaż cel był zbożny. Garraway postanowiła zaprezentować się światu w oszczędnej wersji, bo pierwsze dziecko urodziła, kiedy miała 38 lat, a kolejne aż cztery lata później. Jej zdaniem zbyt późno. „Na więcej dzieci nie mam już czasu. Żałuję, że nie urodziłam ich, kiedy byłam młodsza” – oświadczyła w wywiadzie dla „The Telegraph”. Poprzez udział w kampanii postanowiła uświadomić kobietom, że płodność trwa krótko, trzeba więc jak najszybciej osiągnąć pozycję zawodową i finansową umożliwiającą urodzenie dziecka.

Brytyjczycy nie mają wyłączności na ten problem. Jeśli nie zaczniemy rodzić dzieci wcześniej, nie poradzimy sobie z dramatycznym spadkiem liczby ludności, a system emerytalny się zawali. – Takie kampanie są potrzebne. Z demograficznego punktu widzenia bardzo ważne jest, aby kobiety rodziły pierwsze dziecko około 25. roku życia. Jeśli zostają matkami po trzydziestce, rzadko rodzą więcej niż dwoje dzieci. Po prostu już nie zdążają – potwierdza prof. Krystyna Iglicka, demograf i rektor Uczelni Łazarskiego.

Biologia jest nieubłagana. Jajnik to najszybciej starzejący się narząd w organizmie człowieka, po czterdziestce zaczyna tracić swoje funkcje. – Szczyt płodności przypada między 18. a 25. rokiem życia. Jeśli kobieta zajdzie w ciążę w tym czasie, ma największe szanse na jej bezproblemowy przebieg, poród bez komplikacji i urodzenie zdrowego dziecka. Wraz z wiekiem przede wszystkim coraz trudniej jest o ciążę – mówi „Przekro-

jowi” ginekolog Grzegorz Południewski. Ze statystyk wynika, że po 35. roku życia płodność gwałtownie się zmniejsza. – Wśród kobiet w wieku 40 lat tylko co piątą udaje się urodzić dziecko – ostrzega ekspert.

Opublikowane właśnie częściowe wyniki Diagnozy Społecznej, przeprowadzonej przez Polskie Towarzystwo Statystyczne (i stanowiącej w obecnej, siódmej edycji największe badanie socjologiczne na świecie) są złowróżbne. Co piąty Polak z trzymilionowej grupy obywateli, którzy chcą się rozmnożyć, twierdzi, że ma problemy z poczęciem dziecka. Dla porównania, w Wielkiej Brytanii do leczenia niepłodności przyznaje się co dziesiąta kobieta. – Problem z płodnością narasta we wszystkich cywilizowanych krajach świata. Jeśli do tego dołożymy trudności z poczęciem wynikające z zaawansowanego wieku potencjalnych rodziców, to powstaje kwestia długotrwałego leczenia. Zwykle dla takich par jedynym rozwiązaniem jest in vitro – mówi Katarzyna Kozioł, ginekolog i współzałożycielka warszawskiej Przychodni Leczenia Niepłodności Novum.

Czy kampanie społeczne mają sens?

Z pewnością będzie ich przybywać, a formy mogą się okazać znacznie bardziej dosadne niż w przypadku pomysłu Brytyjczyków, bo problem narasta w wymiarze globalnym. Scenariusz zdarzeń jest wszędzie taki sam: im bardziej ludzie się bogacą, tym częściej odkładają decyzję o prokreacji na moment, kiedy ich sytuacja materialna się ustabilizuje. A że apetyt rośnie w miarę jedzenia, to i o przegranie wyścigu z biologią jest coraz łatwiej.

Według prognoz ONZ przeludnienie globu jest *passé*. W 2050 r. co szósty mieszkaniec naszej planety będzie miał więcej niż 65 lat. Osiwieją nawet Chiny, gdzie wskaźnik obciążenia demograficznego (czyli stosunek liczby osób po 65. roku życia do tych w wieku 15–64) wzrośnie z obecnych 11 proc. do 51 proc. Dlatego też, jak poinfor-

mowała ostatnio rządowa agencja informacyjna Xinhua, władze rozważają zniesienie wprowadzonego w 1977 r. zakazu posiadania większej liczby dzieci niż jedno. Już wkrótce glejt na potomka ekstra mają otrzymać pary, w których jedno z rodziców jest jedynakiem, a w 2015 r. „polityka dwojga dzieci” obejmie wszystkich chętnych. I to nie jest akt łaski liberalizującego się mocarstwa, tylko emerytalna arytmetyka. Jed-

niętą mamę z trójką dzieci i sloganem „Krajowi potrzebne są Wasze rekordy”, który wypada uznać za całkiem dowcipne nawiązanie do ery stachanowców. Z kolei Japonia obstawiała gwiazdy z importu. W tokijskim metrze zawisły zdjęcia z nagą Britney Spears w zaawansowanej ciąży. „Nazbyt śmiała” kampania prourodzeniowa wywołała ogólnokrajowe poruszenie, ale ostatecznie zdjęcia zostawiono w spokoju.

W Singapurze za popsucie ulicznej ławki grozi chłosta, wykonywana z moczoną dla większego efektu ponadmetrową trzcina. Jak zatem w kraju równie bogatym co stanowczym tamtejsza Narodowa Rada Rodziny zachęca obywateli do prokreacji? Otóż przekonnie. Do rodzicielstwa przekonują spoty reklamowe, w których trzy małe świnki, zamiast budować dom, idą bawić się do klubu. I to jest błąd, bo „alkohol utrudnia wchłanianie cynku, który jest bardzo ważny przy produkcji spermy”. Inni bajkowi bohaterowie przestrzegają przed pracoholizmem, który niszczy rodzinę, oraz odradzają spożywanie chińskich afrodyzjaków, bo te, zamiast zadziałać, szkodzą płodności. Równie konkretna jest Alicja z Krainy Czarów, która przestrzega kobiety, by nie zwlekały z dzieckiem do trzydziestki, bo – już wiecie. Im później, tym trudniej.

Zaskakujące kampanie pojawiają się w Indiach. Tu nie ma kłopotu z liczbą dzieci (współczynnik dzietności to 2,6), ale problemem jest dysproporcja między liczbą chłopców i dziewczynek. Spis powszechny wykazuje, że na 1000 chłopców przypada średnio 914 dziewczyn (w najbardziej zaburzonych regionach zaledwie 744). To skutek nielegalnych, ale prowadzonych na olbrzymią skalę aborcji cięż żeńskich. Powód jest kulturowy – dziewczynka w domu to wyższe koszty związane np. z przygotowaniem posagu. Eksperci WHO szacują, że w ciągu ostatnich 20 lat uśmiercono z tego powodu co najmniej 10 mln poczętych dziewcząt. Opracowano więc plakaty z żeńskimi płodami, które na znak szczęścia mają

no dziecko w rodzinie nie utrzyma rodziców, a że żyjemy coraz dłużej – także i dziadków emerytów.

Pytanie tylko, czy dobroliwe zezwolenie rządu wystarczy. Może lepszy byłby nakaz posiadania dwojga dzieci, co tamtejsze władze zapewne wyegzekwowałyby bez trudu.

Inne silne państwa stawiają jednak na patriotyczną perswazję. W Rosji już kilka lat temu na ulicach miast pojawiły się plakaty przedstawiające uśmiech-

Стране нужны ваши рекорды



Каждую минуту в России рождается 3 человека

skrzyżowane palce, oraz urządzono akcję rozdawania dwóch wersji kalendarzy. Pierwsza przedstawiała boginie siedzące w muszli, na lotosie czy na tygrysie, a w drugiej wersji ich wizerunki wymazano. Zostały tylko dekoracje. Komentarz mówił wprost: nie zabijaj tych, które czcisz.

Równie bogobojna Irlandia posunęła się do tego, że w ramach kampanii społecznej przedstawiła kobiety w niechcianej ciąży jako marionetki. Przekaz głosił: „Nie daj sobą manipulować. Nie poddawaj się pochopnie aborcji”, co oburzyło środowiska feministyczne. Kontrowersje wzbudziła także nowozelandzka akcja przedstawiająca Matkę Boską z testem ciążowym. Billboard stylizowany na XV-wieczny obraz stał przed angikańskim kościołem St. Matthew-in-the-City w Auckland. Miał pokazywać, że Maryja też była w trudnej sytuacji, a jednak urodziła dziecko. Ostatecznie część plakatu z testem ciążowym została po kilku dniach wycięta

nożyczkami przez przedstawiciela Catholic Action Group i sens całości jakoś się rozmył.

Czy takie kampanie mają sens? Zdaniem prof. Krystyny Iglickiej tak, jeśli będą pojawiały się systematycznie. Ale prof. Janusz Czapiński w to nie wierzy. – Decyzji o dziecku nie podejmuje się pod wpływem reklamy, bo to nie jest proszek do prania w supermarkecie. Najważniejsze decyzje ludzie podejmują z rozwagą – twierdzi.

Polacy, do łóżek!

Dzieci przychodzą u nas na świat stosunkowo wcześniej (ok. 27. roku życia kobiety), ale i tak jesteśmy najszybciej wyludniającym się krajem w Unii. Przyczyny są dwie. Rodzi się ich dramatycznie mało (współczynnik dzietności poniżej 1,3), a reszty dokonała emigracja. Z danych GUS wynika, że poza granicami na stałe mieszkają ponad 2 mln obywateli, przy czym najliczniej reprezentowane są osoby w wieku 25–34 lata. Czyli te, które najczęściej decydują się na potomstwo.

Kampanie społeczne miewamy średnio. W 2006 r. na zlecenie Instytutu Matki i Dziecka powstał spot, w którym kobieta rodziła odkurzacz. „Co jeszcze musisz kupić, zanim zdecydujesz się na dziecko?” – pytali autorzy, jakby chcieli sprowokować do bójki środowiska feministyczne. I udało się: feministki uznały, że taki przekaz odbiera kobietom prawo do decydowania o własnym losie i kieruje je prosto do garów i rodzenia dzieci.

Plakat „Kraj potrzebuje waszych rekordów”, sfotografowany w moskiewskim metrze.

W Singapurze do robienia dzieci zachęcają bajkowi bohaterowie, m.in. królewna Śnieżka.



Snow White

Never mirror on the wall. Who in this land is the richest of all? Snow-White, beyond the mountains with her seven children. Who learn, play and give her kisses every day. Snow-White is the richest of all.

Wiosną ruszyła kampania Fundacji Taty i Mamy, z której można się dowiedzieć, że fajnie mieć kucyka, ale siostrę jednak fajniej. A pod koniec roku szykuje się kolejna kampania, tym razem rządowa. Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej ogłosiło przetarg na organizację akcji promującej wprowadzany właśnie roczny urlop rodzicielski. Będzie ona skierowana do ojców, by zachęcić ich do większego zaangażowania w wychowanie potomstwa. Zdaniem pomysłodawców, jeśli mężczyźni wezmą na swoje barki więcej, młode matki nie będą tak często wypadały z rynku pracy po urodzeniu dziecka. Czyli – będą rodziły chętniej.

Nie chcą czy nie mogą?

Tymczasem Polki w Wielkiej Brytanii są pod tym względem na pierwszym miejscu wśród wszystkich emigrantek, rodzą dwa razy więcej dzieci niż w Polsce. – To dlatego, że odczuły poprawę sytuacji materialnej, a to sprzyja decyzji o rozmnażaniu – uważa prof. Iglicka. My skłonni bylibyśmy dorzucić szeptem, że to też element psychologicznego zakorzeniania się na emigracji, bo trwające od lat spowolnienie gospodarcze i wysokie bezrobocie (co czwarta osoba do 25. r. życia w Europie nie ma stałego zajęcia) nie zachęcają do zakładania rodziny. – Dlatego musimy przestać myśleć o dziecku jak o prywatnej sprawie. Wobec takiej zapaści demograficznej, z jaką mamy do czynienia, państwo musi wziąć na siebie część kosztów związanych z jego wychowaniem – mówi dr Piotr Szukalski, demograf z Uniwersytetu Łódzkiego.

Jeżeli więc chcemy, żeby w Polsce wreszcie spłodzono kogoś na miarę króla Artura, potrzebne są wysokie zasiłki na dziecko, tanie żłobki i przedszkola czy specjalne bonusy dla rodzin wielodzietnych. Bo, szanowni ministrowie, roczne urlopy macierzyńskie, które z taką dumą odpalacie nam od września, dotyczą tylko kobiet na etatach – one zaś wśród młodych nadobnych to zdecydowana mniejszość.

Z lewej boginie są, a z prawej ich nie ma. Nie urodziły się, bo zostały usunięte, czyli kampania antyaborcyjna po indyjsku.

GRZEGORZ SIEMIONCZYK

Zaklinacz rynków

Czy eksbankowiec od **Goldmana Sachsa** może zostać bożyszczem mas? Owszem. Ale tylko pod warunkiem, że jest skromny niczym Matka Teresa z Kalkuty, ma uśmiech George'a Clooneya i dar przekonywania jak Chuck Norris.



Tłum dziennikarzy, który zebrał się 1 lipca przed siedzibą Banku Anglii, w sercu londyńskiego City, był doprawdy niecodzienny. Ale żurnaliści bynajmniej nie czekali na przyjazd koronowanej osoby czy rozróbkę alterglobalistów, lecz na Marka Carneya, nowego prezesa tej szacownej instytucji. Dla niego był to ostatni moment, by uniknąć losu celebryty. Mógł przyjechać do pracy służbową limuzyną z szoferem, a prasową czereď zbyć krótkim „nie mam czasu”. Ale – o tempora, o mores! – Carney przyjechał do roboty metrem, a dziennikarzy oczarował promiennym uśmiechem. To definitywnie przypieczętowało jego status gwiazdora, którym brytyjskie media interesują się na równi z aktorami, muzykami i piłkarzami.

Ekonomia oczywiście ma swoich celebrytów. To choćby Paul Krugman, laureat ekonomicznego Nobla i płomienny publicysta „New York Timesa”. Albo Nouriel Roubini, który przewidział ostatni kryzys finansowy, więc jest chętnie zapraszany przez media, złańnione kolejnych kasandrycznych proroctw. Ale szefowie banków centralnych, czyli faktyczni sternicy polityki pieniężnej, rzadko ekscytują media. Dotyczyło to nawet Alana Greenspana, byłego szefa amerykańskiej Rezerwy Federalnej, którego zamierzenia oceniano po grubości teczki: jeśli w dniach posiedzeń była wypchana, miało to jakoby zwiastować podwyżkę głównych stóp procentowych. Jednak sympatię prasy, także kolorowej, przykuł dopiero Carney, którego okrzyknięto „George'em Clooneyem globalnych finansów”, „gwiazdą rocka bankowości” i „Alexem Fergusonem polityki pieniężnej”.

Słodko-gorzki transfer

Za taką atmosferę wokół debiutującego szefa „starej damy z ulicy Threadneedle”, jak Brytyjczycy pieszczotliwie określają swój bank centralny, odpowiada w dużej mierze sekretarz skarbu George Osborne. To on postanowił, że następcy dla Mervyna Kinga, który stał na czele Banku Anglii (BoE) przez dekadę, trzeba poszukać za granicą.

W ponadtrzystuletniej historii tej instytucji takiego przypadku wcześniej nie było; zresztą także inne rządy z zasady wybierają autochtonów do kierowania polityką pieniężną, stanowiącą przecież dziedzinę o strategicznym znaczeniu. Ale to nie kanadyjska narodowość Carneya była największym zaskoczeniem, gdy Osborne w listopadzie ub.r. nominował go na stanowisko gubernatora Banku Anglii. Kanada należy w końcu do brytyjskiej wspólnoty narodów, a Carney obronił doktorat z ekonomii na Oksfordzie i przez pewien czas na Wyspach pracował. Komentatorów zdumiał fakt, że w chwili ogłoszenia nominacji Carney kierował Bankiem

Bankowcy centralni zastępują w reformach demokratyczną władzę, która ze strachu przed utratą poparcia oddaje im pole i chętnie zwiększa zakres obowiązków.

Kanady: żeby przyjąć propozycję Anglików, zrezygnował z posady dwa lata przed końcem siedmioletniej kadencji.

Kanadyjski ekonomista David Rosenberg przyrównał to do transferu hokeisty wszech czasów Wayne'a Gretzky'ego z klubu Edmonton Oilers do kalifornijskiego Los Angeles Kings w 1988 r. Dla Kanadyjczyków był to szok na miarę śmierci bliskiej osoby. Tym razem jednak żal wywołany utratą skutecznego bankowca mieszał się z dumą, że oto człowiek z prowincji brytyjskiego imperium został zawezwany do ratowania gospodarki Korony. Jak skomentował rzecz kanadyjski minister finansów Jim Flaherty, odejście Carneya miało więc smak słodko-gorzki, a przy okazji – niepostrzeżenie – wraz z jego transferem za ocean narodził się globalny rynek bankowców centralnych.

Zesłoroczną nominację dla Carneya trzeba było uzasadnić. Brytyjski sekretarz skarbu był związany. – Carney jest najlepszą, najbardziej doświadczoną i najlepiej wykwalifikowaną osobą do wykonywania tej pracy – oświad-

czył, określając Kanadyjczyka jako wyróżniającego się bankowca centralnego swojej generacji. Carney ma dopiero 48 lat, co w gronie sterników polityki pieniężnej czyni go młodzieniaszkiem. Szefem Banku Kanady został w wieku lat 42 i tym samym stał się najmłodszym z gubernatorów banków centralnych państw z klubu G20.

Za obrotowymi drzwiami

Do laurek zdążył już wcześniej przywyknąć. W 2010 r. magazyn „Times” umieścił go w setce najbardziej wpływowych liderów, zauważając, że „bankowcy centralni rzadko bywają młodzi, przystojni i czarujący, a przy tym piekielnie inteligentni”. Czym Kanadyjczyk zasłużył na takie słowa? Pomijając prezencję, refleksem. Błyskawicznie rozpoznał, że kryzys finansowy, który wybuchł w USA w 2007 r., nabierze globalnego wymiaru, i zaledwie miesiąc po objęciu sterów Banku Kanady, w marcu 2008 r., obciął stopy procentowe o 0,5 pkt proc. (zwykle banki obniżają je o 0,25 pkt proc.). Dla porównania Europejski Bank Centralny jeszcze w lipcu tamtego roku podwyższył stopy procentowe w strefie euro. Bank Anglii też był krytykowany za leniwą reakcję na kryzys, co najprawdopodobniej przesądziło o tym, że na nowego szefa Osborne namaścił człowieka z zewnątrz, a nie np. wiceszefa Paula Tuckera. Tak czy owak Carney miał też sporo szczęścia. Oprócz jego decyzji Kanadzie pomogły bogactwa naturalne i dobra kondycja banków komercyjnych, działających w zasadzie poza kontrolą tamtejszego banku centralnego. Co nie oznacza, że Carney na tym się nie zna. Zanim zaczął służbę publiczną, przez 13 lat pracował w banku inwestycyjnym Goldman Sachs w Londynie, Nowym Jorku, Tokio i Toronto z pensją ponad 1 mln dol. rocznie. Jak tłumaczy, musiał spłacić długi, jakie zaciągnął, studiując na Harvardzie.

Taka przeszłość dla ludzi władzy często bywa obciążeniem. Wśród zwolenników tezy, że do kryzysu doprowadziła drapieżność bankierów, Goldman Sachs uchodzi za ucieleśnienie wszyst-

W odróżnieniu od komercyjnych bankierów, nowy szef Banku Anglii jest uwielbiany przez media. I to wcale nie za piękny uśmiech!

kich grzechów Wall Street. W USA wymiany kadr między tą nowojorską firmą a Waszyngtonem, określane jako „obrotowe drzwi”, budzą kontrowersje, a bank bywa złośliwie określany jako „Government Sachs”. Ale gdy w 2003 r. Carney porzucił intratną posadę, by zostać zastępcą gubernatora Banku Kanady, a potem wiceministrem finansów, zebrał pochwały za ofiarność. I należy sądzić, że pracę w Banku Anglii też w dużej mierze zawdzięcza zakorzenieniu w bankowości, bo niedawno „stara dama z Threadneedle” dostała więcej obowiązków nadzorczych.

Z dumą, bez uprzedzeń

Carney studzi zainteresowanie mediów swoją osobą, wskazując, że miejsce bankowców centralnych jest na łamach gazet finansowych, a nie prasy kolorowej. Bezskutecznie. Na Wyspach wszystko, co robi, wpisuje się w uszyty mu garnitur celebryty. Choćby decyzyja, by na dziesięciofuntowych banknotach zamiast ewolucjonisty Karola Darwina pojawiła się podobizna pisarki Jane Austen. Carney przypodobał się w ten sposób feministkom, które oburzyła perspektywa wycofania z druku jedyne brytyjskiego banknotu z wizerunkiem kobiety innej niż królowa: pięciofuntówki upamiętniającej Eli-

zabeth Fry, żyjącą na przełomie XVIII i XIX w. działaczkę społeczną, reformatorkę więziennictwa i filantropkę. Jej miejsce od 2016 r. ma zająć legendarny konserwatysta Winston Churchill, w środowiskach postępowych zapamiętany jako przeciwnik przyznania kobietom praw wyborczych. Zarówno Mervyn King, jak i Carney zostali zaszypani listami od aktywistek krytykujących symbolikę tej zmiany. Były prezes został uznany za szowinistę i gbuś, gdy tłumaczył, że banknoty z Fry przecież nie wyjdą z obiegu, a na awersie wszystkich innych jest Elżbieta II. A nowy prezes? Po prostu przychylił się do żeńskich apeli, decydując się na zmianę wzoru dziesięciofuntówek, które od 2017 r. będą upamiętniały autorkę „Dumy i uprzedzenia”.

Jest jeszcze kwestia kasy. Podstawowa pensja Carneya wynosi 480 tys. funtów (2,3 mln zł) rocznie, podczas gdy jego poprzednik zarabiał 305 tys. funtów (plus spore sumy na fundusz emerytalny, o czym komentatorzy lubią zapomnieć). Oliwy do ognia dołączyła pensja bankowca, Diana. Wiceprzewodnicząca lewicowego think tanku Canada 2020, która popierała ruch „Okupuj Wall Street” i ganiła finansistów za chciwość, pożaliła się w marcu na Twitterze, że dodatek mieszkaniowy do pensji jej

męża w kwocie 260 tys. funtów rocznie nie starczy na wynajęcie w Londynie porządnego mieszkania. Ostatecznie Carneyowie wynajęli dla siebie i czterech córek luksusowy dom z sześcioma sypialniami i pięcioma łazienkami, którego zdjęcia szybko pojawiły się w tabloidach. Urodzona na Wyspach Diana zdążyła też zirytować Brytyjczyków uwagą wyszukaną przez media na jej ekoblogu, że herbata w torebkach jest mało przyjazna dla środowiska. Dziennik „Daily Mirror” złośliwie okrzyknął ją mianem „ekowojowniczkii”.

Banki jak Chuck Norris

Jednak mimo tych atrakcyjnych kontrowersji Carney nie zostałby celebrytą, gdyby nie zmiany w polityce pieniężnej, do jakich doszło w ostatnich latach. Chodzi przede wszystkim o wzrost znaczenia banków centralnych, które wobec niemocy zadłużonych rządów przejęły od nich dużą część władzy. – W trakcie kryzysu z lat 2007–2008 świat stanął nad przepaścią. Upadło kilka sławnych banków, a ludzie wszędzie tracili pracę. Wydaje się, że tylko szybka reakcja banków centralnych, które poluzowały politykę pieniężną jak nigdy wcześniej, uratowała światową gospodarkę przed klęską – tłumaczy „Przekroju” Stephen Pope, założyciel firmy analitycznej Spotlight Ideas. – Dawniej to politycy byli na świeczniku. Dziś dominuje opinia, że niewiele zrobili dla poprawy losu gospodarek. Prezydent Francji Francois Hollande jest niepopularny, hiszpański premier Mariano Rajoy jest zamieszany w skandal, rząd grecki zbankrutował, a niemieccy politycy przed wrześniowymi wyborami jak ognia unikają poważnej debaty ekonomicznej. W USA scena polityczna jest sparaliżowana, w Wielkiej Brytanii relacje między koalicjantami są napięte. Kto poza bankami centralnymi może dziś podejmować ważne decyzje? – pyta retorycznie Pope.

Decydenci z banków centralnych nie są wyłaniani w demokratycznych wyborach. Tymczasem „reprezentanci ludu” ze strachu przed utratą poparcia oddają im pole i chętnie zwiększają zakres obowiązków. Tu nie chodzi już



Carney zapowiada, że polityka finansowa Anglii pozostanie skrajnie liberalna co najmniej do 2016 r., kiedy bezrobocie spadnie do 7 proc.



tylko o utrzymywanie stabilności cenowej, co jest tradycyjnym zadaniem banków centralnych. Teraz banki muszą np. walczyć z wysoką stopą bezrobocia i poprawiać konkurencyjność narodowych gospodarek poprzez manipulowanie kursami waluty.

Bank Rozrachunków Międzynarodowych (BIS), czyli „bank banków centralnych”, w ostatnich latach kilkakrotnie ostrzegał, że są one pod zbyt wielką presją. Większość dostępnych narzędzi została już wykorzystana. W najważniejszych gospodarkach stopy procentowe są blisko zera i dalej obniżać ich się nie da, nawet gdy koniunktura wciąż nieomaga. Niektóre banki centralne próbowały obejść ten problem na drodze tzw. ilościowego łagodzenia polityki pieniężnej (QE), co w praktyce oznacza dodruk pienią-

Za bankowcem i jego żoną rodziną uganiamy się nawet paparazzi, chociaż na pikantne obrazy raczej się nie doczekają.

dza. Ten program budzi kontrowersje, więc coraz większą rolę odgrywają „psychologiczne” metody oddziaływania na gospodarkę. Jak ujmuje to Scott Sumner, ekonomista z Uniwersytetu Bentley w Massachusetts, banki centralne muszą postępować jak Chuck Norris. – Gdyby Norris chciał opróżnić pokój pełen ludzi, wystarczyłaby groźba, że zleje każdego, kto w pokoju zostanie. Nie musiałby nawet podnieść ręki. Banki centralne też są na tyle potężne, aby kształtować zachowania rynku. Nie muszą podejmować intensywnych działań, żeby osiągać założone cele. Oczywiście, muszą dysponować możliwością poparcia obietnic czynem, ale to nie problem, skoro mogą dodrukować nieograniczoną liczbę pieniędzy. Tak postąpił niedawno Szwajcarski Bank Narodowy. Powiedział, że

zamierza zablokować aprecjację franka, i to w zupełności wystarczyło, by kurs tej waluty natychmiast przestał rosnąć. Nie była potrzebna żadna interwencja – tłumaczył w wywiadzie Sumner.

O takich działaniach banku przesądza głos szefa. I znów wracamy do Carneya, który jest pionierem perswazyjnego kształtowania życia gospodarczego. W 2009 r., jeszcze jako szef Banku Kanady, zapowiedział, że nie podniesie krótkoterminowych stóp procentowych przynajmniej przez rok. Miało to zapobiec wzrostowi stóp długoterminowych (takich jak oprocentowanie kredytów, obligacji itp.), które mogło wystąpić przy pierwszych sygnałach poprawy sytuacji w gospodarce. I gra się powiodła. Później śladami Kanadyjczyka podążył amerykański FED, a ostatnio Europejski Bank Centralny.

DAGNY KURDWANOWSKA

Obywatel Bezos

Odkąd **miliarder Jeff Bezos** kupił słynny dziennik „**The Washington Post**”, nie ustają spekulacje, w jaki sposób twórca Amazona zreformuje podupadający rynek prasowy. Na razie Bezos o swoim nowym gadżecie mówi krótko: to będzie dla mnie poligon doświadczalny.

Okrągłe 250 milionów dolarów – tyle katarska królowna Majasa al-Thani zapłaciła w 2011 r. za obraz Paula Cezanne’a „Grający w karty”. Podobna suma pozwoliłaby nabyć dwa dowolne Van Goghi, względnie jednego Picassa i jednego Muncha (słynny „Krzyk” wart był ostatnio 120 mln dolarów). Tyle też wystarczyłoby z grubszą, żeby drużynę piłkarską Sępy Żelechów ubogacić o Cristiano Ronaldo i Santosa Neymara, no i od biedy dałoby się za tę kwotę kupić także reprezentacyjny oceaniczny jacht motorowy. W każdym razie 250 mln dol. to 1 proc. fortuny Jeffa Bezosa i właśnie za tyle miliarder kupił rolls-royce’a wśród dzienników: gazetę „The Washington Post”, którą do porannej kawy czyta każdy amerykański senator, kongresmen i urzędnik w Waszyngtonie, nie wyłączając samego prezydenta Obamy. Nic dziwnego, że setki dziennikarzy i speców od rynku medialnego z rozdziawionymi buziami wczytywały się w tę sensacyjną nowinę podaną przez serwisy agencyjne w pierwszy poniedziałek sierpnia. A kiedy już analitycy otrząsnęli się z szoku, ruszyła lawina teorii pod jednym, zbiorczym pytaniem: po co ambitnemu handlarzowi jest jeden z najbardziej wpływowych dzienników świata?

Teoria 1: Bezos na prezydenta

„Kto ma informacje, ten ma władzę”, mówi oklepane powiedzonko. Jakkolwiek banalne, zainspirowało wielu dziennikarzy do stwierdzenia, że Jeff Bezos potrzebuje „Washington Post”, by mocno zaistnieć w świecie polityki.

Żeby zrozumieć tę śmiałą konkluzję, trzeba najpierw pojąć, czym dla Amerykanów jest waszyngtoński dziennik. To największa i najstarsza gazeta codzienna wychodząca w amerykańskiej stolicy. Pierwszy numer ukazał się w 1877 r. Gazeta od początku koncentrowała się na tematach związanych z krajową polityką. Jeśli ktoś chciał wiedzieć, co knują na korytarzach Kongresu lub Białego Domu, w pierwszej kolejności sięgał po „Posta”. Przez prawie 100 lat dziennik był głównie lokalnym fenomenem (papierowe wydania drukowane są dla Waszyngtonu DC oraz stanów Maryland i Virginia), czytany przez zawodowców i pasjonatów polityki. W wymiarze światowym o gazecie zrobiło się głośno w latach 70. XX w., gdy dwaj reporterzy „Posta”, Carl Bernstein i Bob Woodward, zwęszyli afere, która do historii przeszła jako Watergate i doprowadziła do eksmisji prezydenta Richarda Nixona z Białego Domu.

Od tej pory „Post” stał się symbolem dziennikarstwa najwyższej klasy, czytany – chłodnego, udokumentowanego i merytorycznego spojrzenia na to, co dzieje się na szczytach władzy. Tymczasem Bezos nie jest typowym zwierzęciem politycznym. Ten 49-letni informatyk, absolwent Uniwersytetu Princeton, jak dotąd trzymał się z daleka od mahoniowych biur wielkości lotniskowca, klasycznych garniturów i stiukowych ozdóbek na suficie, które tak lubią reprezentanci ludu. Do tej pory wspierał zarówno demokratów, jak i republikanów, choć tych pierwszych obdarował 16 tys. dol., a drugim wydzielił zaledwie 2 tys. W lipcu 2012 r. wraz z żoną prze-

kazali 2,5 mln dol. na walkę o ustawę legalizującą małżeństwa homoseksualne. I tyle, jeśli chodzi o zaangażowanie polityczne magnata. Na co mu więc „Post”?

Odpowiedź jest prosta: do uprawiania wszelkiej maści lobbingu. Jako szefa Amazona mogłoby go szczególnie interesować uniknięcie zmian w systemie podatkowym, przed którymi broni się zresztą od kilku lat. W odróżnieniu od rozwiązania europejskiego, opartego na krajowych podatkach od wartości dodanej (VAT), w USA przy sprzedaży detalicznej obowiązuje stanowy „sales tax” (czyli tradycyjny podatek obrotowy od sprzedaży). Do jego poboru zobowiązani są sprzedawcy w punkcie fizycznie prowadzonego handlu, podczas gdy Amazon – jako sprzedawca internetowy – podchodzi do tej kwestii cokolwiek swobodnie i pobiera ów podatek tylko w kilku z 50 stanów. Co, rzecz oczywista, wytrąca z równowagi pozostałych sprzedawców detalicznych, bo ceny Amazona są niższe. Ale przede wszystkim wściekają się władze poszczególnych stanów, ponieważ kwoty z podatków od sprzedaży zasilają ich budżety.

Walka władz z tym procederem trwa już od dobrych trzech lat i końca nie widać. Firma Bezosa tylko w 2010 r. wydała ponad 0,5 mln dol. na lobbing w tej sprawie, a dalsze kilkaset tysięcy na prawników i spotkania z wpływowymi kongresmenami. Jak na razie panuje impas, bo władze są bezsilne, a Amazon twardo stoi na stanowisku, że zacznie płacić, gdy system podatkowy stanie się bardziej sprawiedliwy (choć trudno konkretnie stwierdzić,

Uśmiech naiwniaka, z jakim uwielbia się fotografować 49-letni Jeff Bezos, to zmyłka. W rzeczywistości to twardy uczestnik gry o miliardy i rząd dusz.

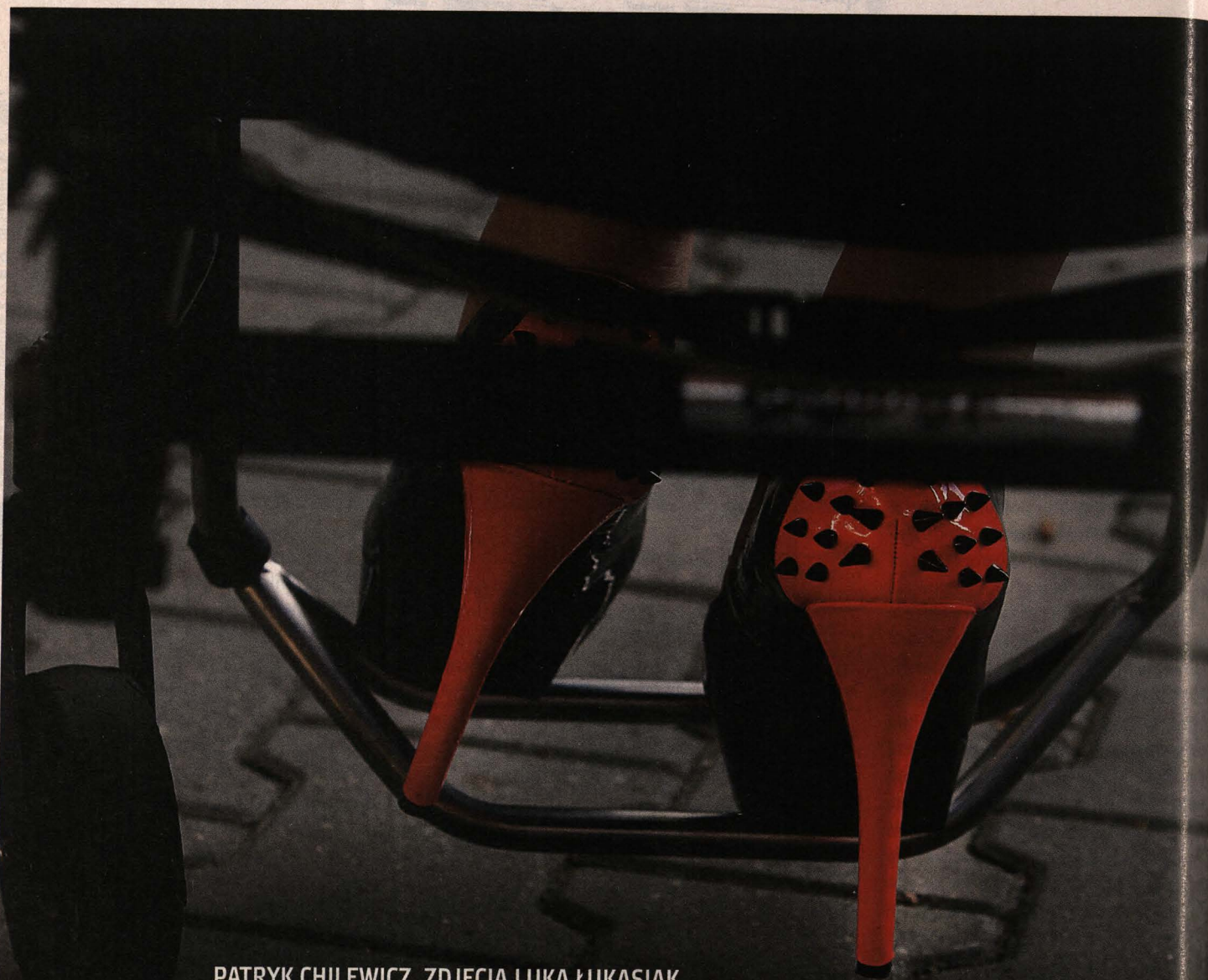
co właściwie firma ma na myśli, bo bojkotuje wszelkie dotychczasowe próby znalezienia kompromisowego rozwiązania). Podejrzenia, że sprytny bogacz zechce wykorzystać „Washington Post” w tej rozgrywce, nie są więc zupełnie bezpodstawne. Nie oszukujmy się – Bezos to przede wszystkim kupiec z wizją, bezgranicznie oddany swojemu biznesowi. Nie będzie próbował zostać kongresmenem, gubernatorem ani prezydentem. No chyba że to okaże się niezbędne do sukcesu w interesach.

Teoria 2: Bezos ratuje świat (prasy papierowej)

Ci, którzy nie wierzą, że Bezos zamierza zostać władcą świata, prorokują, że będzie nowym Mesjaszem. Zbawienie w jego wykonaniu ma obejmować podupadający rynek prasy. Inwencja twórcza większości redaktorów i zarządców korporacyjnych kończy się bowiem na tym, że treści z wydań papierowych należy wrzucić do sieci. Z małym opóźnieniem, he he. Niektórzy z zarządców dość naiwnie wierzą, że ktoś za te internetowe treści zechce zapłacić. Problem polega na tym, że to myślenie w stylu vintage, zrozumiałe więc, że środowisko czeka na oświecenie. Dziś średnio rozgarnięty nastolatek potrafi w pół minuty dotrzeć do ekwiwalentu treści płatnej, surfując po bezpłatnych portalach.

Tymczasem konsument za treści, i owszem, zapłaci, ale jeśli będą wyjątkowe. Czyli takie, których nie znajdzie na tysiącu innych portali. Dotyczy to zarówno przeciętnych magazynów, jak i brandów w rodzaju „Washington Post”. A to marka nie byle jaka: 47 nagród Pulitzera, czyli dziennikarskich Oscarów, z czego sześć w jednym roku (ten rekord został ustanowiony pięć lat temu i jak na razie nikt nie zdołał go pobić). Reporterzy, korespondenci, publicyści to śmietanka amerykańskiego dziennikarstwa, ale nawet im trudno jest dziś konkurować z tym, co oferuje skarbnica Google’a. Dlatego nie było żadną tajemnicą, że „Washington Post”, podobnie jak pozostałe ważne





PATRYK CHILEWICZ, ZDJĘCIA LUKA ŁUKASIAK

Ślicznotki w karocach

Boskie buźki, supersukienki, piękne uśmiechy i choreografie, a wszystko to na siedząco. Za nami pierwsze wybory **Miss na Wózku** – odbyły się 4 sierpnia w Ciechocinku. Kandydatki do tytułu miss zachwyciły nas i przeniosły w piękną bajkę, w której każda z księżniczek ma własną karoć. Dosłownie.

Niedziela to dla dziewczyn wyzwanie. Po porannej pobudce i szybkim śniadaniu stawily się w Pałacu Targon, gdzie od rana trwają przygotowania do wielkiej gali. Miski przymierzają kreacje ufundowane przez jedną ze znanych projektantek. Pod spodem seksowna bielizna od znanego producenta, w której wcześniej pozowały do specjalnego kalendarza. Wszystko dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Fundacja Jedyna Taka sprowadziła do Ciechocinka najlepszych fachowców od wizażu, stylizacji i choreografii, którzy pomagają dziewczynom przełamać stres i dają fachowe wskazówki. One nie brały jeszcze udziału w tego typu konkursach, oni owszem: przy pierwszych polskich wyborach Miss na Wózku pracują specjalnie obsługujący wcześniej najróżniejsze wybory miss. Pełen profesjonalizm.

Po godzinach porannych, które upływają na intensywnej nauce układów tanecznych we współpracy z Anną Bubnowską i Anną Osipiuk (wcześniej choreografia na wyborach Miss Polski i Miss Nastolatek), dziewczyny w końcu zaczynają się denerwować. Naturalne zamieszanie, które powstaje przed każdą dużą imprezą, potęguje ich treść i niepewność. Niektóre wyjeżdżają na zewnątrz zapalić papierosa, inne podenerwowane dyskutują z fryzjerem o włosach. Atmosfera robi się zdecydowanie napięta.

Ale jednej z dziewczyn to nie rusza, wszędzie rozbrzmiewa jej głośny śmiech. To Izabela Sopalska z Warszawy, cała wytatuowana, z mnóstwem kolczyków tu i ówdzie. W mocnym makijażu wygląda jak klasyczna pin-up girl, czerwone usta i retro sukienki uzupełniają stylizację. – Znajomi mnie namówili – tłumaczy, gdy pytam ją o powód przystąpienia do konkursu. – Jeden z kumpli podrzucił link, więc nadesłałam swoje zgłoszenie. Dlaczego by nie?

Obok Izy siedzi Olga Fijałkowska, drobna blondynka o romantycznym uśmiechu. Wyczuwam w niej całkiem odmienną, bardziej delikatną osobowość. – Chciałam przede wszystkim przełamać nieśmiałość – przyznaje. Wi-

dać, że Olę dużo kosztowało otwarcie się na otoczenie i udział w konkursie.

Wśród dziesiątki uczestniczek, wybranych przez internautów do ścisłego finału imprezy spośród 72 kandydatek, takich dziewczyn jak ona jest więcej. Dla każdej z nich to zupełnie nowe wyzwanie, bo nikt wcześniej nie wpadł na pomysł, żeby urządzić ogólnopolski konkurs najpiękniejszych dziewcząt na wózkach. Pomysł genialny w swojej prostocie, bo oczyszczający i budujący zarówno dla uczestniczek, jak i dla wspierających je rodzin.

Dziewczyny są przestraszone powagą sytuacji. Tak naprawdę dopiero teraz pojmują, że to nie zabawa, tylko wyda-



czenie na wielką skalę. Że będą je oglądać tysiące ludzi, a dodatkowo za kulisami od rana się mówi, że na imprezę zawita jakiś Ważny Człowiek ze Stolicy. Ekipa funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu już przyjechała do Ciechocinka, łatwo ich rozpoznać po szaleniu poważnych minach i mikrosluchawkach w uchu.

Iza, po wypaleniu kilku papierosów z rzędu, wjeżdża z powrotem do sali prób. – Poprawisz mi makijaż? Cały się zmył w ciągu dnia – prosi makijażystkę, która zresztą również śmiga tu i tam na wózku. Kwestia niepełnosprawności nie jest tematem tabu, wręcz przeciwnie. Dziewczyny często żartują ze swojej fizyczności, z tego, że nie mogą wstać. I to nie jest wymuszone, sztuczne czy

wykombinowane. Wyczuwam w nich dumę i świadomość samych siebie, co tylko wzmacnia ich kobiecość.

W godzinach popołudniowych akcja przyspiesza. Dziewczyny przestają zwracać uwagę na pałających się wszędzie dziennikarzy i fotoreporterów. Czas opuścić Pałac Targon – czyli hotel, w którym szykują się do finału. Wolontariusze sprawnie przenoszą misski z wózków do busów, które zawiozą je do muszli koncertowej. – No co mi uciekasz? – pokrzykuje jedna z wolontariuszek do długowłosej Weroniki Wróbel, finalistki z województwa dolnośląskiego. – Dasz sobie sama radę? – bureczy z humorem kobieta. – Jasne, że

Iza Sopalska na co dzień prowadzi blog, na którym opisuje utrudnienia komunikacyjne dla ludzi na wózkach w Warszawie.

nie dam – śmieje się Weronika. – W końcu jestem kaleką, tak czy nie?

Dialog wzbudza salwy śmiechu. Dcinki, które kiedyś mogłyby skaleczyć, dziś są żartami wypowiedzianymi właśnie przez te kaleki, ciamajdy, kuternogi. Dziewczyny zaczarowały obelżywe słowa w autoironiczne żarty i kompletnie odwróciły ich sens.

Hollywoodzki wjazd ślicznotek

Jeśli ktoś chce poczuć klimat tej imprezy, zachęcam do zerknięcia na YouTube'a. Zobaczycie tam m.in. wielki wjazd dziewczyn do muszli koncertowej, które zajeżdżały na miejsce na siodelkach harleyów, przystrojonych w husarskie miniskrzydelka w białoczerwonych

Jury pierwszych wyborów Miss na Wózku jednogłośnie przyznało koronę Oldze Fijałkowskiej.



barwach. Pozdrawiając zgromadzony tłum, dziewczyny wyglądały bardziej jak członkinie rockowego zespołu niż osoby niepełnosprawne, które muszą się zmagać ze stereotypowym postrzeganiem i (co w sumie nawet gorsze) z naszą niedorobioną architekturą.

Tropienie utrudnień architektonicznych to, nawiasem mówiąc, „misjsja” Izy Sopalskiej z Warszawy, autorki znanego bloga www.kulawawarszawa.pl, na którym dzieli się informacjami dotyczącymi dostosowania miasta dla osób na czterech kółkach. Znajdziecie tam sporo konkretów dotyczących zarówno pułapek, które czyhają na wózkarzy, jak też na temat przyjaznych miejsc – na przykład knajp. Część utrudnień, które wskazywała finalistka Miss na Wózku, została już zlikwidowana, a Iza współpracuje przy blogowym projekcie z fundacjami zajmującymi się niepełnosprawnością.

Ale w trakcie gali w Ciechocinku chwilowo o tym zapomniiała.

Po obfotografowaniu przez zawodców i publikę, szczerze wypełniającą widownię muszli koncertowej, dziewczęta znikają w namiocie rozstawionym przy scenie. Tutaj migiem przesiadają się na wózki, poprawiają ostatnie szczegóły wyglądu i całe w nerwach czekają na akcję.

Emocje są wielkie. – Nie obgryzaj pazurów! – krzyczy szeptem jedna misska na drugą, szturchając ją w łokieć. Kilka dziewczyn chowa się po kątach z papierosami, których nie wolno palić na terenie wokół muszli. Jedna z finalistek rozmawia z kimś bliskim przez komórkę, próbując opanować nerwy. Odnoszę wrażenie, że nawet ostra Iza trochę pęka, chociaż dziewczyny usiłują nie traktować tej przygody w kategoriach rywalizacji. – Tu nie chodzi o to, żeby wygrać – tłumaczy drżącym z podniecenia głosem Angelika Chrapkiewicz-Gądek (reprezentantka województwa małopolskiego), poza konkursem fanka nurkowania i założycielka stowarzyszenia Nautica. – Każda z nas w jakiś sposób już wygrała, sama ze sobą – dodaje.

Mimo charyzmy i silnych charakterów misski przeżywają ten występ jak

każdy inny człowiek. Może i są bardziej odporne psychicznie, mają grubszą skórę i odznaczają się większą pewnością siebie niż przeciętny człowiek, ale tak naprawdę przeżywają takie same emocje jak finalistki Miss Polonia, aktorzy przed premierą w teatrze czy laski z TV przed zapaleniem się czerwonego światełka w kamerze.

W końcu ja też zaczynam się denerwować. I obgryzam pazury. I jestem głęboko wdzięczny Katarzynie Krzeszowskiej, Miss Polski 2012, która była obecna na miejscu i pomogła nam wszystkim jakoś się opanować. Uspokajała dziewczyny, życzyła powodzenia i dopingowała, aż wreszcie magiczna kurtyna poszła w górę i stres się ulotnił.

Są księżniczki, wilka brak

Wszystko poszło jak z płatka. Dziewczęta po kolei prezentowały na scenie kreacje, uśmiech oraz osobowość. Prowadzący odpytywali finalistki na okoliczność pasji życiowych oraz wizji idealnego świata. – Konkurs Miss Polski na wózku to akcja społeczna, która ma odmienić wizerunek osób niepełnosprawnych, aby nie były postrzegane w kontekstach tragedii i litości. My też jesteśmy aktywne, uśmiechnięte, cieszymy się życiem. Moją pasją jest jazda na quadach. Moja rodzina i przyjaciele towarzyszą mi na rowerach, wspólnie jeździmy i podziwiamy świat – mówiła Sylwia Klusek (woj. mazowieckie). – Jako miss chciałabym poruszać temat osób, które po wypadkach zamykają się w domu i nie widzą w życiu miejsca dla siebie. – A ja gram w rugby z chłopakami na wózkach, nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. I skaczę ze spadochronem, mój rekord to skok z 4 tysięcy metrów – dodała jej rywalka, Ewa Woźniak.

Gdy już wszystkie dziewczyny zebrały się na scenie, zaprezentowały wspólny układ taneczny do popularnej piosenki. – Dobrze jest, nic nie pochrzanili. Na próbach były wpadki – mruczy do mnie wolontariuszka, z którą podglądam choreografię zza kulis. Na scenie i na widowni nerwy z wolna ustępują atmosferze zabawy. Emocje udzielają się prowadzącym dziennikarzom, Kamilowi Dąbrowie,

szefowi Jedynki Polskiego Radia, oraz Grzegorzowi Markowskiemu z TVN24. Wprawdzie Katarzyna Wojtaszek, szefowa fundacji Jedyna Taka i główna organizatorka gali, nie kryła zdenerwowania przez cały występ, ale wszystko poszło gładko. Tak gładko jak bużki missek.

W trakcie narady jury wśród publiczności nastąpiło poruszenie. Oto wreszcie zmaterializował się Ważny Gość ze Stolicy, którego przybycie zwiastował BOR: premier Donald Tusk we własnej osobie. Flesze fotografów obróciły się w jego stronę. Ale tylko na chwilę; odnotowujemy bez zbędnej ironii, że kluczowym wydarzeniem wieczoru były wybór i akt koronacji.

Jury (w składzie Miss Polski 2012 Katarzyna Krzeszowska, prezeska fundacji Jedyna Taka Katarzyna Wojtaszek oraz prezes Narodowego Konkursu Miss Polski Gerhard Parzutka von Lipiński) jednogłośnie wybrali zwyciężczynię, Olę Fijałkowską. Aplauz publiczności potwierdził zasadność werdyktu jurorów.

Sama Olga nie kryła łez wzruszenia, że została pierwszą w Polsce Miss na Wózku. Gdy ochłonęła, została ukoronowana przez Katarzynę Krzeszowską. – Serdeczne dzięki – oświadczyła po koronacji – ale zapewniam, że wszystkie dziewczyny są piękne, mądre i bardzo kobiece. Każda z nas zasługuje na ten tytuł – dodała Olga. A gratulacje, które odebrała od konkurentek, przypominały radość drużyny po wygranym meczu. Czujnie strzygłem uszami w służbie „Przekroju”, czy moje zamieniły się w dalekosiężne lunety, ale nie spostrzegłem najbliższej oznaki żalu, zawiedzionych nadziei czy zawiści u innych dziewczyn. Słowo.

A przyznam szczerze, że jadąc do Ciechocinka, miałem mieszane uczucia. To w końcu miasto, które bardziej kojarzy się ze starszymi ludźmi, rehabilitacjami i wizytami w tężni niż z wyborami miss piękności. Jechaliśmy tam z Luką, obawiając się, że duch imprezy zniknie w klimacie wakacyjnego uzdrowiska i skądinąd całkiem fajnych, potańcówek dla emerytów. Myliliśmy się: otrzymaliśmy solidną dawkę energii, radości i młodzieżowej werwy. Finalistki kon-



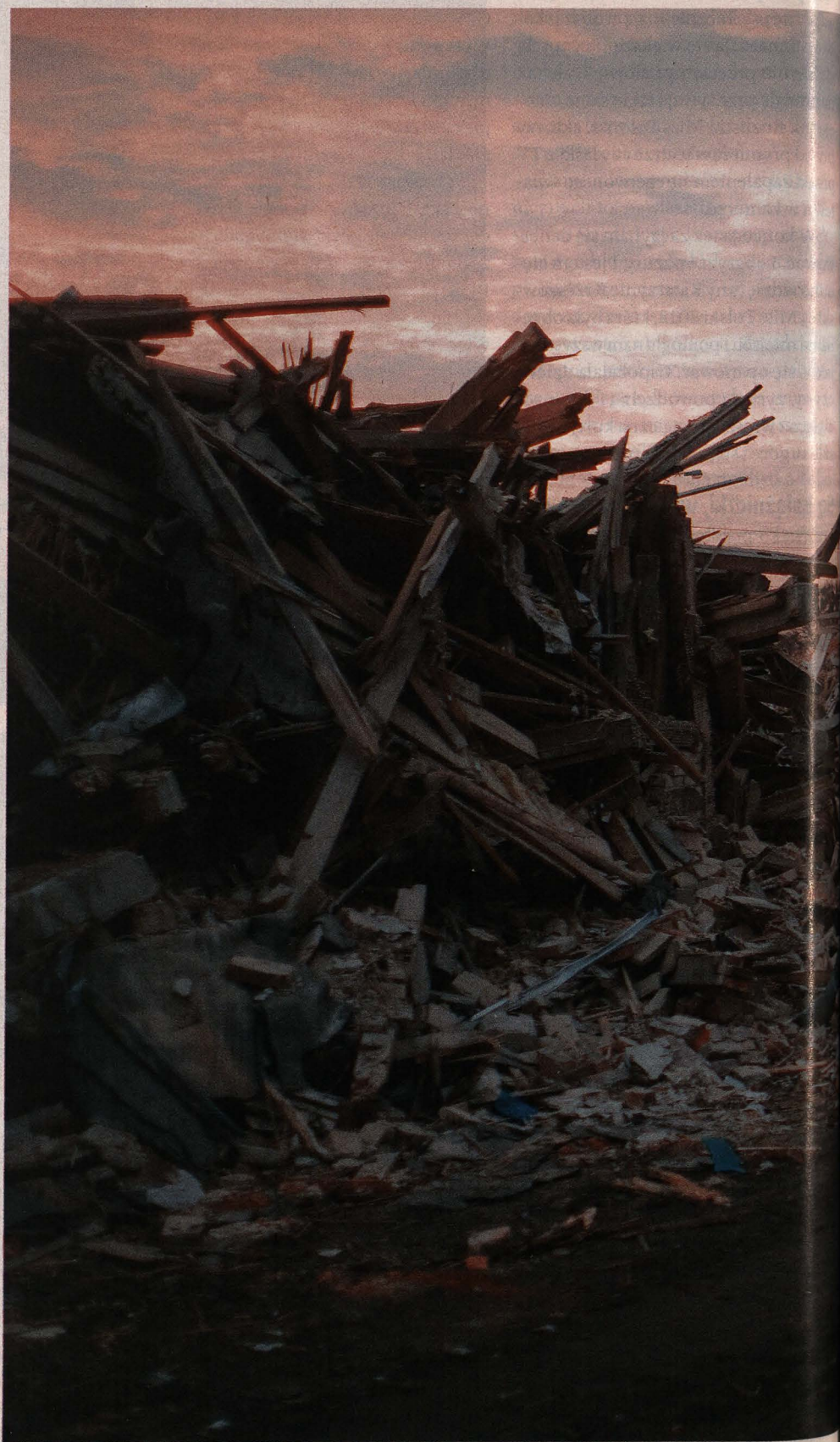
kursu udowodniły, że nie są bezwolnymi, zakompleksionymi i smutnymi kobietami, lecz seksownymi, zadbanymi kociakami. Pełnymi mocy, by mierzyć się z codziennością, oraz dystansu do siebie i swojej niepełnosprawności.

Feta po wydarzeniu trwała długo. – Musimy się za to napić! – zaproponowała jedna z dziewczyn, a reszta chętnie przyklasnęła. Piękno i dobro wygrały ze złośliwością i uprzedzeniami, jak w bajce Disneya. Tyle że w tej bajce księżniczek i karoc było całe mnóstwo. ☺

W konkursie wzięło udział 10 finalistek, wybranych przez internautów spośród 72 kandydatek z całej Polski.

Pejzaż. Na pierwszym planie widać przecięte na pół drzwi, na których leżą cegły. Na drugim planie niewielka kupa gruzu, połamane deski, a we mgle majaczy Pomnik Poległych Stoczniovców. Podpis pod zdjęciem wyjaśnia, że to dawna willa dyrektora Stoczni Cesarskiej z 1888 roku. Po wojnie mieściła żłobek dla dzieci pracowników, biuro głównego księgowego stoczni, bibliotekę zakładową, a w ostatnim okresie – teatr Znak. Kiedy ją wyburzano w 2008 r., miała równo 120 lat. Przetrwała dwie wojny światowe, PRL i upadek komunizmu. Została zrównana z ziemią, ponieważ w tym miejscu, zgodnie z nowym planem zagospodarowania, przebiega ulica Nowa Wałowa, która będzie prowadzić do gigantycznego centrum handlowego. Jego boczna ściana będzie miała długość ok. ćwierć kilometra. Gruz z rozbiórki willi, podobnie jak innych budynków zburzonych w tym samym czasie na terenie stoczni, posłużył za podbudowę fundamentów stadionu PGE Arena. Sportowy obiekt powstał z okazji zeszłorocznych Mistrzostw Europy w piłce nożnej. Na nowym stadionie w ramach Euro 2012 rozegrano cztery mecze.

W albumie Michała Szlagi właściwie każde zdjęcie opowiada podobną historię, choć nie zawsze wprost. To historia stopniowego znikania miejsca – legendy. Artysta od dawna angażuje się w obronę stoczni przed wyburzeniami, próbując przekonać decydentów, że ten teren to skarb. Na dawną Stocznnię Gdańską można patrzeć jak na prawie 80 hektarów atrakcyjnego gruntu w centrum miasta. Ale można też inaczej – jak na 150 lat historii wielkiego przemysłu, żywy dowód epoki industrialnej. – Powojenne losy stoczni i etos Solidarności stanowią zaledwie część, nawet nie połowę, historii. Świetną rzecz odkryłem ostatnio. W sierpniu 1920 r. miał tu miejsce strajk okupacyjny, w którym brało udział dwa tysiące ludzi. Żądali jednej wolnej soboty w miesiącu i zmniejszenia godzin dniówki. Wychodzi na to, że sierpień



AGNIESZKA BERLIŃSKA, ZDJĘCIA MICHAŁ SZLAGA

Tonie stocznia

Kiedy właściciel dawnych terenów **Stoczni Gdańskiej** ściągał artystów, by wypromowali to miejsce, jednego nie przewidział. Że odkryją tu coś, czego on nie dostrzega i zapuszczą głęboko korzenie, a wyrosła z tego sztuka obróci się przeciwko niemu. Tak jak zdjęcia Michała Szlagi, które układają się w kronikę stopniowego znikania stoczni. We wrześniu książka w końcu ukaże się drukiem.





jest dobrym miesiącem na strajk – opowiada Szlaga. W ciągu dziesięcioleci stocznia stała się miastem w mieście. Miała swoje ulice, punkty gastronomiczne, żłobek, mieszkania dla robotników, a nawet tory kolejowe, które prowadziły do wszystkich budynków produkcyjnych. – To była gotowa i niesamowita przestrzeń do życia. Naiwnie wyobrażałem sobie, że budowa Młodego Miasta będzie polegała na połączeniu starego z nowym. Że nowe wpisze się w istniejącą strukturę.

Szlaga fotografuje stocznice od 13 lat. Trafił tu jako student Wydziału Fotografii gdańskiej ASP, szukając ciekawych plenerów do zdjęć. Kiedy skończył akademię – dyplomem z portretami stoczniovców – zatrudnił się jako malarz – piaskarz. To była robota dla twardzieli. Szlaga wytrzymał tydzień. W pewnym sensie pozostał pracownikiem stoczni – stał się fotografem prasowym od stoczniowych tematów. Wykonany dla „Newsweeka” portret Anny Walentynowicz, która stoi o kuli na tle ruin jednego z zakładowych budynków, wisi dziś w gdańskim Muzeum Narodowym.

Kiedy w 2001 r. nowy właściciel terenu zaprosił do stoczni artystów, udostępniając im część budynków na pracownię, Szlaga razem z kilkudziesięcioma innymi osobami zamieszkał w budynku byłej centrali telefonicznej. Tak powstała słynna Kolonia Artystów, zlikwidowana pięć lat później przez następnego właściciela. Twórcy mieli ocieplić industrialny wizerunek stoczni, ożywić ją. To się udało, ale proces miał też skutki uboczne. Artysty wprowadzili zmiany, ale ona również zmieniła ich. – Najważniejsze co od stoczni dostaliśmy, to to, że tutaj żyliśmy. Stała się naszym domem.

Kiedy zaczęły się pierwsze wyburzenia, Szlaga – najpierw mimochodem, potem coraz bardziej świadomie – zaczął je rejestrować. – Doszło do mnie, że fotografią mogę coś dla stoczni zrobić – wspomina dzisiaj. Widząc jak stopniowo znika i to po cichu, zaczął również gromadzić pamiątki.



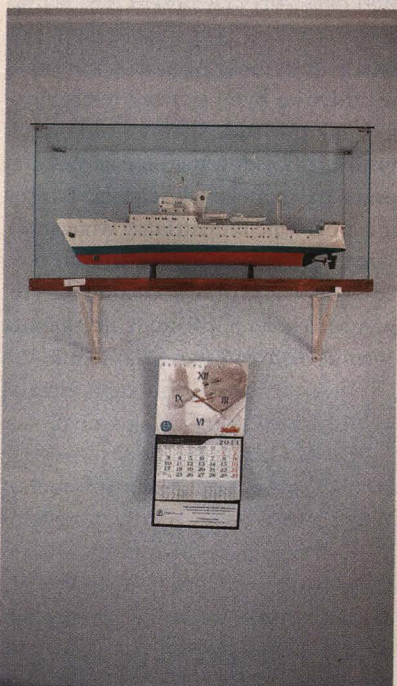
Pieniek ściętego kasztanowca, fragment mozaiki ze ściany zakładowej stołówki, wyblakły napis „Niech żyje Lech Wałęsa!” na płatach złuszczonej farby olejnej. Do kolekcji można jeszcze dorzucić tatuaż na ramieniu przedstawiający stoczniowy dźwig. Żeby mieć oko na stocnię, kupić mieszkanie po drugiej stronie placu Solidarności z widokiem na Bramę Historyczną. Codziennie, idąc do pracowni w budynku starej dyrekcji, fotografuje turystów, którzy robią sobie pamiątkowe zdjęcie na tle bramy. To temat na następny album.

Książka, która ukaże się we wrześniu, jest kolejnym apelem Szlaga o ratunek dla stoczni. – Z jednej strony chcę pokazać architekturę, którą można jeszcze ocalić, z drugiej – chciałbym, żeby atuty tego miejsca zaczęto wreszcie traktować jako atuty, a nie balst – mówi. Jego książka to antyalbum. Zamiast splendoru, ukazuje zgłiszcza. Już widzę miny turystów, którzy będą ją oglądać w kiosku z solidarnościowymi pamiątkami przy Bramie Historycznej. Za bramą rozbiórka trwa. 📷



„Stocznia Szlaga”

zdjęcia: Michał Szlaga,
tekst: Jacek Dominiczak,
Michał Szlaga, Adam Mazur,
Waldemar Affelt, projekt
graficzny: Olga Łebkowska;
wyd. Fundacja Karrenwall
2013. Promocja książki
odbędzie się w warszawskim
Muzeum Sztuki Nowoczesnej
11.09 o godz. 19.



ANNA SAŃCZUK

Obrazki z wystawy

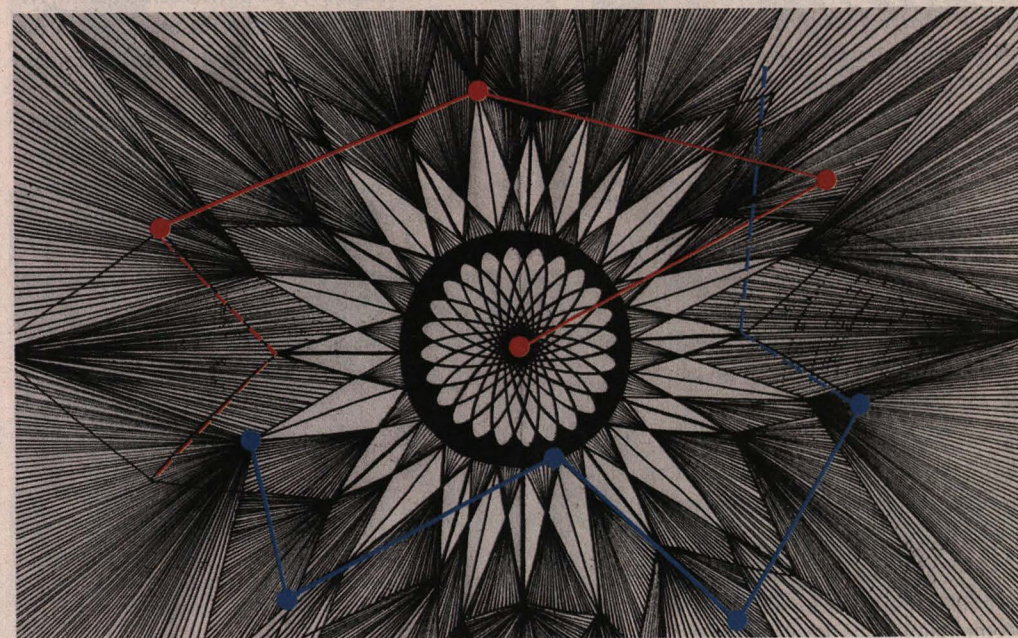


Pod koniec wakacji w Berlinie rusza **międzynarodowy festiwal Illustrative**. Gościem honorowym imprezy jest Polska, a 31 sierpnia w ramach Polish Illustration Focus zostanie otwarta wystawa współczesnych twórców znad Wisły „**Where I Come From**”. To świetny pretekst, by przyjrzeć się, czym dziś żyje polska ilustracja.

Był piękny czas, gdy polski rysunek i grafika miały niepodważalną pozycję, i to nie tylko w naszym kraju. Na przełomie lat 50. i 60. XX w. mityczna już Polska Szkoła Plakatu i powiązana z nią Polska Szkoła Ilustracji kreowały rodzimą przestrzeń wizualną i – mimo żelaznej kurtyny – wzbudzały podziw na świecie. Pełne fantazji, oparte na swobodnym geście plakaty Henryka Tomaszewskiego czy Jana Młodożeńca zdobywały prestiżowe nagrody na festiwalach i do dziś stanowią ozdobę niejednej światowej kolekcji, a ilustrowane przez Janusza Stariego czy Olę Siemaszko książki Naszej Księgarni stawiane były wówczas za wzór przez UNESCO. Po dniach chwały trwających w zasadzie dekadę (od 1955 do 1968 r.) nastąpiło załamanie spowodowane m.in. sytuacją polityczną w kraju, a potem, w dobie wczesnego kapitalizmu, zalewem wizualnego śmietnika. Dopiero pod koniec lat 90. można dostrzec symptomy odnowy, a z prawdziwą erupcją znakomitej grafiki oraz ilustracji mamy do czynienia w ostatnim dziesięcioleciu. I to właśnie twórczość artystów urodzonych w latach 70. i 80. będzie prezentowana na berlińskiej wystawie, którą w ramach festiwalu Illustrative przygotowały organizacje promujące polskich twórców: Stowarzyszenie Twórców Grafiki Użytkowej oraz Fundacja ILLO przy wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. To szansa na poprowadzenie linii stycznych z dokonaniem znakomitych poprzedników sprzed pół wieku, do czego zachęca sam tytuł ekspozycji: „Where I Come From”.

Drang nach Westen

Illustrative, jedna z największych imprez prezentujących ilustrację i grafikę, odbywa się w Berlinie od 2006 r. (były też edycje w Paryżu i Zurychu). Od początku mózgiem i duszą wydarzenia są Pascal Johanssen i Katja Kleiss, którzy od kilku lat prowadzą działalność w Direktorenhaus, zabytkowym budynku dawnej mennicy. Oprócz swojego sztandarowe-



AGATA DUDEK



MALWINA KONOPACKA

go projektu organizują tam wydarzenia z pogranicza sztuki i kulinariów (festiwal Taste), goszczą wystawy ze świata. Na tegorocznej, szóstej odsłonie Illustrative pokazane zostaną prace 36 polskich artystów. Kilko z nich, m.in. Arobała, Tymka Jezierskiego i Bożkę Rydlewską, kura-

tor Pascal Johanssen wybrał do głównej wystawy międzynarodowej, pozostali zaprezentują się w części polskiej. – To ważne, że możemy się pokazać w ramach tego festiwalu, ponieważ ma on wielkie zaplecze, kontakty z wydawnictwami, kolekcjonerami i kuratorami na całym

świecie. Dzięki temu mamy pewność, że ludzie, na których nam zależy, zobaczą tę wystawę. Inaczej byłoby niezwykle trudno do nich dotrzeć – mówi ilustratorka Agata „Endo” Nowicka. Wraz z Marią Zaleską, z którą od dwóch lat prowadzą Fundację ILO, są kuratkami polskiej prezentacji. Dzięki nim goście festiwalu będą mieli okazję zetknąć się z zaskakująco różnorodnym spektrum polskiej ilustracji. Od misternych ołówkowych dzieł Arobała przez podane w zabawny sposób erotyczne prace Ady Buchholz i pikselowe opowieści Agaty Nowickiej po przestrzenne instalacje rysunkowe Tymka Jezierskiego czy modele modernistycznych budynków Magdaleny Łapińskiej. – Ta wystawa jest w pewnym sensie o dzieciństwie – wyjaśnia Agata. – Pokazujemy ją na strychu, który wiąże się z tajemnicą, krainą zabawy i fantazji. Momentami prace docierają do prostego znaku graficznego, jak w projektach Łukasza Rayskiego czy Edgara Bąka, ale część z nich to niesamowite baśniowe krainy, jak niepokojące prace Aleksandry Waliszewskiej, groteskowe rysunki Macieja Sieńczyka czy kolaże Janka Dziaczkowskiego. Pozwalają nam obcować z wyobraźnią artysty i wciągają w swój świat.

Nowa „szkoła polska”?

Niezupełnie. – W przypadku dzisiejszej polskiej ilustracji nie można mówić o spójnej grupie twórców – twierdzi Bartek „Arobal” Kociemba, artystyczny samouk, rozchwytywany rysownik, który z wykształcenia jest politologiem. – Każdy z nas ma całkowicie odrębny styl, co zresztą uważam za wielką zaletę.

Już pojęcie Polskiej Szkoły Plakatu było w istocie pojemnym workiem, do którego wrzucono bardzo różnych twórców. Dziś także środowisko ilustratorów to zbiór indywidualności, w erze globalizmu trudno też mówić o wyraźnych stylach narodowych. Jednak mimo wszystkich zastrzeżeń można odnaleźć w polskiej ilustracji wspólny ton. – Faktem jest, że polscy ilustratorzy potrafią wytworzyć w swoich pracach pozbawiony dosłowności klimat – za-

uważa ilustratorka Agata Dudek. – Nie ślizgają się po powierzchni tekstu, tylko wnikają w głąb. Ilustracje stają się dopełnieniem treści, a nie powtórzeniem tego, co w tekście.

Arobal odnajduje w rodzimej twórczości podskórny niepokój, przeciwieństwo estetyzacji, która dominuje w zachodnim ilustrowaniu. Edgar Bąk, zna-



Kuratkami polskiej prezentacji w Berlinie: Agata „Endo” Nowicka i Maria Zaleska.

komity twórca grafiki użytkowej i autor minimalistycznych ilustracji, dostrzeż coś jeszcze: – Dystans i ciepło, które ma wielką siłę zmieniania otoczenia. Z kolei artystka Aleksandra Niepsuj nie ma wątpliwości, że cechą wspólną wiodących nadwiślańskich ilustratorów jest dobre rzemiosło. – Wszystkie te osoby mają wyrobioną rękę i potrafią rozwiązać każdy problem rysunkowy – mówi.

Skąd przychodzimy?...

Zanim powstała wizja berlińskiej wystawy, kuratorki odbyły wiele rozmów z Pas-

calem Johanssenem, który podkreślał, że zależy mu na pokazywaniu ilustracji jako sztuki, niekoniecznie w kontekście czysto użytkowym. Ostatecznie klucz do wyboru prac znalazły w przeszłości. – Doszłam do wniosku, że łączy nas wspólne doświadczenie: czytaliśmy te same książki z ilustracjami Stannego i Szancera, widywaliśmy plakaty Świerzego czy Tomaszewskiego – tłumaczy Agata Nowicka.

Wielu twórców wprost przyznaje się do inspiracji poprzednikami. Agata Dudek, często ilustrująca książki dla dzieci, nie broni się przed porównaniami swojej twórczości do dzieł mistrzów Polskiej Szkoły Ilustracji, uważa je za wielki komplement. Edgar Bąk opowiada, jak w dzieciństwie zaczytywał się „Tytusem, Romkiem i A'Tomkiem” Papcia Chmiela i fascynowały go widoki miast widoczne w tle komiksowych przygód. Dziś tworzy graficzne wizerunki warszawskich dzielnic w hołdzie dla miasta, w którym mieszka od kilkunastu lat. W pamięci ma też książkę do matematyki dla klasy 4. ze znakomitymi ilustracjami, prawdopodobnie Bohdana Butenki. Ola Niepsuj na spotkanie przynosi ukończoną lekturę z dzieciństwa, „Księgę portretowych zażeń” Jerzego Kiersta, także z rysunkami Butenki. Występujące w niej postacie, wkleśiołek i wypuczek, mają w sobie ten rodzaj uroku i dowcipu, który można znaleźć dziś w rysunkach Oli. – Lubiliśmy z bratem książki Niziurskiego z ilustracjami tego autora – wspomina. – Stawialiśmy je na półkach okładkami do przodu, tak nam się podobały! Niby proste rysunki, które dla niewyrobionego oka wyglądają na dziecinne, a to naprawdę wielka sztuka. Dziś wiem, jak trudno jest, mając jakąś wiedzę o plastyce, tak swobodnie rysować. Te rysunki przemycają inteligentny humor, zawsze są trafione w punkt, jedną kreską opowiadają wszystko. Kolejny mistrz to Janusz Stanny. I Jan Młodożeniec, którego lubi mój tata – razem oglądaliśmy jego albumy.

Arobal zauważa: – Moje pokolenie załapało się na książeczki dla dzieci

ilustrowane w sposób, który nie był estetycznie „śliczny”, bez różowo-plastikowej dosłowności. Śliczność di-snejowską odkryłem, kiedy pojawiły się kasety wideo. Byłem zafascynowany Śpiącą Królewną, ale oglądałem ją w wersji... czarno-białej, bo nasz od-twarzacz był kiepski. Ta głębia szarości była niesamowita i czasami to wyglądało, jakby animacja była z wosku. Kiedy wreszcie zobaczyłem bajkę w kolorze, byłem zszokowany! – śmieje się Bartek.

Inspiracji można szukać wszędzie, uważa Dawid Ryski, znany też jako „Talkseek”, z wykształcenia architekt krajobrazu, z zamiłowania muzyk, perkusista zespołu The Black Tapes, który oprócz rysunków dla prasy projektuje nadruki na koszulki, deskorolki, narty czy płyty. – W podstawówce przerysowywałem do zeszytu logo zespołów metalowych, w liceum byłem oddany deskorolce, interesowałem się artystami, którzy robili grafiki na deski. Jednak zawsze największą inspiracją jest dla mnie po prostu życie i ludzie – z tego można czerpać wiadrami.

...Kim jesteśmy?...

– W porównaniu z tym, co działo się dekadę wcześniej, pod względem ilości dobrej ilustracji, jest świetnie. Jakkolwiek gazetę otworzę, widzę rysunek na niezłym poziomie. Natomiast nie jestem pewien, czy to zawód, który pozwala więcej niż 40 osobom z niego żyć. Myślę, że to raczej 10 osób, czyli trochę mało jak na taki kraj – mówi Edgar Bąk. Z kolei Ola Niepsuj twierdzi, że z ilustracji można się utrzymać, ale niezbędny jest specyficzny zbiór cech, jak pracowitość, elastyczność, odporność na stres (krótkie terminy!), zrozumienie potrzeb rynku i umiejętność autopromocji. – Uczę na ASP w Łodzi, gdzie jest mnóstwo zdolnych ludzi. Jednak już na studiach widać, że to charakter wielu absolwentom nie pozwoli na pracę freelancera.

Sama łączy ilustrację z projektowaniem graficznym, tworzeniem stron internetowych, pracą na uczelni. Taki płożdzian jest wśród ilustratorów częstym





TYMEK JEZIEJSKI



DAWID RYSKI



ANNA GOSZCZYŃSKA



ALEKSANDRA WALISZEWSKA



MACIEJ SIŃCZYK

zjawiskiem. Wszyscy też zaczynają odczuwać wpływ brzydkiego słowa na K. – Kryzys dotyka w pierwszej kolejności branż, które są związane z projektowaniem graficznym, jak reklama, media – zauważa Nowicka. – Obcina się budżety pism, zamyka się je i to uderza w ilustratorów. W ostatniej dekadzie pojawił się prawdziwy boom na ilustrację. Teraz mamy mnóstwo nowych talentów, które mają dużo do zaproponowania, ale... nie ma zleceń. Albo są znacznie mniej dochodowe niż jeszcze kilka lat temu.

Jak wyjaśnia Arobal, wspólnym mianownikiem dla ilustratorów freelancerów jest brak stabilizacji wpisany w ten zawód: – Każdy z nas rysuje na łodzi. Czasem ten łód jest trochę grubszy, czasem cieńszy. To, że nagle znalazł się duży klient, wcale nie znaczy, że za pół roku też znajdzie się podobny. Z czego więc żyje ilustrator Arobal? – Zaczynałem od zleceń prasowych. Czasem zdarzyło mi się zaprojektować okładkę płyty, zilustrować książkę, przez jakiś czas tworzyłem dla teatru, który uwielbiałem. Teraz obserwuję dużą zmianę. Mam rosnącą bazę klientów prywatnych, którzy raz na jakiś czas zamawiają jakąś pracę albo kupują do kolekcji czy na prezent. Nie wiem, czy to typowa ścieżka dla ilustratora, ale być może to jest moja przyszłość.

Ilustratorzy narzekają też na polską etykę pracy, która pozwala zleceniodawcom bez końca przeciągać terminy płatności (klasyczny obrazek z życia wolnego strzelca pod hasłem „Czekam na przelew”), na absurdalnie krótkie terminy realizacji czy umowy, dzięki którym zamawiający za groszową zapłatę próbuje przejąć prawa do rysunku po wsze czasy i na wszystkich nośnikach. Narzekają również na brak szacunku dla ich profesji: – Nie lubię, kiedy ktoś nie szanuje mojego czasu, bo wydaje mu się, że rysowanie jest niepoważnym zajęciem, rodzajem hobby – mówi Agata Dudek.

...Dokąd zmierzamy?

Zawodowe marzenia ilustratorów są różne, jak ich rysunki, jednak podsta-



EWA DYSZLEWICZ



EMILIA OKSEŃ



PIOTR NIEPSUJ



JĘDRZEJ SOKÓŁOWSKI

wową miarą sukcesu jest to, że mogą robić to, co lubią, i się z tego utrzymać. Dla Agaty Nowickiej takim marzeniem była publikacja w „New Yorkerze” i to się spełniło. Teraz rysowanie już jej nie wystarcza, chce pokazywać polskich ilustratorów na świecie, dlatego razem z Marią Zaleską założyły agencję ILLO, którą następnie przekształciły w fundację.

Okładka w „New Yorkerze” to także cel Oli Niepsuj, która daje sobie na to pięć lat. Edgar Bąk kiedyś chciał zaprojektować znaczek pocztowy, etykietę wina i okładkę płyty. Na razie udało mu się to ostatnie, ale po książce „Kto ty jesteś”, którą zilustrował, marzy mu się jeszcze stworzenie wizualnego komentarza do jakiejś wielostronicowej narracji. Okładka ulubionego zespołu czy wytwórni pojawia się także wśród zawodowych pragnień Dawida Ryskiego. Arobal, jako ilustrator prasowy,

Kobięca twarz polskiej ilustracji. Od góry od lewej: Agata Dudek, Malwina Konopacka, Ola Niepsuj i Magdalena Karpińska.

czuje się spełniony na polskim rynku, jego rysunki pojawiły się praktycznie we wszystkich pismach, na których mu zależało. Teraz chciałby ilustrować mądre, głębokie teksty i poszerzać pole własnej, czysto artystycznej wypowiedzi, nawiązać współpracę z dobrą galerią. Agata Dudek nie chce rozmawiać o marzeniach zawodowych, żeby nie zapeszyć, ale bez rysowania nie wyobraża sobie życia. Jak mówi: – Ilustracja jest niczym innym jak sztuką patrzenia i obrazowania. Dla mnie wszystko może być ilustracją. Nieważne, czy zrobisz mural, zaprojektujesz książkę czy postawisz instalację na środku miasta – trzeba znaleźć odpowiedni kontekst i zastanowić się, na jakie pytanie to odpowiada. Tyle jest teraz możliwości, że aż szkoda zamykać się tylko w jednej szufladzie!

To chyba całkiem niezłe motto najnowszej polskiej ilustracji.

Festiwal ILLUSTRATIVE, Polish Illustration Focus:

„Where I Come From”, 31.08 – 8.09, Direktorenhaus, Am Krögel 2, Berlin-Mitte
Artyści: Jan Bajtklik, Edgar Bąk, Agata Bogacka, Katarzyna Bogucka, Ada Buchholz, Ola Cieślak, Agata Dudek, Jan Dziachowski, Anna Goszczyńska, Mirosław Gryń, Daniel Horowitz, Marta Ignerska, Marcelina Jarnuszkiewicz, Tymek Jezierski, Paweł Jońca, Magdalena Karpińska, Bartek „Arobal” Kociemba, Malwina Konopacka, Magdalena Kapińska, Anna Niesterowicz, Agata Marszałek, Zuza Miśko, Alek Morawski, Ola Niepsuj, Agata Nowicka, Jan Estrada Osmyski, Łukasz Rayski, Bożka Rydlewska, Dawid Ryski, Marta Sławińska, Rafał Szczepaniak, Maciej Sińczyk, Marianna Sztyma, Tomasz Walenta, Aleksandra Waliszewska, Magda Wolna.

Kuratorki: Agata Nowicka, Maria Zaleska (ILLO), współpraca Rene Wawrzekiewicz. Projekt ekspozycji: Małgorzata Kuciewicz, Simone de Iacobis (CENTRALA), projekt graficzny: Jakub Jezierski.

BARBARA HOLLENDER

Młodość siedemdziesięciolatka

Wenecki Festiwal Filmowy obchodzi jubileusz. Filmowa feta przetrwała zakręty historii, kilka razy powstała z upadku i dzisiaj znów ściąga na Lido to, co w światowym kinie najciekawsze.



Palazzo del Cinema, czyli wenecki pałac festiwalowy, wygląda jak białe, płaskie pudełko od zapalek. Nie wiodą do niego wyściełane czerwonym dywanem schody. Nikt tu nie wystaje od rana, by zarezerwować sobie dobry punkt obserwacyjny na wieczorną galę, a pod hotelami nie słychać okrzyków fanów. Przez tłumek gapiów bez wielkiego trudu przedzierają się rowerzyści. Mniej tu blichtru i snobizmu niż w Cannes, mniej rozpolitykowania niż w Berlinie. Atmosfera weneckiego festiwalu jest pełna luzu i młodzieńczej radości. A przecież to najstarsza filmowa impreza świata.

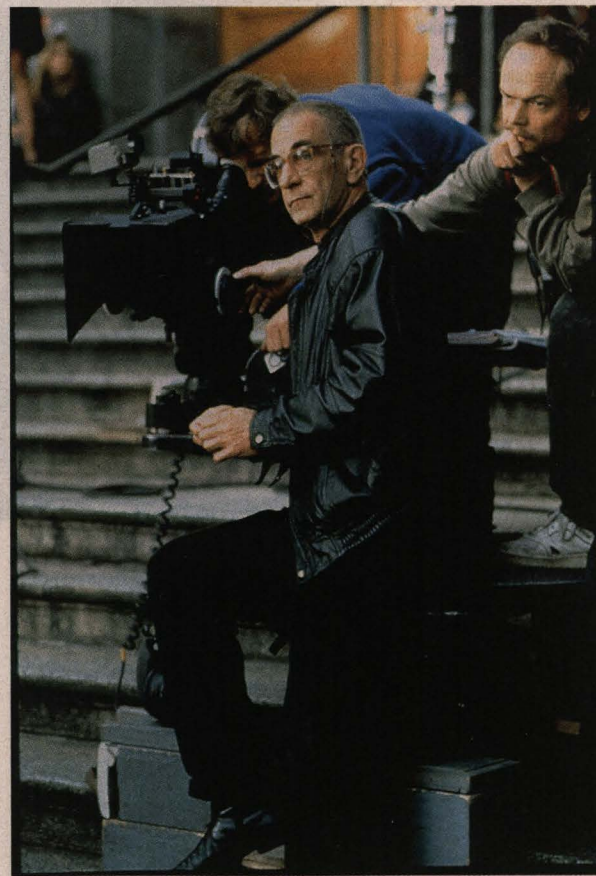
Gdyby burzliwa historia XX wieku nie sprawiła, że festiwal kilka razy zawieszano, obecną odsłonę mogłaby poprzedzać liczba 82. Bo pierwszy przegląd odbył się na Lido w 1932 r. Wymyślił go hrabia Giuseppe Volpi di Misurata, ówczesny prezydent Biennale Sztuki, które organizowane było już wówczas w Wenecji od blisko pół wieku. Wspierał go sekretarz generalny tej imprezy, rzeźbiarz Antonio Mariani. Wenecja wydawała się dla filmowej fety wymarzoną lokalizacją. Wspaniałe „miasto na wodzie”, tłumnie odwiedzany przez turystów plac Świętego Marka, romantyczny most Rialto i gondole pływające po Canale Grande. Ale na siedzibę festiwalu di Misurata wybrał znacznie spokojniejsze, zielone Lido. Vaporetto płynie tu z San Marco około 30 minut, a z najbliższego Giardinetti – 10. Festiwalowe życie od początku toczyło się wokół dwóch hoteli. W 1932 r. kino pod gołym niebem z tysiącem miejsc zorganizowano na schodzącym do plaży i morza tarasie Excelsioru. Wielu gości zatrzymało się też w okazałym Hotel Des Bains, gdzie potem „Śmierć w Wenecji” kręcił Luchino Visconti (dziś hotel został zamknięty i – to signum temporis – jest zamieniany w luksusowy apartamentowiec).

Pierwszy festiwal zaczął się 6 sierpnia, gdy na ekranie pojawiła się czołówka „Doktora Jekylla i Mister Hyde’a” Roberta Mamouliana, i trwał 15 dni. Pokazano 25 filmów fabularnych z dzieł wielu krajów. Obejrzało je 25 tysięcy (!)

Marlon Brando (na zdjęciu na poprzedniej stronie) podbił Wenecję w 1954 r. jako bohater filmu „Na nabrzeżach”.

widzów. Ale jakie to były tytuły! „Forbidden!” Franka Capry, „The Champ” Kinga Vidora, „Niech żyje wolność!” René Claira, „Ludzie w hotelu” Edmunda Gouldinga. Nic dziwnego, że wydarzenie okazało się wielkim sukcesem. Na Lido ściągnęły gwiazdy: Greta Garbo, Clark Gable, Norma Shearer, James Cagney, Ronald Colman, Loretta Young, John Barrymore, Joan Crawford i pierwszy Frankenstein – Boris Karloff.

„Kino to sztuka XX wieku” – powiedział na zakończenie imprezy Antonio Mariani. Początkowo festiwal miał się odbywać, podobnie jak Biennale, co dwa lata, ale już w 1934 r. zdecydowano, że będzie organizowany co rok. Bo formuła



Krzysztof Kieślowski zdobył Złotego Lwa za „Trzy kolory. Niebieski” w 1993 r.

chwyciła. Przy drugim przeglądzie akredytowało się 300 dziennikarzy. Wtedy też wręczono po raz pierwszy nagrodę, Puchar Mussoliniego, choć nie było jeszcze jury, a laureatów wskazywał prezydent Biennale, jak wówczas podkreślano, po „konsultacjach” z różnymi osobami.

Festiwal rozwijał się dynamicznie i w 1937 r. dorobił się siedziby – zaprojektowanego przez Luigi Quagliatę pałacu, który funkcjonuje do dzisiaj. Podjęte kilka lat temu próby budowy nowego, okazałego centrum filmowego nie powiodły się. Zabrakło pieniędzy.

Polityka kontra sztuka

Zakochany w sztuce filmowej hrabia di Misurata obiecywał, że kino obroni się w Wenecji przed wpływami polityki, rząd włoski też gwarantował niezależność i brak cenzury. A jednak historia była silniejsza. W Europie dochodził do głosu faszyzm. W Wenecji ściągały się różne opcje i światopoglądy. W 1937 r. nagrodę za wkład artystyczny dostali „Towarzysze broni” Jeana Renoira, film o francuskich jeńcach w czasie I wojny światowej, przez Goebbelsa nazwany „prożydowskim, kinowym wrogiem numer 1 Niemców”. Ale już rok później Puchar Mussoliniego odbierała Leni Riefenstahl za dwuczęściowy dokument „Olimpiada”. Bliska przyjaciółka Hitlera, autorka słynnego „Triumfu woli”, podjęła się gigantycznego zadania. Filmując olimpiadę z 1936 r., miała do dyspozycji 45 kamer. Nakręciła 200 godzin materiałów, potem przez dwa lata montowała czterogodzinny film, tworząc pean na cześć siły i hartu ducha, odbierany wówczas jak manifest ideologii nazistowskiej.

W czasie II wojny światowej ten nurt zdominował festiwal całkowicie. Święto sztuki przeniosło się z Lido do centrum Wenecji i zamieniło w propagandową imprezę reżimu Mussoliniego. Artyści ze świata zbojkotowali imprezę, która stała się przeglądem niemiecko-włoskim, a potem na dwa lata została zawieszona.

Dopiero po wojnie twórcy odrodzonej weneckiej Mostry znów zwrócili się ku sztuce i starali się, by festiwal odzyskał dawną sławę i pozycję. Musieli już konkurować z Cannes, gdzie pierwsze święto kina zorganizowano w 1946 r. Ale walczyli, choć – jak to często bywa – nie doceniali własnego kina. Dziś trudno w to uwierzyć, ale jurorzy przyznawali wówczas Wenecką Nagrodę Główną

(oczywiście już nie Puchar Mussoliniego) Olivierowi i Francuzom, pomijając własne neorealistyczne filmy Rossellini, De Siki, De Santisa czy Germiego.

W 1949 r. Mostra wróciła na Lido, wtedy też narodził się Złoty Lew, którego pierwszym laureatem został Henri-Georges Clouzot (znów Francuz!) za „Manon”. Festiwal rozwijał się dynamicznie, kwitł. To Wenecja odkryła dla świata kino azjatyckie, gdy w 1951 r. po raz pierwszy pokazała w Europie film japoński – „Rashomona” Kurosawy – i uhonorowała go Złotym Lwem. To tutaj kinomani zauważyli niezwykle talent indyjskiego reżysera Satyajita Raya, tu wreszcie rozbiła gwiazda Andrieja Tarkowskiego, nagrodzonego w 1962 r. Złotym Lwem za „Dziecko wojny”. Tu w latach 60. zbierali laury Roberto Rossellini, Mario Monicelli, Francesco Rossi, Michelangelo Antonioni i Luchino Visconti. Tu narodziły się wielkie gwiazdy kina włoskiego Claudia Cardinale, Marcello Mastroianni, Monica Vitti.

Ale potem przyszły dla Wenecji ciężkie czasy. W maju 1968 r., w czasie studenckiej rewolty, w Cannes wieszano na kurtynie Jean-Luc Godard. Natomiast w Wenecji Złotego Lwa dostał pseudoawangardowy, pretensjonalny niemiecki kicz Alexandra Kluge’a „Artyści pod kopułą cyrku: bezradni”. Wybuchł skandal. Zbuntowani twórcy włoscy, m.in. Ettore Scola i bracia Taviani, zerwali festiwal, który nie odrodził się przez następnych 10 lat. W jego miejsce próbowano organizować dni filmu włoskiego, potem kina wschodnioeuropejskiego.

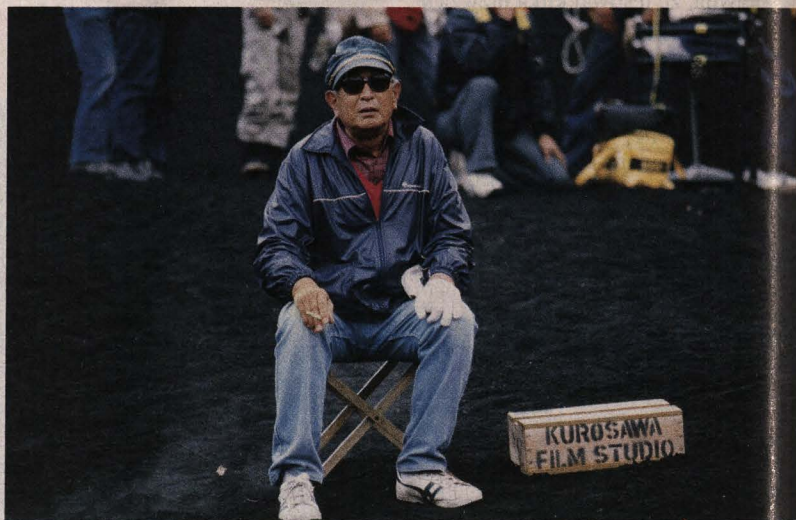
Następny Złoty Lew zaryczał dopiero w 1980 r. Dla dwóch artystów – Louisa Malle’a (za „Atlantic City”) i Johna Cassavettesa (za „Glorię”). Od tej chwili Wenecja zaczęła odzyskiwać dawny blask.

Dziś na świecie funkcjonuje blisko 2 tysiące filmowych imprez, ale naprawdę wielkich i głośnych jest kilkanaście. Te za oceanem mają charakter komercyjny i handlowy, jak targi w Los Angeles czy dynamicznie rozwijający się przegląd w Toronto. Europa stawia na sztukę. Berlin lubi kino polityczne, Karlowe Wary przyglądają się filmom wschod-

Gwiazda Heatha Ledgera rozbiła w Wenecji w 2005 r.



W latach 50. Wenecja odkryła dla świata kino japońskie. Akira Kurosawa dostał Złotego Lwa za „Rashomona”.



nioeuropejskim. A najsłynniejsze i najbardziej huczne Cannes? Lansuje artystów o różnym charakterze pisma, kocha różnorodność, a przy tym ma coś z targowiska próżności. Wenecja uchodzi, zwłaszcza po kilkuletnim panowaniu znanego włoskiego krytyka filmowego Marca Muellera, za festiwal promujący kino intelektualne. Selekcyjnerzy Mosty szukają nowych trendów, odkrywają nieznane kinematografie i świeżych twórców. Choć to wcale nie znaczy, że polityka, która w przeszłości tak burzliwie tu wkraczała, przestała na Lido przenikać. Kino zawsze odbijało i będzie odbijać niepokoje świata. W ostatnich latach apogeum „zaangażowania” i upolitycznienia festiwal wenecki osiągnął w 2009 r. Na pierwsze strony gazet

trafił wówczas Michael Moore – wielkie chłopisko w bejsbolówce, w każdej chwili gotowe wygłosić tyradę przeciwko skorumpowanej Ameryce, a Hugo Chávez – dyktator z Wenezueli, bohater dokumentu Olivera Stone’a „Na południe od granicy” – przyjmowany był jak gwiazda popkultury. Wenecja zawsze też kochała kino azjatyckie, a dziś oznacza to również promocję zaangażowanych politycznie filmów Irańczyków – Jafara Panahiego, rodziny Makmalbaf czy Abbasa Kiarostamiego. Ale sztuka uniwersalna też trzyma się tu mocno. W ostatnich latach konkurs wygrywały przeciw filmom takie jak „Somewhere. Między miejscami” Sofii Coppoli, „Faust” Aleksandra Sokurowa czy „Pieta” Kim Ki-duk.



FRANK TRAPPER/SCYMA/CORBIS



CORBIS

Ułubieńcy i niewdzięcznicy

Nie ma jednak imprezy filmowej bez odrobiny blichtru i snobizmu. Czasem też skandalu. Wenecja była odważna obyczajowo niemal od początku. Już podczas drugiej odsłony festiwalu, w 1934 r., odbył się pokaz filmu Gustava Machaty’ego „Ekstaza”. Porcja nagości, jaką wówczas zaprezentowali realizatorzy, wywołała tyle samo oburzenia co podekscytowania, a przed gwiazdą filmu Hedwig Kiesler otworzyły się bramy Hollywood, gdzie zrobiła karierę pod nazwiskiem Hedy Lamarr.

W 1958 r. jedną z nagród dostali „Kochankowie” Louisa Malle’a. Wyświetlanie tego filmu zostało potem zakazane w kilku krajach i niektórych stanach amerykańskich. Kobieta, znudzoną mę-

żem i kochankiem, zagrała fantastyczna Jeanne Moreau, którą zresztą w tym samym roku można było oglądać w innym filmie Malle’a „Windę na szafot”.

W Wenecji wybuchło wiele aktorskich karier. To tutaj w 1954 r. pojawił się przystojny Amerykanin, który przyjechał z filmem „Na nabrzeżach”. Marlon Brando miał za sobą kilka głośnych ról, ale właśnie ta ugruntowała jego pozycję. Pół roku później odbierał swojego pierwszego Oscara. Po z górą 40 latach znów przyjechał do Wenecji. Wielki, ocieęzany, poruszał się na wózku. W filmie Johnny’ego Deppa „Odważny” przejmując zagrał umierającego mężczyznę, który postanowił oswoić się ze śmiercią, patrząc na odchodzenie w mękach innego człowieka. On sam miał już wtedy przed sobą zaledwie kilka lat życia.

W Wenecji narodziła się sława Heatha Ledgera. W 2005 r. nieznany aktor pokazał na festiwalu trzy filmy: „Casinové”, „Nieustraszonych braci Grimm” i „Tajemnicę Brokeback Mountain”. Był oszołomiony wrzawą, jaka go zaczęła otaczać. „Jeszcze nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić” – mówił szczerze. Okazał się wielkim talentem, ale ze sławą, napięciem i stresem sobie nie poradził. 2,5 roku później znaleziono go martwego w jego nowojorskim mieszkaniu. Miał 28 lat.

Wielkim wydarzeniem była wizyta na Lido jednej z najgorętszych hollywoodzkich par. Tom Cruise i Nicole Kidman w 1999 r. promowali „Oczy szeroko zamknięte” Stanleya Kubricka. Siedem lat wcześniej pokazali się w Cannes, gdy wystąpili w „Za horyzontem”. To był początek ich miłości. Bolesne, ekshibicjonistyczne role w filmie Kubricka okazały się początkiem końca ich małżeństwa. W Wenecji pływali razem gondolami, ale nie przypominali już wpatrzonych w siebie pary z Lazurów Wybrzeża. Dwa lata później się rozwiedli.

Mostra ma artystów, którzy wiernie na Lido wracają. Ale tylko trzech zdobyło tu Złotego Lwa dwukrotnie. André Cayatte za „Sprawiedliwości stało się zadość” (1950) i „Z drugiej strony Renu” (1960), Louis Malle za „Atlantic

City” (1980) i „Do zobaczenia, chłopcy” (1987) oraz Ang Lee za „Tajemnicę Brokeback Mountain” (2005) i „Ostrożnie, pożądanie” (2007).

Niewdzięcznicy też się w Wenecji zdarzali. A największym z nich jest chyba Pedro Almodóvar. Gdy w 1988 r. selekcjonerzy z Cannes odrzucili jego „Kobiety na skraju załamania nerwowego”, Włosi zaprosili film do konkursu i nagrodzili za scenariusz. Mimo to Hiszpan stale wraca do Cannes i tam najchętniej pokazuje swoje dzieła. Miłość nie jest zresztą do końca odwzajemniona, bo ten wybitny artysta nigdy nie dostał Złotej Palmy.

A Polacy? Złote Lwy zdobyli dwa razy. W 1993 r. jurorów zachwycił film Krzysztofa Kieślowskiego „Trzy kolory. Niebieski”. W 1984 r. ze statuetką przyznawaną za „Rok spokojnego słońca” wyjechał z Wenecji Krzysztof Zanussi, który zresztą cieszy się we Włoszech ogromną estymą. I jest jedynym reżyserem z Polski zaproszonym do projektu jubileuszowego. Z okazji 70. edycji festiwalu organizatorzy u 70 artystów z całego świata zamówili 1,5-minutowe etudy na temat przyszłości kina. Tak powstał składankowy film „Future Reloaded”, który zostanie pokazany w pierwszym dniu imprezy.

A potem już zacznie się codzienne, festiwalowe życie. Zapelnia się autobusy z napisem „Mostra del Cinema” wożące widzów z portu do pałacu, po nadmorskim bulwarze Lungomare Marconi dziennikarze będą mknać na pokazy na rowerach, gwiazdy przypłyną taksówkami wodnymi, a jurorzy obradujący pod przewodnictwem Bernarda Bertolucciego oceniać m.in. nowe filmy Gianniego Amelio, Stepheny Frearsa, Terry’ego Gilliana, Errola Morrisa, Tsai Ming-lianga. Będą sekcje towarzyszące – Horyzonty, Venice Days, przeglądy klasyki filmowej. Po raz drugi odbędą się w Wenecji targi filmowe. Na specjalnym pokazie zostanie zaprezentowany „Waleśa” Andrzeja Wajdy. Podobno oprócz reżysera oraz aktorów głównych ról Roberta Więckiewicza i Agnieszki Grochowskiej do Wenecji przyjedzie również bohater filmu, Lech Wałęsa. Jubileusz jak się patrzy.

Tom Cruise i Nicole Kidman (na zdjęciu na górze) w 1999 r. promowali „Oczy szeroko zamknięte”, ale to był początek końca ich małżeństwa.

Bohaterka „Ekstazy” zszokowała publiczność nagością w 1934 r. Później zrobiła karierę w Ameryce jako Hedy Lamarr.

MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA FRANÉK PRZYBYLSKI

Miłość w ruinach World Trade Center

W Teatrze Studio Marcin Liber reżyseruje sztukę o miłości, którą zabił atak z 11 września 2001 r. Atak, który zmienił życie tysięcy ludzi. Nie tylko bliskich ofiar, ale i zamachowców. Czy można współczuć żonie terrorysty?

Lot United Airlines, numer 93, rozpoczął się z 40-minutowym opóźnieniem. W końcu samolot wystartował o 8.42 z Newark w New Jersey, kierunek – San Francisco, Kalifornia. Na pokładzie było siedmiu członków załogi i 33 pasażerów. A dokładnie 37, ale terrorystów trudno traktować jak innych podróżnych. Porywają samolot i zmieniają kurs, kierują się na Waszyngton. Celem jest Biały Dom lub Kapitol, do dziś tego nie ustalono. Pasażerowie nie dają jednak za wygraną i próbują odbić samolot z rąk muzułmańskich terrorystów. Walka kończy się gwałtownym runieniem samolotu na pole w Pensylwanii niedaleko małego, sennego Shanksville. Jest 10.03. Za sterami samolotu siedział Zijad Jarrah, mąż Aysel.

To nie jest sztuka o terroryzmie

Obydwoje stają się w 2006 r. bohaterami sztuki niemieckiego reżysera i dramaturga Carstena Brandaua. „Koniec to nie my” (Wir sind nicht das Ende) ląduje po raz pierwszy na deskach Schauspiel Dortmund dwa lata później, by w 2013 r. przywędrować do Polski. Zijad zostaje Zijadem, Aysel staje się Aishą. W sztuce dostaje nowe imię, w życiu też je zmieniła. Żyje gdzieś, nie wiadomo gdzie. Zniknęła.

– Czytam bardzo dużo sztuk, ale przekładałam tylko te, które mnie po-



ruszają – wyjaśnia Iwona Nowacka, tłumaczka, i dodaje: – Tak było w tym przypadku. Historia Zijada i Aishy mnie wzruszyła, serce mi szybciej zabiło. To nie jest sztuka o terroryzmie, ale o kobiecie porzuconej przez mężczyznę jej życia i przez społeczeństwo, jako żonę zamachowca odebrano jej właściwie prawo do żałoby. Zresztą nie tylko jej, zabrano je rodzinom wszystkich uczestników ataków 11 września. Wszyscy terroryści mieli przecież rodziny: matki, ojców, siostry, braci, dziadków. Czy im można współczuć?



Wystawieniem sztuki w Teatrze Studio w Warszawie zainteresował się jeden z najbardziej utalentowanych i głośnych reżyserów teatralnych – Marcin Liber. Sam przyznaje, że złapał się na haczyk terroryzmu, to temat, który go interesuje, ale w miarę czytania zdał sobie sprawę, że to po prostu tekst o miłości, a o miłości to Liber jeszcze spektaklu nie robił.

– I na tym właśnie polega przewrotność tej sztuki – mówi Iwona Nowacka. – Ludzie myślą, że przyjdą na spektakl o tym, że terroryzm jest zły, a tu niespodzianka. Bardzo jestem podekscytowana pracą nad tym tekstem i cieszę się ogromnie, że zabrał się za nią właśnie Marcin, bo to jest od dawna mój absolutnie ulubiony reżyser. Zobaczmy, co z tego wyjdzie i jak sztukę przyjmie polska widownia.

Kocham cię, kocham cię, kocham się

Zijad Jarrah urodził się w muzułmańskiej rodzinie w wiosce Mazraat, na przedmieściach Bejrutu. Rodzice posyłał go do chrześcijańskich szkół, bo były najlepsze (i najdroższe). Mały Zijad od zawsze chciał być pilotem, samoloty budował z klocków. W czasie wolnym grał z kuzynami w koszykówkę i pływał. Był dobrym, spokojnym chłopakiem.

W 1996 r. Zijad wyjeżdża do Niemiec, do małego, hanzeatyckiego Greifswaldu, i już nigdy nie wróci do domu. Tam poznaje 22-letnią, starszą od niego o rok Aysel S., pochodzącą z tureckiej rodziny, ale urodzoną już w Niemczech. Obydwoje świetnie do siebie pasują: nie są religijni, ubierają się po europejsku, imprezują, studiują. Aysel – medycynę najpierw w Greifswaldzie, potem w Bochum, a Zijad – budowę samolotów w Hamburgu. Są bardzo szczęśliwą parą. Do czasu.

Rozłąka z ukochaną i samotność w Hamburgu zaczynają dokuczać Zijadowi. Poznaje Mohameda Attę, tego, który kilka lat później wbije Boeinga 767 w północną wieżę World Trade

Center i w rezultacie zabije ponad 1600 osób. Ta znajomość zaczyna zmieniać uśmiechniętego Zijada w ponurego fanatyka: przestaje pić alkohol, zapuszcza brodę, coraz częściej krytykuje Aysel za to, jak się ubiera. W jego słowniku pojawia się słowo „dżihad”, niedługo wyjeżdża do Afganistanu – jak się okazuje później, na szkolenie terrorystyczne. Po powrocie wyjeżdża do USA, chce się szkolić na pilota. Przecież marzył o tym od małego.

Rozstanie ukochanych jest trudne, ale miłość nadal kwitnie. Aysel odwiedza Zijada w Ameryce. Potem on przyjechał do Bochum, była końcówka lipca 2011 r. Zanim sześć tygodni później, 11 września, Zijad wszedł na pokład samolotu do San Francisco, zadzwonił do Aysel, żeby powiedzieć, że ją kocha, bardzo kocha.

W liście pożegnalnym, który Aysel dostaje po zamachu, Zijad zapewnia ją o swojej wielkiej miłości. Píše, że czeka na nią w raju, gdzie będą wiedli wspólne szczęśliwe życie. Aysel przechodzi załamanie nerwowe, zmienia imię i nazwisko. Znika.

Wszyscy jesteście ofiarami

– Mam niemiecką sztukę o bohaterach wychowanych w muzułmańskiej tradycji robioną przez Polaków. To wszystko jest ciekawym miksem, budującym jednocześnie jakiś dystans – opowiada Marcin Liber. – Staramy się tu wszyscy zrekonstruować myśli, które towarzyszyły naszym bohaterom, próbować zrozumieć ich motywacje, chcemy sprawdzić, gdzie to nas zaprowadzi.

Marcin Bosak, grający Zijada: – To poszukiwanie jest bardzo ważne, nie rościmy sobie prawa do pouczenia kogoś, ferowania moralnych osądów. Niech każdy rozważy tę historię sam. Mnie osobiście, muszę to przyznać, trudno wgrzyźć się w postać Zijada, bo nie potrafię zrozumieć, co kieruje człowiekiem, który rezygnuje ze swojego życia w imię fanatycznych przekonań. Dlatego praca nad tą postacią to nieustanne przybliżanie się i oddalanie. Kiedy oglądałem w Internecie filmy z

11 września, byłem nimi oczywiście wstrząśnięty, a potem znalazłem jakieś nagranie, na którym uśmiechnięty Zijad tłumaczy coś koledze. Taki sympatyczny, uśmiechnięty gość. Jak to możliwe, że zrobił to, co zrobił? Cały czas staram się to rozgryźć.

– A w tym wszystkim jest ona – dodaje Lena Frankiewicz (Aisha). – Pozostawiona sama sobie kobieta, która próbuje, tak jak każdy człowiek, przejść przez wszystkie fazy żałoby po ukochanym. W dodatku Brandau wpuszcza do sztuki kolejnych Zijadów, gmatwa historię. Każdy może zapytać siebie: czy mógłbym zostać Zijadem?

Twórcy spektaklu chcą zaprosić widzów do wysłuchania opowieści bez morału. Każdy musi zdecydować w swoim sumieniu, co myśli o Zijadzie czy Aishy. Całość skonstruowana jest tak, że zamiast scen są pieśni, bo muzyka jest najlepszym nośnikiem emocji. A emocje są kluczowe, kiedy fakty są zagmatwane. Fakty, należy dodać, zbudowane na rachitycznych fundamentach naszej zachodniej wiedzy o świecie islamu. To wiedza złożona z gazetowych strzępków, krzykliwych nagłówków, telewizyjnych newsów o kolejnym ataku muzułmańskich fanatyków. Mamy żyć w strachu przed muzułmanami.

– I to jest właśnie pokłosie 11 września, ta cała narracja podsycająca w świecie zachodnim nienawiść do muzułmanów – mówi Marcin Liber. – Mamy przestać ich traktować jak ludzi, nieustannie ich odczłowieczamy. Muzułmanie mają wywoływać w nas strach. W tym sensie wszyscy jesteśmy ofiarami zamachu na WTC, wszyscy dajemy się manipulować przez coś, co się nazywa walką z terroryzmem. Tylko co to oznacza i gdzie nas prowadzi?

Iwona Nowacka: – Kiedy tłumaczyłam tę sztukę, bardzo się zżyłam z jej bohaterami, wydrukowałam sobie ich zdjęcia, które miałam cały czas na biurku. Nieustannie myślałam też o tym, że to przecież prawdziwi ludzie, a nie wymyślone postaci. W pewnym mo-

Carsten Brandau,
„Koniec to nie my”
przekład: Iwona Nowacka, reżyseria:
Marcin Liber, scenografia: Grupa Mikser,
muzyka: Krzysztof Kaliski, wizualizacje:
Roman Przyłipiak, muzyka na żywo:
Patrik Zwoliński,
występują: Marcin Bosak, Lena Frankiewicz, Mirosław Zbrojewicz, premiera:
1 września 2013 r.,
Teatr Studio w Warszawie

mencie zaczęłam nawet bronić Zijada, że to przecież dobry człowiek był, że go zmuszono, że źle trafił. Ale czy można bronić terrorysty?

Z listu pożegnalnego Zijada do Ayse: „Biorę cię w ramiona i składam pocałunki na twoich dłoniach i czole.

I dziękuję ci, i przepraszam za te piękne, ciężkie pięć lat, które spędziłaś ze mną. Jestem twoim księciem i wrócę po ciebie. Do zobaczenia! Twój mąż na zawsze. 10 września 2001 roku”.

Korzystałem z tekstu Iwony Nowackiej „Przy jednym stole”.

Dla nas wprowadzanie nowych rozwiązań, innowacyjność i kreatywność działania to proces, który nigdy nie ma końca. Zawsze myślimy, jak i co możemy zaoferować naszym klientom, jak możemy działać jeszcze sprawniej.

Sukces to rzecz osobista.

Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla

Kristófa Hankó

– szefa McDonald's Polska

NOWY NUMER

JUŻ W SPRZEDAŻY

Czytaj m.in.:

**Pewex,
reaktywacja**

Sentyment? Być może.

Biznes? Na pewno.

**Biznes na
wybiegu**

**Kto inwestuje
w polskie modelki**

**Umeblo-
wane życie**

Piotra Klera



ALEK CHUDZIK

Nauki ścisłe

Beton i technologia zarastające krzakami na zdjęciach **Macieja Stępińskiego**, fizyka jako podstawa wystaw w galerii **Aleksandra Wawrzyniaka** i ekonomia... sztuki w **CSW**. W tym tygodniu portal Artvolver zaprasza na korepetycje z nauk ścisłych.

Chcemy być Brytyjczykami

Young British Artists to jedno z ostatnich tak elektryzujących haseł w świecie współczesnej sztuki. Artyści sukces zawdzięczają m.in. geniuszowi Charlesa Saatchiego, który najpierw jako spec od reklamy, a potem jeden z najbardziej obrotowych handlarzy i promotorów sztuki stworzył w latach 80. i 90. coś na kształt fabryki. Tutaj każdy artysta szybko zyskiwał rangę. My też tak chcieliśmy. Tyle że zabrakło nam Charlesa Saatchiego, jego pomysłów i jego milionów. Ale nie straconego! Oto kuratorzy Tom Morton i Marek Goździewski podczas wystawy w stołecznym CSW pokażą nam prace Tracey Emin, Damiena Hirsta i Sarah Lucas. Będzie też kilka młodych nazwisk z Wysp, a także starsze pokolenie artystów polskich reprezentowane przez Artura Żmijewskiego i Katarzynę Kozyrę oraz młodszych – Radka Szlagę czy Konrada Smoleńskiego. Co łączy polską sztukę krytyczną i Young British Artist, sprawdzimy we wrześniu w Zamku Ujazdowskim.

British British Polish Polish. Art from Europe's Edges in the Long 90s and Today, 7.09–15.11, CSW Zamek Ujazdowski, Warszawa



Ślady z betonu

Przekładanie natury i kultury modernizmu, projektowanie przyrody miejskiej, przestrzeń na granicy miasta i lasu – to fascynacje Macieja Stępińskiego. W 2012 r. artysta wsiadł do samochodu i drogę z Warszawy do Poznania przejechał w linii prostej, po czym wstawił do poznańskiego Arsenału jako dzieło sztuki sfatygowanego range rovera. W 2013 r., w ramach pracy doktorskiej, zaprezentował obszerny cykl fotografii „Nienaturalność Natury”.

– Od ponad dekady fascynuje mnie pejzaż urbanistyczny – mówi artysta.

Stępińskiego interesuje konkretny moment, gdy architektura traci swoją funkcję lub nie posiada jeszcze ostatecznej formy, a po robotnikach zostaje tylko ślad niedawnej pracy, kurz, przypadkiem pozostawiona kurtka. Takie są zdjęcia z Berlina, Warszawy czy Wiednia, gdzie artysta obserwował w jednym miejscu powolne zarastanie betonu, w innym sztuczne trawniki i obsa-

dzanie drzew. A obserwacje te mają w sobie coś z transowej obsesji. – Bywa, że miejsce, które chcę sfotografować, odwiedzam kilkadziesiąt razy – tłumaczy.

O sile fascynacji pejzażem urbanistycznym można się przekonać, odwiedzając portal Artvolver.com. Kolejną okazją będzie zbiorowa wystawa w Teatrze Nowym, gdzie Stępiński pokaże cykl fotografii stołecznej Trasy Łazienkowskiej, której remont właśnie się zaczął. ➤

Proces



Aleksander Wawrzyniak swoją galerię nazwał Aleksander Bruno, bo proszę sobie wyobrazić „Wawrzyniak” wymawiane przez kuratorów i kolekcjonerów z zagranicy. Chociaż galeria nie ma jeszcze własnej strony internetowej i stałej siedziby, może się pochwalić nie lada artystami. Program wystawowy otworzył Marek Raczkowski, prezentując cykl obrazów, których nijak nie skojarzycie z rysunkami publikowanymi w „Przekroju”. Abstrakcja, plamy zupełnie oderwane od komiksowego sznytu, którym raczy nas od wielu lat.

Galeria pozostaje w permanentnej konstrukcji, i to dosłownie. Jej tymczasową siedzibą są wysokie piętra warszawskiego

wieżowca Cosmopolitan. – Przyjść do nas to już wyzwanie: kask, lista obecności, winda w niewykończonych wnętrzach i wreszcie galeria – mówi.

Ten stan niekończącego się procesu Wawrzyniak podkreśla podczas współpracy z artystami: – Nie chodzi tylko o reprezentowanie, pokazywanie i sprzedawanie. Drugim i równie ważnym filarem, bez którego nie wyobrażam sobie działalności, jest reinterpretacja.

Takiego nowego spojrzenia doczeka się twórczość Aliny Szapocznikow, której prace zostaną zaprezentowane w Galerii Aleksander Bruno podczas Warsaw Gallery Weekend w ramach wystawy „Fifth Force”. ➤



King Krule,
„6 Feet Beneath
The Moon”
XL/Sonic Records
👍👍👍👍

ALTERNATYWA

Piosenka wybitnie autorska

Archy Marshall a.k.a. King Krule pełnometrażowym debiutem potwierdza, że jest najważniejszym rudzielcem w Wielkiej Brytanii – zaraz po księciu Harrym.



Odwołanie do monarchii pada nie bez powodu. Marshall narobił zamieszania kilka lat temu – singlem wydanym jeszcze pod szyldem Zoo Kid, by chwi-

le później zmienić pseudonim na ten dobitniej sugerujący pozycję. Pierwsza płyta nie pozostawia wątpliwości – wychowanek prestiżowej BRIT School (z tej fabryki gwiazd wyszły m.in. Amy Winehouse i Adele) rozstawia tegorocznych debutantów po kątach. Niezależnie od reprezentowanego gatunku – bo on uprawia je wszystkie, soul, pop, jazz, hip-hop, tyle że w tym miksie żadna z estetyk nie dominuje, nie pozwala na to oszczędna, minimalistyczna produkcja. Marshall pisze piosenki wybitnie autorskie, a wszechstronną całość spaja charakterystyczny, niedbały, ekspresyjny głos – dużo głębszy, niż wskazywałaby metryka. Debiut King Krule wyszedł w Wielkiej Brytanii w zeszłą sobotę, w dniu bez premier, ale za to dokładnie w 19. urodziny muzyka. ➔ Angelika Kucińska



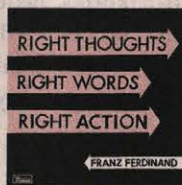
Raffertie,
„Sleep Of Reason”
Ninja Tune
👍👍👍

ELEKTRONIKA

Śladami Jamesa Blake'a

To mogła być jedna z elektronicznych płyt roku. Jest żal, że zdolny Brytyjczyk Raffertie woli naśladować innych, niż być sobą.

Nowy James Blake? Nie przesadzałbym, jednak porównania z autorem jednej z najlepszych tegorocznych płyt wcale nie są nie na miejscu. Podobnie jak Blake, Benjamin Stefanski alias Raffertie zaczynał jako producent wychodzącej z dubstepu elektroniki do tańca. Kiedy tak jak on zdobył uznanie na scenie klubowej, postanowił poszerzyć pole muzycznych zainteresowań i pokazać, że potrafi również pisać piosenki. W końcu tak jak Blake chwycił za mikrofon. Tu podobieństwa się kończą. Wprawdzie stylistycznie albumowy debiut Raffertiego nie odbiega znacząco od dokonania Blake'a, obaj panowie w podobny sposób przemycają do swojej chłodnej minimalistycznej elektroniki elementy R'n'B, ale twórca „Sleep Of Reason” nie porywa, w przeciwieństwie do swojego bardziej znanego kolegi. Dobre pomysły nie zawsze zamienia w świetne kompozycje. Zamiast szlifować własny styl, zbyt często brzmi jak inni – jak nie Blake, tylko The xx. ➔ Bartek Winczewski



Franz Ferdinand,
„Right Thoughts
Right Words Right
Action”
Domino/NoPaper
Records
👍👍👍

INDIE ROCK

Emerytowana młodzież

Wokaliście Franz Ferdinand stuknęła w zeszłym roku czterdziestka, ale z uporem maniaka przeczesuje grzywkę i śpiewa pokoleniowe manifesty.

Niesprawiedliwie posądzać ich o przestarzałą stylizację nad treścią – wciąż wiedzą, jak połączyć w dobrą piosenkę nową falę i Beatlesów, a na czwartej płycie zespołu nie brakuje przebojowych refrenów. Można podziwiać konsekwencję w działaniu, trzeba zarzucić brak progresu. Kiedyś mieli po swojej stronie modę na dobrze ubrane gitarowe zespoły – ale jakoś teoretycznej rewolucji sprzed dekady ostentacyjnie podważyły drugie i trzecie płyty liderów zamieszania. Franz Ferdinand co prawda nie rozczerowują tak jak pozostali (choćby recenzowani kilka miesięcy temu Yeah Yeahs), ale i nie oferują niczego ponad to, co można było usłyszeć na poprzednich albumach zespołu. A teksty piosenek nieprzyjemnie pachną wyrachowaniem i premedytacją – ktoś tu wie, co powiedzieć, żeby znowu nabrać młodzież. Nie dajcie się. ➔ Angelika Kucińska

ELEKTRONIKA

Moderat ist Wunderbar!



Moderat, „II”
Monkeytown
👍👍👍

Byli supergrupą, dziś są super grupą. Złożony z gigantów niemieckiej elektroniki Moderat to już nie gwiazdorski projekt, ale idealnie zgrany regularny zespół, który po czterech latach od debiutu znowu nagrał znakomitą płytę.

Ze zderzenia osobowości i talentów duetu Modeselektor oraz znanego jako Apparat Saschy Ringa musiała wyjść rzecz wyjątkowa. I wyszła. Wydana w 2009 r. pod szyldem Moderat wspólna płyta trójki cenionych berlińskich producentów została zgodnie okrzyknięta jednym z najciekawszych elektronicznych albumów ostatnich lat. Jak się okazuje, to był

zaledwie wstęp do naprawdę dużych rzeczy. Wchodząc drugi raz do studia, a za sobą mając dziesiątki koncertów na najważniejszych scenach świata, trzej przyjaciele Thoma Yorke'a z Radiohead byli już jak świetnie zgrany zespół. Stąd na „II” nie sposób wskazać, kto w danym momencie bardziej przykładał tu rękę – zamiłowanie Apparata do melodii i piosenkowych form oraz mistrzostwo Modeselektor w dziedzinie połamanej, zbasowanej elektroniki jeszcze bardziej zlały się w całość niezwykle spójną, kipiącą pomysłami i o wielkim ładunku emocji. ➔ Bartek Winczewski

Goodfest
31.08, stadion
miejski, Dębicamiel



Fisz Emade
Tworzywo

KONCERT

Dobre, bo polskie

Nie mamy się czego wstydzić? Tak twierdzą organizatorzy Goodfestu, którzy już po raz drugi zaprosili do Dębicy najlepsze polskie zespoły. No właśnie – gdzie?

To słuszna inicjatywa. Nie tylko dlatego, że promuje polską muzykę, ale również dlatego, że impreza odbywa się w miejscu niekoniecznie kojarzonym z dobrze zorganizowanym, ale jednak ambitnym wydarzeniem. Małe festiwale, takie jak Goodfest właśnie,

mogą przełamać monopol festynów z przaśnymi gwiazdkami regularnie objeżdżającymi imprezy typu Dni Miasta. I choć zaproszeni w tym roku do Dębicy wykonawcy reprezentują scenę krajową, paradoksalnie część z nich łączą światowe doświadczenia, sukcesy i podejście. Tres.B to międzynarodowe trio dowodzone przez polską wokalistkę, Julia Marcell – jej „June” było najlepszą polską płytą 2011 r.

– mieszka i nagrywa w Berlinie, Piano-hooligan – projekt jazzowego pianisty Piotra Orzechowskiego – nagrodzono na festiwalu w Montreux, a reaktywowany wrocławski Skapel to nasi ludzie w specjalizującej się w nowoczesnych brzmieniach brytyjskiej wytwórni Ninja Tune. Obok wymienionych na Goodfestcie wystąpią również Fisz Emade Tworzywo, Mitch & Mitch i Marcin Ma-secki. Polecamy! ➔ Angelika Kucińska

Washed Out,
„Paracosm”
Sub Pop/NoPaper
Records
👍👍👍



ELEKTRONIKA

Koniec lata

Drugi album Ernesta Greene'a powinni obowiązkowo dodawać na plaży do każdego wypożyczonego leżaka.

Debiutanckie albumy Washed Out i Toro Y Moi definiowały chillwave – mikrogatunek, którym ekscytowali się amerykańscy blogerzy, niespecjalnie nowy, bo w prostej linii wywodzący się z pastelowych, rozmarzonych brzmień dream popu. Bundick (Toro Y Moi) był pierwszy, ale Greene miał lepszą okładkę (w pościeli). Tym razem obrazek na froncie niespecjalnie zachęca, ale za to muzyka pozwala wybaczyć wizualną skuchę. Greene konsekwentnie rozwija założenia pierwszej płyty – produkcja podporządkowana budowaniu nastroju przeważa nad kompozycjami o programowo niewyrazistych strukturach. Sentymalne melodie rozmył w pogłosach, elektroniczną bazę uzupełnił organicznymi detalami, zestawiając syntezatory z budującymi tło naturalnymi odgłosami (ptaki o poranku, impreza o zmierzchu). Miękkie, letnie, snujące się piosenki – idealny soundtrack na koniec wakacji. ➔ Angelika Kucińska

Dorota Chrobak o filmach



reż. Jordan Vogt-Roberts,
USA 2013,
Kino Świat,
93 min
👍👍👍

KOMEDIA

Królowie lata

Dwóch najlepszych kumpli ucieka z domu i dekuje się we własnoręcznie wybudowanym domku w lesie. Ale lokum jest już zajęte przez trzeciego – klasowego dziwaka. O miejscu pobytu całej trójki wiedzą, rzecz jasna, wszyscy ich znajomi – poza rodzicami. Tragikomedia o dorastaniu to jest to, co Amerykanie potrafią robić bardzo dobrze, i tak jest też tym razem. Dzieciaki grają jak z nut, dialogi skrzą się humorem, a przyroda okazuje się tyleż piękna, co groźna. Jedyнным problemem filmu wydaje się przesada. Jordan Vogt-Roberts chciał wycisnąć z tematu, ile się da, i w efekcie dokręcił śrubę zbyt mocno (zdjęcia w zwolnionym tempie czy karykaturalne portrety rodziców). Więcej umiaru, także formalnego, wyszłoby „Królom...” tylko na dobre. 🍷

Katarzyna Nowakowska o serialach

Przyjaciele: następna generacja

Każda dekada musi mieć swój sitcom o przyjaciółach – obecnie lukę wypełniają „Jess i chłopaki” z Zooey Deschanel w roli głównej.

W społeczeństwie złożonym ze średnio przystosowanych do życia singli, wiecznie borykających się z własnymi problemami wewnętrznymi, przyjaciele i współlokatorzy są odpowiednikiem szczęśliwej i dobrze funkcjonującej rodziny. Rodzina złożona z wypróbowanych w bojach kumpli to Święty Graal pokolenia współczesnych 30-latków. Mit zaszczycony w latach 90. przez twórców „Przyjaciół” wylądował na podatnej glebie, a na anteny stacji telewizyjnych cyklicznie trafiają pozycje pretendujące do miana następców kultowego sitcomu. Niektóre, jak „Teoria wielkiego podrywu” czy „Community”, nawet na owo miano zasługują. „Jess i chłopaki” również wpisuje się w ten trend.

Główną bohaterką serialu jest 30-letnia nauczycielka z Los Angeles (Zooey Deschanel), która na skutek perypetii życiowych ląduje z trójką współlokatorów. Ona jest nieco infantylną, egzaltowaną dziwaczką, która lubi kolorowe ubrania, nałogowo ogląda „Dirty Dancing” i śpiewa improwizowane piosenki na każdy temat. A oni to proste chłopaki, które (teo-



„Jess i chłopaki”, sezon 2, premiera: wtorek,
20 sierpnia, godz. 21.00, FOX Life

jest Elizabeth Meriwether, autorka scenariusza m.in. filmu „Sex Story” w reżyserii Ivana Reitmana. Meriwether prywatnie przyjaźni się z Leną Dunham, autorką serialu „Dziewczyny”, a ich dzieła należą do wspólnego nurtu „dziewczęcych” opowieści (z „Dwiema splekanymi dziewczynami” do kompletu). 🍷



reż. Felix Van Groeningen,
Belgia/Holandia
2012, Against Gravity, 111 min
👍👍👍

DRAMAT

W kręgu miłości

Mężczyzna (Didier, lider kapeli muzycznej) spotyka kobietę (Elise, mistrzynię tatuażu), a potem zaczyna się... groch z kapustą. Felix Van Groeningen oprócz love story ludzi po przejściach funduje nam także ciężką chorobę ich dziecka, depresję, alkoholizm, dylematy światopoglądowe na wysokim „C”, a nawet... George’a Busha, objawiającego się raz po raz za pośrednictwem telewizora. Niestety, mnogość tematów nie idzie w parze z ich pogłębieniem, zresztą przy takiej obfitości nie jest to chyba możliwe. Nawet muzyka, która stanowi najlepszy składnik filmu, nie została odpowiednio wyeksponowana, a szkoda, bo przekształcenie całości w musical byłoby zgrabnym wyjściem z tej chaotycznej sytuacji. 🍷

Ludzie dzielą się na tych, którzy „Niewidzialne miasta” Italo Calvino kochają, i na pozostałych. Kto nie przeczytał, musi to zrobić natychmiast.

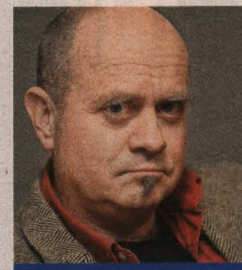
Każde wznowienie tej nieobszernej książeczki włoskiego arcyministra literatury pozwala przywołać maksymę Williama Hazlitta, że „nowością jest każda nieprzeczytana przez nas jeszcze książka”. Mamy więc nieprzemijającą nowość, czytajmy.

Książka, będąca formalnie opowieściami Marco Polo, weneckiego odkrywcy świata, przeplatana jego rozmową z mongolskim chanem Chin Kubłajem, jest fajerwerkem popisów wyobraźni i nieokiełznanego geniuszu narracyjnego Calvino. Nie wiemy, czy 55 miast, które opisuje, istnieje, czy je widział, odwiedzał, zapamiętał, czy jedynie je sobie wymarzył. Wątpliwości te podziela Kubłaj-chan, wysłuchując sprawozdań swojego niezwykle wysłannika. A może Marco Polo opowiada zawsze wyłącznie o Wenecji, ukochanym mieście, z którego wyruszył na poszukiwanie nieodkrytego, nienazwanego, niezobaczonego?

Miasta Calvino są fantasmagoryczne do bólu, ich koncepty nierzadko szalone i niepokojące, z drugiej strony budzą zachwyt i czynią z czytelniczek i czytelników nowych podróżnych, mieszkańców wysnionych przestrzeni. Calvino snuje swoje wizje urbanistyczne w stylu najwybitniejszych utopistów i myślicieli, zachowując równocześnie dbałość o szczegóły i niemal reporterską drobiazgowość. Zagłębiając się wraz z nim w uliczki, zaułki, place, krocząc po mostach, drogach miast wyrastających gdzieś pośrodku pustyń i nieogarnialnych przestrzeni imperium chana, zadajemy podstawowe pytania „miejskie”: po co nam one takie albo inne, czemu mają służyć, jak funkcjonować i jak

Roman Kurkiewicz

Czy miasta istnieją?



RAPAŁ GUZ

Calvino snuje
swoje wizje
urbanistyczne
w stylu
najwybitniejszych
utopistów
i myślicieli.

wyglądać, jacy ludzie mieliby i chcieli w nich żyć, dla jakiego życia mogą stanowić przestrzeń przyjazną czy wrogą? To pozostaną na zawsze aktualne pytania.

Paradoksalnie dzisiaj, w czasach narodzin ruchów miejskich, tak oczyszczająca, zachwycająca lektura traktatu o mieście powinna być obowiązkowym elementem prowadzonej debaty. Miasto wymaga opowieści tak nieskrępowanej, jak proponuje Calvino. Czy miasto może być złe, piekielne, straszne i być tylko zagospodarowaną całością, która prowadzi do zniszczenia i zagłady? Marco Polo Calvino odpowiada: „Piekło żyjących nie jest czymś, co nastanie; jeśli istnieje, jest już tutaj, jest piekłem, w którym żyjemy na co dzień, które tworzymy, przebywając razem. Są dwa sposoby, aby nie sprawiał ono cierpień. Pierwszy jest nietrudny dla wielu ludzi: zaakceptować piekło i stać się jego częścią, aż przestanie się je dostrzegać. Drugi jest ryzykowny i wymaga ciągłej uwagi i ćwiczenia: odszukać i umieć rozpoznać, kto i co pośród piekła piekłem nie jest, i utrwalić to, i rozprzestrzenić”.

Czytajcie i rozprzestrzeniajcie to wszyscy i wszędzie. Piekło miast nie jest i dla nas marzeniem i spełnieniem. 🍷

Italo Calvino
„Niewidzialne miasta”,
tłum. Alina Kreiberg,
W.A.B. 2013, 30 zł



Autor jest dziennikarzem i publicystą od lat związanym z „Przekrojem”.
Pisze o książkach, które mają znaczenie.

JERZY ŁAPACZ

Słońce Karpát

Już 11 września na półki księgarskie trafi „**Bukareszt. Kurz i krew**” **Małgorzaty Rejmer**. Autorka wybrała dla nas fragment swojej reporterskiej książki o Paryżu demoludów.

Po przeczytaniu „Bukaresztu...” Mariusz Szczygieł powiedział: Małgorzata Rejmer była dotąd zdolną młodą pisarką, a okazuje się, że jest jeszcze zdolniejszą reporterką i eseistką. W ustach znakomitego dziennikarza, który za własne reportaże otrzymał wiele międzynarodowych nagród, to nie lada komplement. Rejmer, która kilka dni przed ukazaniem się książki na rynku będzie obchodziła 28. urodziny, jest przyzwyczajona do pochwał. Jej debiutancka „Toksymia” z 2009 r. została niezwykle ciepło przyjęta przez krytykę. Nie dziwnego, że w następnym roku powieść otrzymała nominację do Nagrody Literackiej Gdynia. Możemy być pewni, że literacki portret miasta, nad którym wciąż unosi się duch Słońca Karpát, nie umknie uwadze jurorów.

25 grudnia 1989 r., po błyskawicznym procesie, Nicolae Ceaușescu wraz z żoną Eleną zostali rozstrzelani. I choć od tego czasu minęło niemal ćwierć wieku, spory o dyktatora wciąż są w Bukareszcie żywe. Jak przypomina Rejmer, w sondażach Ceaușescu zajmuje pierwsze miejsce w rankingu, zarówno wśród najwyżej, jak i najgorzej ocenianych rumuńskich polityków. Równie ambiwalentny stosunek Rumuni mają do dziesiątek tysięcy bezpańskich psów blakających się po mieście, do samych siebie i do własnej przyszłości.

Bukareszt, najbardziej zagrożone trzęsieniami ziemi miasto w Europie, w każdej chwili może pogrzebać tysiące swoich mieszkańców. Jak sobie z tym radzą? O tym opowiada zwiastun literacki, który prezentujemy obok.

Małgorzata Rejmer „Bukareszt. Kurz i krew”, wyd. Czarne 2013, cena 39,90 zł



Bukareszt. Kurz i krew

Małgorzata Rejmer

Bukareszt się dławi

Szczelina patrzy na mnie. Biegnie od podłogi, wynurza się znad blatu stołu, przecina ścianę na pół i rozplywa się w powietrzu na wysokości framugi okna, jak rzeka, która wpada do morza. Patrzę na szczelinę wypełnioną czernią, raz prostą jak żyła, raz meandrującą jak nerw. Ona biegnie, a ja siedzę obok niej, przy stole, coś tam przeżużam, coś tam przeżyżam, zaglądam w jej czarne wnętrze i się zastanawiam, ile osób wpadnie w szczeliny, gdy w Bukareszcie znowu zatrzęsie się ziemia. Ponad dwieście lat temu, kiedy przez miasto przeszły wstrząsy o największej sile w historii Rumunii, ziemia popękała tak bardzo, że według jednego z kronikarzy szczeliny pomieściłyby człowieka i konia. Gdzieś tam gruntu przypominał krater wulkanu z porwaną trajektorią rys, z dziurami podobnymi do studni i rozpadlinami, które wypełniły się rdzawą wodą. Z ziemi tryskała zielonkawa ciecz i wszędzie unosił się zapach siarki. Zawaliły się stare piece, więc domy raz po raz stawały w ogniu. Wielu wierzyło, że to Bóg zesłał piekło, żeby ludzie pojęli, czym jest jego gniew, i wystrzegali się grzechu.

Pamiętnego październikowego dnia 1802 roku wstrząsy rozlały się po całej Europie, od Moskwy po greckie wyspy, od Belgradu po Petersburg. W samym sercu Bukaresztu nadgryzły Turnul Colței, najwyższy budynek w mieście, wieżę z pięknym zegarem i potężnym dzwonem, z której można było dostrzec i pożar, i oddziały wroga. Kroniki donoszą, że zapadając się i pękając na pół, wieża pożarła przypadkowego komiwojażera. Może zapatrzył się na nią tak bardzo, że nie zdążył uciec, gdy ziemia pod jego stopami zaryczała, a ze szczytu wieży posypał się gruz? Oprócz wędrownego kupca śmierć poniosły jeszcze trzy osoby – młoda Żydówka, jej dziecko i ktoś, o kim wiadomo tylko tyle, że nie miał w życiu szczęścia. Jak na siłę wstrząsów, które przeszły do historii pod nazwą Wielkiego Trzęsienia Ziemi, los okazał się dla mieszkańców łaskawy.

Bukareszt jest szczególnie skazany na szczodrość przypadku, bo znajduje się niedaleko epicentrum trzęsień ziemi, sześćdziesiąt kilometrów od okręgu Vrancea, a tereny, na których leży miasto, to rejony piaszczyste, co potęguje

siłę wstrząsów. Jeśli w okręgu Vrancea wstrząsy będą miały siłę 5 stopni w skali Richtera, to mieszkańcy dzielnicy Militari, pokrytej płataniną blokowisk, odczują je jako 5,9 stopnia. Mieszkańcy równo gęsto zaludnionego Pantelimonu – jako 6 stopni. Nie ma w Europie miasta o większym zagrożeniu sejsmicznym. Raz na kilkadziesiąt lat, trzy, cztery razy w ciągu jednego stulecia, wstrząsy są tak silne, że niosą śmierć. Bukareszt nie zna zjawiska równie nieprzewidywalnego i nieuchronnego zarazem.

Nieszczęście wisi w powietrzu, anonsowane na ulicach czerwonymi bulinami – tabliczkami w kształcie koła, pokrywającymi skruszałe fasady jak nieleczona wysypka: „budynek po ekspertyzie technicznej, klasa I ryzyka sejsmicznego”. Im kamienica starsza i piękniejsza, tym większe prawdopodobieństwo, że podczas trzęsienia ziemi stanie się grobowcem. Bukareszt liczy sto dziewięćdziesiąt takich potencjalnych mogił, najczęściej w samym centrum miasta, przy najbardziej zatłoczonych ulicach. Groza tej możliwości stwarza świetne warunki pracy wszelkim prorokom i fatalistom, którzy gorliwie oszacowują rozmiary przyszłego kataklizmu, licytując się na liczbę ofiar i skalę zagłady. Powściągliwe prognozy mówią, że ze szczelin nie uda się wyjść co najmniej tysiącu ludzi, może dwóm. W najsilniejszym trzęsieniu ziemi, z 1977 roku, które uderzyło w piątek o 21.20, zginęło w stolicy ponad tysiąc czterysta osób.

Ci, którzy przeżyli, pamiętają, że w telewizji oglądali wtedy bułgarski dramat „Słodko i gorzko”. I że noc była wyjątkowo jasna i gwiazdzista.

Ci, którzy widzieli wtedy miasto z góry, nie mogli uwierzyć, że bloki mogą się chwiać jak drzewa podczas burzy. W jednej chwili niebo pękło i miasto zawyło z przerażenia. Zerwał się wiatr, którzy roznosił smród spalenizny. Światła zgasyły i w bezwzględnej ciemności można było dostrzec tylko wściekle płomienie buchające ścianą albo pełgające pomarańczowymi językami.

Los rzucał wtedy kostką: ktoś wyszedł do kina i w mroczach sali znalazł schronienie przed śmiercią, ktoś inny oglądał telewizję i widok drżących szklanki na stoliku był ostatnim obrazem, jaki zarejestrowało jego oko. Ktoś brał prysznic, gdy poczuł drżenie podłogi, ale siła trzęsienia rzuciła go pod framugę drzwi, co uratowało mu życie; ktoś, jak w opowieści Herty Müller, stał przed umywalką, chcąc umyć zęby, i dopiero ktoś inny, identyfikując ciało, wyjął mu szczoteczkę do zębów z ręki. W rocznice trzęsienia ziemi z 1977 roku rumuńskie gazety drukują opowieści ocalałych z motywem przewodnim:

gdybym przyszła pięć minut później,
gdybym wyszedł dziesięć minut wcześniej,

gdyby została w domu swojej matki,
gdyby nie poszedł kupić papierosów.

On wyskoczył przez okno, ona wybiegła na klatkę schodową, ich dziecko zostało półsierotą. Jedni 4 marca świętują kolejne urodziny, inni obchodzą czyjaś rocznicę śmierci. Ziemia wykonuje bezmyślne egzekucje, los jest przypadkiem.

Czasem okazuje się szczególnie okrutny, tak jak to było podczas trzęsienia w 1940 roku, gdy zawalił się najwyższy budynek ówczesnego Bukaresztu, liczący czternaście pięter apartamentowiec Carlton. Drapacz chmur z prawdziwego zdarzenia, ogłaszały gazety, duma miasta, kawałek Ameryki. Nowoczesne kino na parterze szybko stało się miejscem, w którym śmietanka po prostu musiała być. Ci, którzy kupują mieszkanie w tym budynku, to ci, którzy mają piękne życie i będą mieli straszną śmierć.

W moim warszawskim mieszkaniu wiszą nad stołem fotografie Nicolae Ionescu z połowy lat trzydziestych przedstawiające bulwary Bălcescu i Magheru. Carlton zajmuje na nich centralne miejsce, potężny, górujący nad miastem, ciemniejszy niż inne budynki. Czasem, gdy patrzę na te zdjęcia, myślę o rodzinach lekarzy i oficerów, o dystygowanych mężczyznach i wytwornych kobietach, którzy tam mieszkali. O kinie, które ściągało tłumy. O budowniczych, którzy wprowadzili zmiany w projekcie i żeby przestrzeni było więcej, zrezygnowali z wielu słupów podtrzymujących strop. Te, które pozostały, były cieńsze i smuklejsze, niż pierwotnie zakładano. Wyglądały pięknie.

Trzęsienie ziemi uderzyło w środku nocy, o 3.39, kiedy pogrążeni we śnie ludzie byli bezbronni. Najszybciej zawaliło się niskie skrzydło budynku, a zaraz po nim najwyższe piętro, i kolejne, i kolejne, jedno po drugim zamieniały się w gruz. Dla tych, którzy przeżyli, mogła być jeszcze nadzieja. Ratownicy słyszeli głosy wydobywające się z ruin. Ktoś przytomny, kto miał dość przestrzeni i zimnej krwi, zadzwonił z piwnicy: rury są uszkodzone, zakręćcie wodę, bo się potopimy. Ale dwadzieścia minut po trzęsieniu ziemi, o czwartej nad ranem, w piwnicy zdarzyło się najgorsze: zapaliły się zapasy oleju, które służyły do ogrzewania budynku. Te kilka osób, które przeżyły trzęsienie (może kilkanaście? kilkadziesiąt?), dwadzieścia minut później zginęło w płomieniach.

W luksusowym apartamentowcu mieszkało trzysta osób. Przy stercie gruzów ślaniała się czwórka ocalałych. Mieli szczęście.

Albo i nie. Ocalały strażnik Carltona na chwilę przed trzęsieniem ziemi stał na tarasie budynku, oglądając miasto. Tamtej deszczowej i zimnej nocy, jak to się zdarza w listopadzie, miał na sobie pelerynę przeciwdeszczową. Kiedy zie-

mia pod jego stopami się rozwarła, a piętra waliły się jedno po drugim, podmuch powietrza rzucił nim jak nasionem dmuchawca, lecz peleryna zadziałała jak spadochron i zamortyzowała upadek. Tylko w tym skoku był superbohaterem. Ludzie wspominali, że w ciągu kilku minut jego głowa stała się siwa jak zalegający wszędzie kurz. Strażnik żył wiele lat, ale nigdy nie odzyskał spokoju. Przez długi czas można go było spotkać w miejscu, gdzie kiedyś stał budynek, którego ani on, ani nikt inny nie zdołał ochronić.

Dziś statystyki obwieszczają, że mieszkańcy Bukaresztu boją się trzęsienia ziemi bardziej niż śmierci, może dlatego, że niesie ono wszystkie możliwe nieszczęścia, niezawinione i ślepe: śmierć własną, śmierć cudzą, okaleczenia, straty dobytku, rozciągniętą w czasie niepewność i rozpacz. Raz na kilkadziesiąt lat Bukareszt obumiera i powstaje z gruzów, Feniks z powyrywanych piór.

– Cosmin, a to co? – Pokazuję szczelinę w ścianie.

– No tak, tak – odpowiada Cosmin.

– Nie boisz się kolejnego trzęsienia?

– Ten dom jest bezpieczny – zapewnia. – Sprawdziłem przecież, zanim go kupiłem. Góra jest drewniana, dach z blachy i wokół żadnych bloków, które mogłyby nam runąć na głowę.

Faktycznie, gdy spadnie deszcz, nasza uliczka zamienia się w błotnisty potok. Wszystko wokół mikre, przycupnięte, obite blachą, więc kiedy zatrzęsie, domki rozkraczą się nieco, wzdrygną, a jeśli runą, to jak konstrukcje z kart. Lecz ta lichosć nie chroni nas przed przypadkiem.

Ci, którzy prorokują z największym rozmachem, twierdzą, że tysiąc ofiar to tyle co nic, i prognozują pięćset tysięcy zabitych: pół miliona jest liczbą dobrze wyglądającą na żółtym pasku wiadomości. Wypowiadana odpowiednio złowieszczym tonem, zachowa abstrakcyjny i przyjemnie elektryzujący charakter, który wywoła zeszytnienie niejednej stopy w kapciu. Te szacunki przydają się tylko do lamentów; mimo refrenowych apelów nie powstał żaden skuteczny plan wzmacniania budynków przed kolejnym trzęsieniem ziemi.

W dokumencie pod wybornym tytułem „Pogodzeni z trzęsieniem ziemi? Film o sensie życia, kiedy czekasz, aż pogrzebią cię ruiny” Vlad Ursulean, dziennikarz obywatelski, pyta mieszkańców najbardziej rozchwybotanych kamienic, jak im się żyje ze świadomością, że w każdej chwili mogą umrzeć. Otóż żyje im się nieźle.

– Nigdy nie myśleliśmy o wzmocnieniu budynku – wyznaje posepnie starsza pani w błękitnej sukience w białe groszki. Jej twarz zmienia się tylko na chwilę, gdy dowiaduje się, że kamienica, w której mieszka, znajduje się na liście najbardziej zagrożonych zawaleniem. – I tak nikt by się nie

przejął, gdybyśmy wszyscy zniknęli razem z tym budynkiem – oznajmia, a w jej głosie słychać pewność i jakąś ciłą nutę satysfakcji.

Można odnieść wrażenie, że lokatorzy codziennie recytują przed snem Jagniątko.

– Może mnie przecież zabić i cegła. Nie zmienię swojego przeznaczenia – mówi z uśmiechem młoda kobieta, bujając się na krześle.

– Kto ucieknie losowi, który jest pisany przez Boga? – pyta retorycznie starsza pani trzęsącym się głosem.

Od 1994 roku działa w Bukareszcie Departament Konsolidacji. Ma on na koncie niejakie osiągnięcia: w ciągu siedemnastu lat udało się wzmocnić trzynaście budynków z czterystu dziewięćdziesięciu należących do I i II klasy ryzyka sejsmicznego. Zgodnie z procedurami państwo jest zobowiązane do wzmocnienia nadwątłych kamienic, ale postępowanie trwa. Czasem dwa lata, trzy, czasem dziesięć. Jeśli już pojawiają się robotnicy, to często partaczą. Tworzy się absurdałne błędne koło nieudolności, złej woli, obojętności i niewiedzy. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że mieszkają w grobowcu. A nawet jeśli wiedzą, to nie chcą mieć nic wspólnego z urzędnikami, których uważają za tępych i skorumpowanych. Urzędnicy z kolei sądzą, że wysyłanie ponagleń i nakładanie grzywny wystarczy, bo nikogo nie zaciągnie się siłą, żeby wypełnić formularze. Których są tony. Na biurkach Departamentu piętrzą się stosy bezużytecznej makulatury zalegającej latami. Kiedyś w takich samych stosach będą wypisywane akty zgonów.

Na szczęście burmistrz Sorin Oprescu trzyma rękę na pulsie. W wywiadzie z 2010 roku zapytano go, czy miasto jest przygotowane na kolejne trzęsienie ziemi. Odpowiedział, że owszem, programy pomocowe są wspaniałe, tyle że ludzie nic o nich nie wiedzą. A zresztą, dyspozycje zostały wydane i na trzech cmentarzach w Bukareszcie wyznaczono dodatkowe miejsca dla ofiar kolejnego trzęsienia.

Niestety, na cmentarzach Zachodnim, Straulești i Metalurgiei przygotowano tylko dwanaście tysięcy miejsc. Ale bądźmy optymistami. Może z tą połową miliona ofiar przesadzili? Może dwanaście tysięcy wystarczy? Rumuni mają już dość życia w strachu. W ostatnim roku coś drgnęło – udało się wzmocnić trzydzieści budynków. Tyle że po ekspertyzach siedemdziesiąt kolejnych znalazło się w I klasie ryzyka.

Któregoś ranka dzwoni Stefan i pyta, czy wiem, że w nocy było trzęsienie ziemi. Ledwo odczuwalne, 4 stopnie w skali Richtera, ale o drugiej w nocy wybudziło go ze snu. Przez krótką chwilę podłoga zafalowała i meble zdawały się tańczyć.

– Nic o tym nie wiem – mówię – spałam jak zabita.



DOMINIKA WASILEWSKA

Opium dla mas

Modę i religię wbrew pozorom łączy wiele. To nic innego jak dwa systemy zbudowane na emocjach, pożądaniu i tajemnicy. Wie o tym dobrze fotograf David LaChapelle, którego prace na początku września pokaże stołeczna Zachęta w ramach wystawy „In God We Trust”. Z tej okazji postanowiliśmy prześledzić niebezpieczne związki wiary i konfekcji.

Moda nie jest jedynie wytworem ludzkiej działalności, lecz także poglądów, przeżyć i emocji. Co więcej, jest znakiem przemian zachodzących we współczesnej kulturze, gospodarce, sztuce czy religii. Z tą ostatnią łączy ją najtrudniejsza do uchwycenia relacja, która jedynie w małym stopniu dotyczy dóbr materialnych. Duchowość w dzisiejszych czasach stała się kategorią ponadreligijną i uniwersalną. To właśnie ona niespodziewanie zbliża do siebie dwa z pozoru odmienne światy: mody i religii. W obu przypadkach chodzi o atmosferę tajemnicy, pozazmysłowe doznania i rytuały dające złudzenie zbliżenia do tego, co nieosiągalne dla kontestatorów.

Konsekwentny podział na sezony, niezmieniający się od lat harmonogram najważniejszych Tygodni Mody i rozłożony na określone sekwencje pokaz. Sezonowość prezentowania kolekcji i sam ich przebieg to podstawowy rytuał świata mody. Szttywno określone zasady i następujące po sobie czynności przypominają chronologię kościelnych obrzędów i świętych sakramentów. Moda

przywłaszczyła sobie wiele pojęć, które dotychczas były zarezerwowane dla kwestii związanych z wiarą. Modelki zyskały miano aniołków, magazyn „Vogue” to niekwestionowana biblia mody, zaś konsumenci to niemal wyznawcy, ślepo wierzący w przekazywane im w postaci



DZIĘKI UPRZEŻMOŚCI NARODOWEJ GALERII SZTUKI ZACHĘTA

trendów „prawdy wiary”. Ikony mody sprawiają natomiast wrażenie istot mistycznych, pozbawionych ludzkich ułomności oraz skłonności do grzechu. Nie jest tajemnicą, że ekskluzywne marki podsuwają konsumentom produkty w cenach odbiegających znacznie od ich wartości rynkowej. Te najbardziej pożądane domy mody idą nawet o krok

dalej: kreują quasi-religijne emocje. Duński guru marketingu Martin Lidstrom przeprowadził eksperyment, którego wynik wskazywał na to, iż luksusowe produkty i znane logo pobudzają te same regiony mózgu, co symbole religijne. Kolejne badania potwierdziły, że wspólnoty

wyznaniowe i społeczności skupiające największych fanów domów mody mają ze sobą wiele wspólnego. Grupa naukowców z amerykańskiego Uniwersytetu Duke'a udowodniła, że marki mogą również spełniać najważniejszą funkcję wiary: wzrost poczucia własnej godności. Tak jak religia zapewnia uczucie bycia kochanym przez Boga i prowadzenia życia zgodnego z wartościami, tak noszenie ubrań kultowych marek daje konsumentowi poczucie, że jest kimś ważnym i wyjątkowym oraz zasługuje w życiu na to,

co najlepsze. Jeśli już zdecyduje się na takowy mistyczny produkt, otrzyma również zestaw wartości i zasad poruszających się po dżungli współczesnej kultury i labiryntach pożądanego stylu życia.

Anioły świata mody

Habit zakonny, krzyż, różaniec i inne sakralne przedmioty zaczerpnięte z chrze-

ścijaństwa, islamskie burki i hidżab oraz wizerunek hinduskich bożków to motywy, po które najczęściej sięgają światowi projektanci. W bardziej lub mniej dosłownej formie pojawiają się na wybiegach niemal co sezon. Domenico Dolce i Stefano Gabbana użyli złotej mozaiki z sycylijskiej katedry w Monreale jako punkt wyjścia do kolekcji na jesień/zimę 2013/2014. Bizantyjska sztuka sakralna przeniesiona na grunt mody ujawniła romantyczne oblicze Kościoła katolickiego. Kontrowersje i łamanie tabu nie wchodzi tutaj w grę. Włoski duet, interpretując na nowo dwunastowieczne freski, wykonał ukłon w stronę religii katolickiej, będącej w tym przypadku nie tylko duchową podporą człowieka artysty, lecz także źródłem piękna i inspirującej estetyki.

W tym sezonie w stronę religijnych motywów poszła również Sarah Burton, projektując dla domu mody Alexander McQueen kolekcję pełną motywów typowych dla Kościoła anglikańskiego. Projektantka zaprezentowała zupełnie nowe podejście do wiary w porównaniu do swojego poprzednika, w którego twórczości powtarzające się często nawiązania do różnych wyznań były nacechowane negatywnie. Przy Alexanderze Lee McQueenie, widzącym w religii marksistowskie opium dla mas, Burton to prawdziwy anioł świata mody. Jej ostatni pokaz był mistyczną ceremonią z udziałem sióstr zakonnych, kardynałów, papieżycy i aniołów. Bicie kościelnych dzwonów w tle oraz subtelnie wykreowana atmosfera tajemnicy sprawiły, że rutynowa prezentacja kolekcji zyskała wymiar ponadzmysłowego doznania.

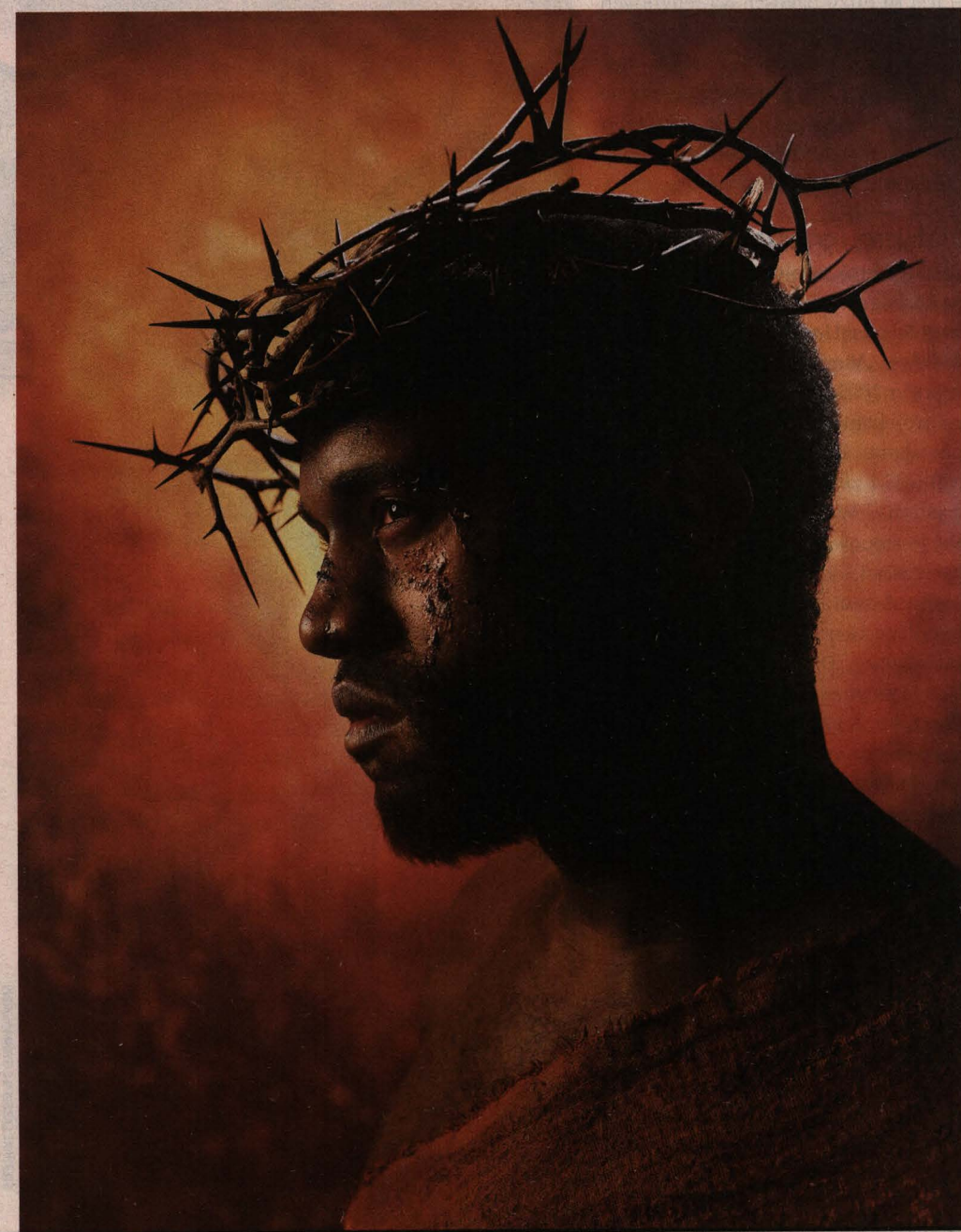
Równie emocjonalny charakter zyskał ostatni pokaz Riccardo Tisci dla Givenchy. I choć w porównaniu do poprzednich sezonów motywów religijnych na wybiegu pojawiło się niewiele, sam show stał się świętem dla ducha. To nie tylko zasługa eterycznego głosu Anthony'ego Hegarty'ego, który wystąpił podczas pokazu, lecz przede wszystkim nostalgii towarzyszącej kolekcji.

„Kanye West: Passion of the Christ” to jedna z głośniejszych prac Davida LaChapelle'a.

Tisci nie gra na emocjach odbiorców za pomocą jednoznacznego wykorzystania symboliki chrześcijańskiej. Cała filozofia jego twórczości opiera się na instynktowym dążeniu do oddawania prawdziwych uczuć za pomocą kra- wiewstwa, tak samo jak naturalna jest według niego wiara w Boga. „Bardzo rzadko chodzę do kościoła. Religia to dla mnie Jezus Chrystus i Bóg Ojciec. Dla

kogoś innego może to być Budda. Nie wierzę, że można nie mieć religii. Przyjmuje inne nazwy i kształty, ale dla każdego jest elementem życia. Szczególnie we współczesnym społeczeństwie” – powiedział w rozmowie ze Style.com.

Duchowość, czy to pod postacią wizerunku Matki Boskiej na koszulkach i złotych krzyży przeplatanych grubymi łańcuchami, czy jedynie atmosfery



DZIĘKI UPRZEŻMOŚCI NARODOWEJ GALERII SZTUKI ZACHĘTA

panującej podczas pokazu, jest niezmiennie obecna w domu mody Givenchy. Riccardo Tisci dał temu wyraz dwa lata temu, przejmując jednorazowo obowiązki redaktora naczelnego ekskluzywnej publikacji „Visionaire”, dla której wybrał religię jako temat przewodni. Album wypełniony po brzegi fotografiami interpretującymi najważniejsze religijne symbole, postacie i biblijne wydarzenia jednocześnie zachwycał wyrafinowaniem i szokował odważnym podejściem do tematu. – Jest tu dużo nagości. Na religijnych obrazach i rzeźbach również jest jej wiele: Chrystus i anioły są portretowane bez odzienia. Wszyscy urodziliśmy się nadzy – komentuje Tisci. Religijne tabu na moment przestało istnieć, a Riccardo Tisci z anioła stał się bluźniercą.

Bluźniercy i grzesznicy

Błędny wzrok, ogolona głowa ozdobiona koroną cierniową, wizerunek Maryi na gołej piersi i ręce spętane różańcem. Kolekcja „Virgin Mary Wears the Trousers” z 2002 roku autorstwa polskiego projektanta Arkadiusa ma czytelne przesłanie. Religia ogranicza ludzką wolność i zdolność autonomicznego myślenia. Wiąże człowiekowi ręce, aby postępował jedynie według słusznych zasad, a nie indywidualnych wyborów. Arkadius buntuje się przeciwko współczesnemu sposobowi postrzegania wiary. „Dla większości ludzi religia to pewne symbole: Jezus, Maryja, krzyż, itd. A nie, jak to powinno być – coś więcej, pewne uczucia wyższe, jak miłość, przyjaźń, empatia. Dla mnie religia jest miłością, a nie Jezusem czy Maryją. Te symbole są dla mnie tylko materialne, nie mają nic wspólnego z prawdziwą wiarą. Kolekcja ta była testem socjologicznym, który niestety udowodnił, że ludzie nie rozumieją, co to jest religia i jakie jest jej prawdziwe przesłanie” – mówił w wywiadzie z portalem Lejdzmagazine. Za granicą wychwalany przez krytyków, w Polsce uznany za skandalistę i grzesznika. Arkadius dotknął tematu wyjątkowo delikatnego dla naszego społeczeń-



Motywy sakralne pojawiły się w kolekcji Dolce & Gabbana na jesień 2013 (powyżej i na dole po prawej). Włoski duet projektantów zainspirował się XII-wiecznymi freskami.

Kolekcja „Virgin Mary Wears the Trousers” z 2002 roku, autorstwa Arkadiusa (zdjęcie obok), to zabawa symbolami wiary.



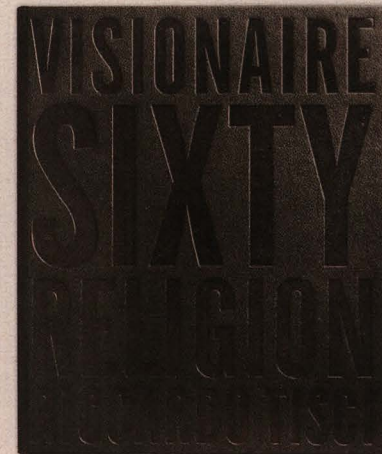
STEPHANE CARDINALE/STYMA/CORBIS



stwa – religijności ludowej. Modelka „ubrana” w obraz Matki Boskiej i bogato zdobione żakardy w barokowym stylu to zbyt wiele dla katolików z ich kultem maryjnym.

W podobny sposób religię postrzega Hussein Chalayan, brytyjski projektant tureckiego pochodzenia. Jego twórczość to sztuka performance, zabawa w technologiczne eksperymenty i przede wszystkim wszczepianie w ubrania konkretnego przekazu ideologicznego. Kolekcja „Between” z 1998 roku, jedna z najgłośniejszych w karierze projektanta, poruszyła temat miejsca kobiety w islamie. Niezwykle trafnie ukazuje ona rozdarcie współczesnej muzułmanki między dwoma światami – wschodnim i zachodnim. Nie bez znaczenia pozostaje wymowny tytuł: „Between”, czyli „pomiędzy”. Fale emigracji ściągnęły do europejskich miast olbrzymią grupę wyznawców islamu, którzy nie zawsze są skłonni się asymilować. Mieszkające na Zachodzie muzułmanki żyją na pograniczu dwóch różnych kultur, z których wciąż odbierają sprzeczne sygnały. Chalayan wchodzi do głowy zagubionej kobiety, próbując zrozumieć motywy jej wyborów. W kolekcji łączy odmienne elementy – półprzezroczysta suknia nawiązująca do wyzwolenia seksualnego Europejki zostaje uzupełniona drewnianym nika, który symbolizuje ortodoksyjne nakazy religijne. We wszystkich projektach chodzi o podkreślenie, że nadanie wszystkim muzułmańskim kobietom tej samej tożsamości za pomocą burki czy nikabu niszczy ich indywidualność. Finał pokazu doskonale puentował cały przekaz. Na wybieg wyszła naga postać z twarzą zasłoniętą maską. Tuż za nią pojawiła się kolejna naga modelka, jednak tym razem tkanina osłaniała jej ciało do wysokości pępka. Każda następna była odpowiednio dłuższa, aż do momentu, w którym tkanina stała się tradycyjnym muzułmańskim hidżabem. Według Chalayana religia i jej sztywne reguły pozbawiają człowieka jego najważniejszych praw – do samostanowienia i wolności sumienia.

Kreowanie mistycznej atmosfery wokół religijnych rytuałów w dużej mierze zależy od zaangażowania jak największej liczby zmysłów. Jednym z najistotniejszych i najbardziej uwrażliwionych jest węch. Kadzidło jako symbol modlitwy unoszącej się do Boga jest obecne w niemal każdym rytuale, niezależnie do religii. Specyficzna, ciężka woń kamiennych murów, sędziwego drewna i palącego się kadzidła działa na zmysły podobnie jak dźwięk organów kościelnych. Twórca perfum Comme des Garçons postanowił zamknąć je wszystkie w czarnej buteleczce. Perfumy z linii Series 3 zostały zadedykowane pięciu duchowym



Projektant Riccardo Tisci jednorazowo wcielił się w rolę redaktora naczelnego ekskluzywnej publikacji „Visionaire”, której tematem przewodnim była religia.

szołom: Avignon to woń murów gotyckiej katedry, Ouarzazate – islamskiego meczetu, Zagorsk – świątyni prawosławnych katolików, Jaisalmer – hinduskich kadzideł, zaś Kyoto – buddyjskiego klasztoru. W ten sposób marka Comme des Garçons funduje nam wyrafinowaną pielgrzymkę wokół globu.

Jezus i ludzie ulicy

David LaChapelle to światowej sławy fotograf, artysta i producent filmowy. Odkryty przez Andy'ego Warhola podczas imprezy w Klubie 54, szybko stał się jednym z najbardziej pożądanych fotografów mody. Co w jego twórczości było tak pociągające, że zaczęły bić się o niego najważniejsze tytuły, od „Vogue'a” po „Rolling Stone'a”? Przede wszystkim silny społeczny przekaz

podany w cukierkowej i wyidealizowanej do granic możliwości formie. Ludzkie słabości, niewygodne tematy tabu i sztuczność popkultury zostały uwypuklone przez LaChapelle'a za pomocą plastycznego surrealizmu. Przed jego obiektywem stają największe gwiazdy, jak Madonna, Michael Jackson, Angelina Jolie czy Elton John. Przedstawione jako boskie istoty lub bohaterowie nadrealistycznych scen rodzajowych tracą resztki człowieczeństwa. Jednak jeden z tematów fotograf ukochał sobie szczególnie. W słynnej serii fotografii „Jesus is my Home Boy” nawiązał dialog między religią a światem popkultury.

Obrazoburcze, kontrowersyjne, kiczowate – zdjęcia wykonane przez LaChapelle'a budzą skrajne emocje, zwłaszcza jeśli ich tematyka zaczyna krążyć wokół religii. Jezus w pop surrealistycznym wydaniu niektórych szokuje, ale czy powinien? Seria „Jesus is my Home Boy” przedstawia Syna Bożego, któremu przyszło żyć we współczesnym społeczeństwie amerykańskim. „Gdyby Jezus był tu dzisiaj, pewnie trzymałby z ludźmi ulicy: ubogimi, bezdomnymi, prostytutkami, dilerami, gangsterami. I co więcej, ci ludzie byłiby najbardziej oddaną grupą wyznawców” – mówił fotograf w wywiadzie z The Art. Newspaper TV. „Jesus is my Home Boy” nie wyśmiewa postaci Jezusa, a wręcz przeciwnie – przedstawia go jako superbohatera, idola młodych ludzi, najlepszego kumpla i życiowego doradcę. Ustawiony w niestandardowym otoczeniu lachapelle'owski Syn Boży przedstawiony został w tradycyjny sposób – ze stoickim spokojem, z otwartymi ramionami i smugą jasnego światła wokół głowy. Gdzie te kontrowersje i obraza uczuć religijnych? 6 września będzie można się o tym przekonać podczas wystawy „In God We Trust” w warszawskiej Zachęcie. Fotografie LaChapelle'a idealnie wpisują się w zamysł wystawy ukazującej różnorodność wierzeń i praktyk religijnych we współczesnych Stanach Zjednoczonych.

FRANCISZEK BARWIŃSKI

Byt i but

Najstarszy byt? Wszechświat. Chrześcijanie twierdzą, że ma co najwyżej kilka tysięcy lat. Naukowcy twierdzą zaś, że 13,82 miliarda. A **but**? Najstarszy skórzany trzewik ma 5,5 tys. Jeśli więc świat stworzył Bóg, nigdy nie chodziliśmy boso.

Nie ma czegoś takiego jak osobny byt, nic nie istnieje samoistnie, wszystko jest ze sobą połączone – to często przywoływane wymyki z dalekowschodniej ontologii. Nam, duchowym spadkobiercom Arystotelesa, niezwykle trudno dociec, o co tym nawiedzonym Azjatom chodzi. No bo jakże to? My – wspaniali, wyjątkowi i niepowtarzalni – stanowimy jedność z całym Wszechświatem? Jesteśmy zarazem Franciszkiem Barwińskim, Eminemem, Renatą Beger, mewą śmieszka i kornikiem? Potrzeba nie lada wyrzeczeń umysłowych, żeby to zaakceptować.

Łatwiej nam pojąć prawo karmy, które nazywamy ciągiem przyczynowo-skutkowym. Wciskamy do deski

pedał gazu – rośnie prędkość pojazdu i liczba punktów karnych na naszym koncie. Wejdziemy raz do rzeki i już nigdy więcej nie zamoczymy w niej nóg etc. O skutkach i przyczynach, a także o tym, że wszystko jest ze sobą połączone, opowiadał w swoim znakomitym serialu popularnonaukowym „Connections” (1978–1997) James Burke, brytyjski historyk nauki, dziennikarz i niezrównany gawędziarz.

Gdybyśmy byli Jamesem Burke'em (ach, no tak, przecież jesteśmy!), zaczęlibyśmy naszą opowieść od pytania: co łączy Andrzeja Wajdę z Sarah Jessicą Parker, tą od „Seksu w wielkim mieście”? Uczestnik hinduskiego teleturnieju powiedziałby zapewne, że wszystko, i ta odpowiedź musiałaby zostać zaliczona. Nam, którzy znamy dokonania naszego wybitnego reżysera, taka herezja nigdy by przez usta nie przeszła. Na to pytanie odpowiedzieli-

byśmy: Suwałki. Suwałki? Że to polski biegun zimna, wiedzą głównie krzyżówkowicze. Że urodził się w Suwałkach Wajda, wiedzą mieszkańcy Suwałk i okolicznych powiatów, czujący dumę ze stapania po tej samej ziemi, po której stąpiła za młodu Mistrz. S.J. Parker nie stąpiła, więc jej związek z miastem nie jest aż tak trwały (Burke zbudowałby tu analogię do słabych i silnych wiązań atomowych). Każdy, kto zna S.J. Parker, wie, że zna ją dzięki roli Carrie Bradshaw w „Seksie...”, a kto zna Carrie Bradshaw, wie, że Carrie Bradshaw kocha buty Manolo Blahnika. Ale już tylko fashion victims i ich znajome z Fejsa wiedzą, że Manolo Blahnik w sezonie 2010/2011 zaprezentował buty o nazwie Suwałki (a także Łódź i Poznań). Natomiast już nawet gimnazjalistki doskonale się orientują, że para szpilek sygnowanych nazwiskiem hiszpańskiego projektanta kosztuje 600 dola-

rów wzwyż i że jeśli owe gimnazjalistki będą się pilnie uczyć, zrobią wielką karierę i będą sobie mogły kupić tyle blahników, ile dusza zapagnie, a jeśli nie zrobią kariery, będą mogły, wzorem Kopciuszka, czekać na dobrze urodzonego i zamożnego sponsora. Dygresja, jeden z ulubionych chwytów Jamesa Burke'a: co ciekawe, stolica Wielkopolski ma wyjątkową rękę, pardon, nogę do butów. Hiszpańska firma obuwnicza Art również dała nazwę Poznań jednej z par trzewików (jest też Moskwa i Melbourne).

Manolo Blahnik, 70-letni dziś szef wszystkich szewców, a w każdym razie ich niedościgły wzór, wie o butach wszystko. Stąd też Hiszpan o czeskich korzeniach stał się jednym z ekspertów „National Geographic”, gdy trzy lata temu archeolodzy znaleźli w Armenii najstarszy na świecie skórzany but. Blahnik nie mógł wyjść z podziwu, oglądając liczący 5,5 tys. lat eksponat. But, mimo upływu kilku tysięcy lat, wyglądał niemal jak nówka sztuka z Deichmanna, a to dzięki niskiej wilgotności armeńskiego powietrza i owczym odchodom, które, jak się okazało, świetnie konserwują wyroby ze skóry. Sami jeszcze nie próbowaliśmy, więc musimy uwierzyć naukowcom na słowo. Blahnika zachwycił nie tylko doskonały stan buta, ale i sposób jego wykonania. „Wygląda zupełnie jak współczesny wyrob” – ekscytował się projektant. Gdyby szewc z armeńskiej jaskini sprzed

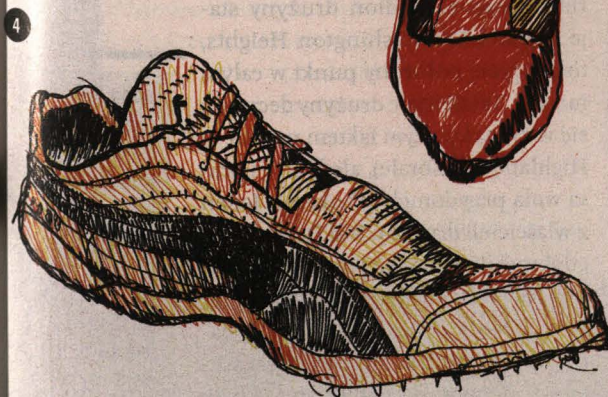
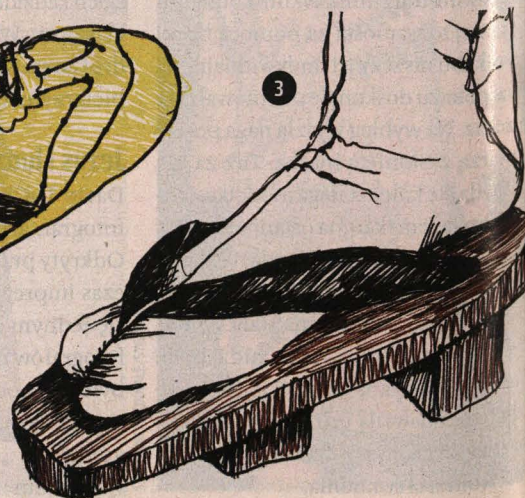
5,5 tys. lat usłyszał Blahnika i zobaczył jego szpilki, popukałby się w czoło. Jaskiniowcy tworzyli buty, które miały chronić ich nogi przed niskimi i wysokimi (nawet 45 st. C) temperaturami, a także przed zranieniem – zarówno jodyną, plastry na odciski, jak i wybiegi dla modelek stworzono nieco później. Ale Blahnik upiera się, że Ormianie szyli buty dla ich wyglądu – tak by jedno plemię jaskiniowców mogło wyróżnić się na tle innych.

Nie mamy śmiałości polemizować z obuwniczym wizjonerem. Wydaje nam się jednak, że dość długo szewcy stawiali głównie na praktyczność. Wystarczy przypomnieć rzymskie i greckie sandały, średniowieczne trzewiki, japonki na koturnach zwane geta (patrz rycina nr 3) czy drewniane chodaki à la niderlandzka chłopka. Przez wieki szewcom nie śniło się, że za parę szpilek można żądać tyle kasy co za nowego Samsunga Galaxy III. Albo i więcej. Poza tym wciąż wielu ludzi naprawdę wierzy w to, że buty muszą być przede wszystkim wygodne. Nie mamy tu zamiaru wyżywać się na miłośniczkach wysokich obcasów, na których podobno da się chodzić tak, żeby nie bolało. Bo że da się na nich utrzymać, przekonali nawet Dustin Hoffman („Tootsie”) i Wojciech Pokora („Poszukiwany, poszukiwana”).

Być może jesteśmy staromodni, ale twierdzimy, że najpierw należy poczuć się w obuwiu komfortowo, a gdy ten

warunek zostanie spełniony, możemy pomyśleć o tym, by czuć się w naszych butach jak... Jak na przykład wymachująca samurajskim mieczem bogini zemsty w „Kill Bill” (Uma Thurman nosiła japońskie buty Onitsuka Tiger, ryc. nr 2, ok. 340 zł). Jak najszybszy człowiek świata Usain Bolt (złote pumy, ryc. 4). Jak rosyjska przodownica pracy w kołchozie na Syberii (walonki firmy ZDAR, ryc. 1, cena ok. 1100 zł, u nas polecane zwłaszcza mieszkańcom Suwałk). Jak Sid Vicious, Jello Biafra albo Nina Hagen (glany, ryc. 6, te made in England, najwyżej oceniane przez punków, kosztują parę stów). Ale kontestować można również w czerwonych pantofelkach (ryc. 5). Wystarczy wspomnieć w towarzystwie o słabości do teledysku Davida Bowiego „Let's Dance” i parze czółenek symbolizujących zgniły kapitalizm. Możemy wreszcie buntować się, chodząc boso. Byle w ostrogach.

PS. James Burke zamknąłby ten tekst klamrą, wracając do początku... bo przecież wszystko jest ze sobą połączone. Zaczęliśmy od dalekowschodniej ontologii. W jej zrozumieniu pomagają podobno asceza i medytacja. Radzimy, by przed przyjęciem pozycji lotosu zawczasu zdjąć blahniki czy ostrogi. I bez nich po pięciu minutach boli jak cholera. ☞



KUBA DĄBROWSKI

Czapeczki od Tiffany'ego

Podłana krwią historia jednego z popularniejszych sportowych logotypów świata.

Nowy Jork, noc z 7 na 8 stycznia 1877 r. Oficer lokalnej policji John McDowell patroluje pełną tanich czynszówek i owianą słusznym złą sławą dzielnicę Hell's Kitchen. Około trzeciej nad ranem, kiedy idzie Siódmą Aleją, zauważa dobywające się ze sklepu monopolowego Courtneya przytłumione światło. Podchodzi bliżej, słyszy podejrzaną hałas. Na wszelki wypadek wyciąga pałkę i zdecydowanym krokiem wchodzi do środka. W sklepie trzech włamywaczy pakuje akurat do toreb łup – głównie papierosy. Zobaczywszy policjanta, bandyci błyskawicznie rzucają się do ucieczki. Padają strzały. McDowell zostaje postrzelony w lewe ucho, ale pomimo to udaje mu się zatrzymać jednego ze złodziei – rzuca się na niego i zapaśniczym chwytem przyciska do ziemi.

Nowojorska policja jest jeszcze stosunkowo młodą organizacją i nie cieszy się raczej estymą społeczną. Zżera ją plaga korupcji, częste są przypadki nieuzasadnionej agresji. Policjantom bardzo potrzebne są pozytywne, motywujące przykłady, a okupiona krwią i zakończona sukcesem interwencja McDowella wydaje się przykładem idealnym. Szefostwo postanawia nagłośnić sprawę – uhonorować policjanta nagrodą pieniężną i medalem za odwagę. Nowojorska policja nie przyznawała wcze-

śniej takich odznaczeń, dlatego wzór medalu jeszcze nie istnieje. Komisarze zamawiają go w najbardziej nowojorskiej z nowojorskich firm jubilerskich, czyli u Tiffany'ego przy Piątej Alei. Ten, a raczej jego pracownicy, wymyśla dające się łatwo odlać, a przy tym elegancie, zachodzące na siebie litery N i Y. Ozdobiony nimi medal i tysiąc dolarów premii zostają wręczone McDowellowi już 12 stycznia.

26 lat później, w roku 1903, z Baltimore do Nowego Jorku przenosi się drużyna baseballowa federacji Ame-

rican League. Stadion drużyny staje w dzielnicy Washington Heights, to najwyżej położony punkt w całym mieście. Właściciele drużyny decydują się w związku z tym faktem nazwać ją Highlanders (Górale), ale kibice i prasa wolą przydomek „Yankees”. Jeden z właścicieli drużyny, Bill Devery, niegdyś szef nowojorskiej policji, chociaż sam nie został medalem odznaczony, przypomina sobie o pięknych, zaprojektowanych przez Tiffany'ego literach. Proponuje, żeby stały się logo drużyny.

Kuba Dąbrowski
co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



ekiosk.PL™

ponad **380** tytułów prasowych w e-wydaniach!

zobacz jakie to proste i tanie

PRZETESTUJ DARMOWE WYDANIE

**PRZE
KROJ**

www.ekiosk.pl/przekroj_test



ROZMAWIA PATRYK CHILEWICZ

Chciałem być najlepszy

Młodzi narzekają na rynek pracy. Ale nie wszyscy: spytaliśmy **Damiana Gajdę**, 23-letniego szefa działu kultury Onetu, jak dziecięciem będąc, dołączył do elity dziennikarzy kulturalnych.

Kiedy zdałeś sobie sprawę, że chcesz być tym, kim jesteś?

Kiedyś uwielbiałem czytać, ale bardzo nie lubiłem pisać. Sprawiało mi to ogromną trudność, więc moje zapiski ograniczały się do listy przeczytanych książek. Właściwie pochłanianych na wyścigi. Ale im więcej czytałem, tym mniej z tego pamiętałem, więc zacząłem notować dwa-trzy zdania o danej książce. No i tak to się zaczęło, od pisania dla siebie.

Notowałeś na mankietach?

Ha, ha, ha. W komputerze.

Zacząłeś współpracę z kilkoma prestiżowymi tytułami jako nastolatek.

To były m.in. „Nowe Książki”, „Tygodnik Powszechny”, „Bluszcz”, „Przekrój” i „ELLE”. Miałeś tremę?

Jak się jest bardzo młodym, co w moim przypadku brzmi raczej humorystycznie, wierzy się w to, że można osiągnąć wszystko. Kiedy masz 18 lat, nie czujesz

obciachu, dzwoniąc do Jonathana Carrolla i prosząc go o wywiad. Potem to się zmienia. Dlatego cieszę się, że zacząłem wcześniej i miałem odwagę, żeby takie rzeczy robić.

Trudno było dołączyć do elity dziennikarzy kulturalnych?

Nie należę do żadnej elity, w ogóle tego nie odczuwam. Moją pracą jest pisanie i redagowanie tekstów. Mam szczęście, że robię to, co lubię. Zawsze na mojej drodze był ktoś, kto wyciągał do mnie rękę. Więc teraz, kiedy sam mam taką możliwość, pomagam innym.

Co cię napędzało? Sam z doświadczenia wiem, że początki w dziennikarstwie nie należą do najłatwiejszych.

Motywowało mnie do działania to, że po prostu chciałem być najlepszy i nie mieć sobie nic do zarzucenia. Wierzyłem, że to kiedyś zaprocentuje. Pamiętam, jak wracałem z redakcji i w metrze zobaczyłem dziewczynę, która czytała

mój wywiad z Hanną Samson w jednym z tygodników. To było w tym samym dniu, w którym gazeta ukazała się w kiosku.

Skoczyło ci tętno?

Dzisiaj pewnie nie zwróciłbym na to uwagi, ale wtedy wysłałem chyba 100 SMS-ów do znajomych, żeby się tym pochwalić.

Kiedy poczułeś, że spełniasz się w pracy?

Trudno powiedzieć. W ciągu tych kilku lat zaliczyłem parę lekcji pokory i uświadomiłem sobie, że nic, co piękne, nie trwa wiecznie. Najważniejsze, żeby w tym zawodzie pozbyć się złudzeń i nie myśleć, że wszystko jest nam dane raz na zawsze. Mam mnóstwo fajnych wspomnień związanych z redakcjami, z którymi już nie współpracuję. Ale przekonałem się, że pracuje się głównie dla ludzi, a nie dla miejsca, i te znajomości potem procentują – czy to na gruncie zawodowym, czy prywatnym. Poza tym cieszę się, że pracuję z ludźmi, których podziwiam i od których mogę się czegoś uczyć: Pawłem Kostrzewą, Grażyną Olbrych, Moniką Czulką i wieloma innymi.

Po stażowaniu i bezpłatnych tekstach w końcu załapałeś się na stałe do redakcji. Widać trud się opłacił.

Zdecydowanie! To był Onet. Tutaj zaczynałem jako współpracownik. Byłem freelancerem i pisałem do różnych miejsc, ale w końcu dostałem pracę na etat. Teraz prowadzę dział Kultury i oprócz pisania tekstów zajmuję się wieloma innymi rzeczami: zamawiam i redaguję treści, mam wpływ na to, co danego dnia pokazujemy naszym



MAGDA STAROWIŃSKA

uży kownikom. Fascynująca i dająca satysfakcję robota.

Jak smakuje sukces? Masz przecież dopiero 23 lata, a prowadzisz ważny dział w jednym z najbardziej wpływowych portali w kraju.

Nie patrzę na to w kategoriach sukcesu. Rzeczywiście czasem słyszę, że „mi się udało”. Ale gdybym sam tak zaczął myśleć, pewnie stanąłbym w miejscu i nic więcej nie zrobił. Ta praca to wielkie wyzwanie, z którego czerpię sporą frajdę.

Recepta na sukces?

Taka jak w dowcipie o kobiecie, która podchodzi do kanalarza stojącego po pas w studziencie i pyta go o to, jak trafić do opery. A on odpowiada: „Och, droga pani. Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć”.

Czyli praca, praca i jeszcze raz praca?

I, niestety, również wyrzekanie się przyjemności. Ale to się opłaca.

Bardzo szybko wybrałeś redakcję, której jesteś wierny. Nie nuży cię to? Nie masz ochoty na nagłą zmianę, na jakąś rewolucję?

Trudno się nudzić w redakcji, w której co chwilę trzeba coś ogarnąć. Mnie ta praca nauczyła wielkiej samodyscypliny i słuchania ludzi, bo autorzy tekstów są nie tylko pomysłodawcami, ale też redaktorami, korektorami i często fotoedytorami. I jestem wierny firmie, która dużo mi daje. Teraz już brakuje miejsc, gdzie można pisać o książkach, a stała pensja i etat dla dziennikarzy kulturalnych to prawdziwy luksus. Poza tym promowanie takich treści w mediach, które łączy pop i wysoką kulturę,

DAMIAN GAJDA

(rocznik 1990), dziennikarz i szef działu Kultura w portalu Onet. Jeszcze w liceum publikował recenzje i wywiady m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Przekroju”, „ELLE”, „Lampie” i „Nowych Książkach”. Ma na koncie wywiady z najbardziej wpływowymi ludźmi kultury, tysiące recenzji książek i wciąż studiuje polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, ale za nic nie chce zdradzić, na którym jest roku.

to ciekawe wyzwanie. Tu dobrze widać, co naprawdę interesuje czytelników, odpowiedź dostajemy w zasadzie natychmiast. Szybki kontakt ze światem jest bezcenny.

Zdarza ci się w pracy, że z uwagi na wiek jesteś traktowany niepoważnie?

Na początku tak było. Teraz chyba nikt już nie zwraca na to uwagi. Można powiedzieć, że dorastałem w Onecie, wszyscy są przyzwyczajeni, że mam trochę mniej lat od innych, więc raczej już tego nie zauważam.

Dostałeś kiedyś wyjątkowo miły lub nie miły list od czytelnika?

Tak, jasne. Użytkownicy wyżywają się zazwyczaj w komentarzach. Tych obraźliwych staramy się nie czytać. Ale pojawiają się też fajne wskazówki i tropy, które sprawiają, że na dany temat można spojrzeć z zupełnie nowej strony. Pojawiali się też niezadowoleni pisarze, np. Juliusz Strachota, którym nie podobały się recenzje, lub dziennikarze występujący w obronie pokrzywdzonych pisarzy. Jeden z nich – Marek Łuszczyna – założył nawet blog, który nazywał się „Polemika z Damianem Gajdą”.

Z którego tekstu jesteś szczególnie dumny?

Z wywiadu z Hanną Krall. To było dla mnie ważne przeżycie i ogromny stres. Na początku rozmowy była do mnie sceptycznie nastawiona, chyba właśnie z uwagi na mój wiek. Potem złapaliśmy porozumienie i wszystko wyszło naprawdę fajnie. Świetnie wspominam też spotkania z Michałem Witkowskim, Grażyną Kulczyk, Sylwią Chutnik i Korą. Każda z tych rozmów sporo mnie nauczyła.

REKLAMA



Rzetelny pracodawca

16 000 pracowników w Polsce



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Wina nieistniejące

Gdybym miał wskazać winiarski kraj przyszłości, byłaby to **Turcja**.

Ale to będzie bardzo daleka przyszłość. Na razie wino tureckie musi walczyć samo ze sobą. W Turcji alkohol pije tylko 9,7 proc. populacji. Reszta jest przeciw i głośno to wyraża. Nie tylko imamowie, dla których alkohol jest nasieniem szatana (choć wśród znawców Koranu trwa dyskusja, czy ta święta księga wprost zabrania picia alkoholu, czy tylko odradza). Również zwykli Turcy patrzą krzywo, gdy ktoś (zwłaszcza kobieta) pije alkohol. Nic dziwnego, że konsumpcja wina osiąga zawrotne 0,29 litra na głowę mieszkańca, przy którym nawet Polska, choć wlece się w ogonie Europy, wydawać się może winiarskim rekinem.

Atmosfera jest zła. Wiosną głośnym echem – jeszcze zanim armatki wodne wjechały na plac Taksim – odbiła się ustawa preforsowana przez rządzącą Partię Sprawiedliwości i Rozwoju, zakazująca sprzedaży alkoholu w pobliżu szkół i meczetów oraz w godzinach nocnych. Rozbawiony alarmem pisałem do tureckich znajomych, że takie ograniczenia mamy w Polsce od lat, ale im nie było do śmiechu. Powszechnie się uważa, że to dopiero początek: umiarkowani islamisci, rządzący Turcją od 11 lat, szykują całkowitą prohibicję.

A jednak tureckie wino istnieje. Historię ma długą i chwalebą. To w północno-wschodniej Anatolii, Armenii i Gruzji człowiek po raz pierwszy udomowił winny krzew. Wcześniej winorośl pięła się dziko po drzewach, a koczownicy zjadali winogrona znalezione w lesie. Gdy osiedli, posadzili wino. Z Azji Mniejszej zawędrowało ono do Grecji i Rzymu, a dalszy ciąg tej historii znamy. W pierwszym okresie imperium tureckiego wino było bardzo poważane, winiarze z takich pro-

wincji jak Grecja czy Bułgaria korzystali nawet z ochrony. Sytuacja zaczęła się pogarszać w wieku XVIII, ale grupa winomańska w Turcji pozostała aktywna. Swoją renesans przeżyła w Republice Tureckiej – w latach 20. XX wieku z entuzjazmem zakładano nowe winnice i przetwórnice, najbardziej znaną z nich – Doluca – stworzył wręcz ojciec narodu, czyli Atatürk. No ale były to czasy, gdy Turcja miała być państwem świeckim, nowoczesnym i prozachodnim.

Ostatnie lata są dla tureckiego winiarstwa napięte, ale i niezwykle udane. Jak grzyby po deszczu wyrastają kolejne posiadłości; szacuje się, że w całym kraju funkcjonuje już ponad 100 tzw. butikowych, czyli małych, rodzinnych winiarni. Wybrałem się niedawno do Turcji na wino i wróciłem nawet nie zmieszany, ale wprost wstrząśnięty. Próbowałem wielu doskonałych win, spotkałem otwartych na świat, wykształconych, dynamicznych poliglotów, którzy dobrze wiedzą, czego chcą, i uparcie dążą do celu. Był to winiarski krajobraz z pewnością piękniejszy niż aktualna sytuacja wina w takiej Bułgarii, Rumunii czy Mołdawii.

Oprócz kapitału ludzkiego tureckie winiarstwo ma dwa potężne atuty. Pierwszy to różnorodność. Powstają tam dobre wina białe, bardzo dobre różowe i doskonałe czerwone; winnice uprawia się w leżącej w Europie Tracji, na wybrzeżu Morza Egejskiego, w Turcji Środkowej, a także na dalekim wschodzie kraju, który zwany jest oficjalnie Anatolią Południowo-Wschodnią, ale tak naprawdę jest (ciui...) Kurdystanem. W Tracji panuje łagodny śródziemnomorski klimat przypominający Grecję albo Włochy, za to w kurdyjskich górach, na 1000 metrów n.p.m., w dzień



1 Kavaklıdere Ancyra Narince 2012, pierwsze wino tureckie dostępne w Polsce, ok. 55 zł

2 Pasaeli Çalkarasi 2012, poziomki, maliny, konfitura z róż, ok. 30 zł

3 Vinkara Kalecik Karasi 2011, czereśnie, skóra, pieprz, ok. 30 zł

jest bardzo gorąco, w nocy bardzo zimno, co daje zupełnie inny rodzaj win.

Drugi atut to rdzenne szczepy winogron. Co prawda w Turcji spotkamy również „międzynarodowe” Sauvignon Blanc, Chardonnay, Cabernet Sauvignon, a duże nadzieje wiąże się z Syrah, ale bogactwo miejscowych odmian przyprawia o zawrót głowy. Najbardziej popularne odmiany w winach białych to jabłkowy Emir i bogate, brzoskwiniowe Narince. W czerwonych – Öküzgözü i Boğazkere, oba potężne i dość cierpkie, ale o fantastycznej głębi smaku. Jest też lekuchny, przypominający Pinot Noir Kalecik Karasi oraz mój ulubieniec – Çal Karasi, z którego robi się wino ciemnoróżowe, jedno z najlepszych, jakie znam.

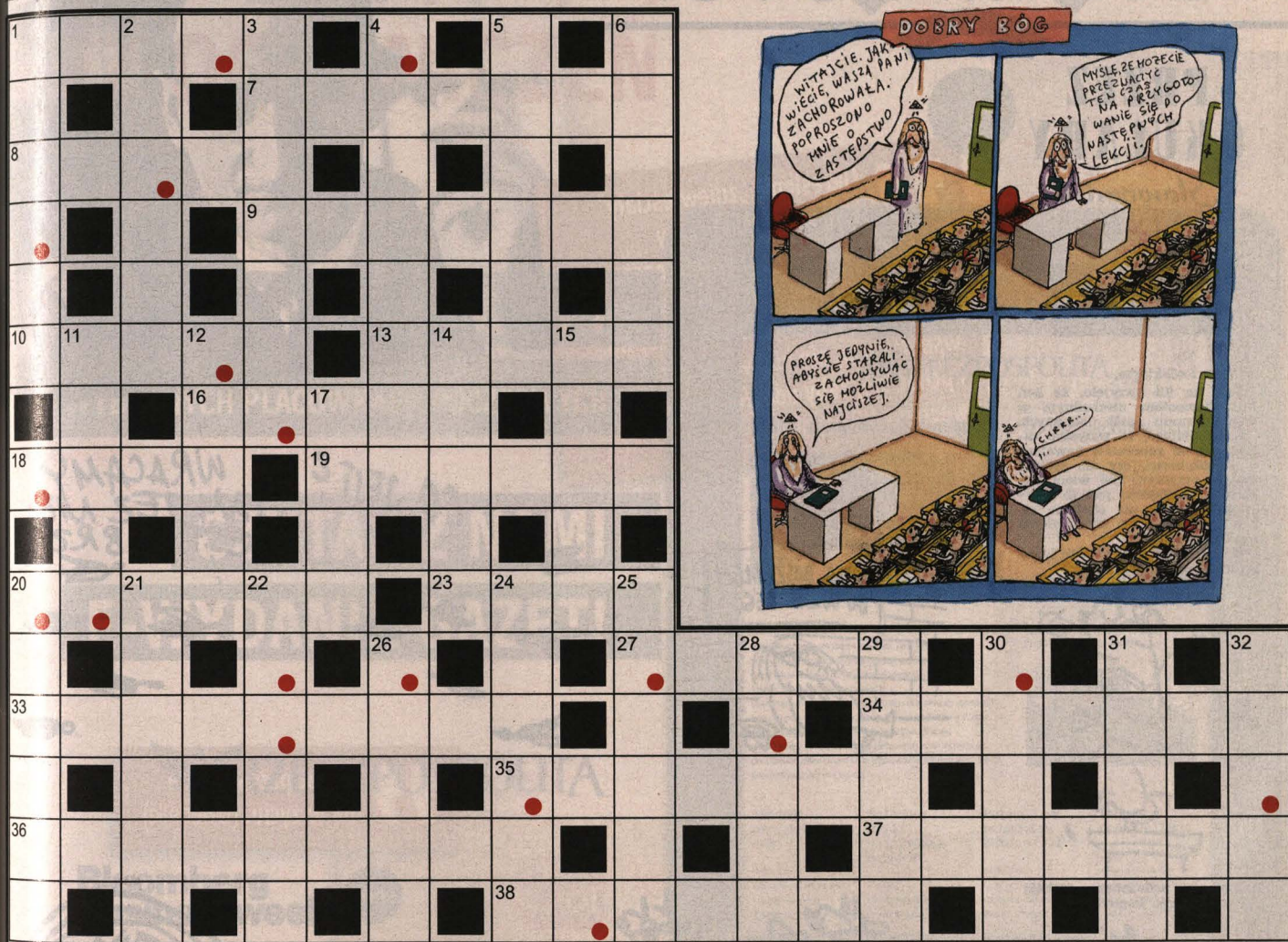
Kupienie wina tureckiego w Turcji to nie lada wyzwanie. Sklepów z alkoholem jest bardzo mało i kupimy w nich najczęściej flaszki od wielkich hurtowników – Sevilen, Pamukkale, Kayra, Doluca i Kavaklıdere (ci dwaj ostatni całkiem solidni). Taki sam wybór mamy w tureckich kurortach, gdzie dodatkowo wino jest koszmarnie drogie – zdarza się, że najtańsza butelka w restauracji kosztuje ponad 30 euro! To wina podatków i małej konkurencji. Ale naprawdę warto poszukać win od małych winiarni, takich jak Château Nuzun, Gali, Mozaik, Arcadia, Urla, Vinkara czy największa gwiazda – Pasaeli. Mogą się okazać najlepszym winem wakacyjnym, na jakie trafiłiscie.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winiątywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

1. KULAWY NA DRODZE
2. BANK, W KTÓRYM ZDETONOWANO DUŻĄ SUMĘ
3. WŁOSKI DLA POCIĄGAJĄCYCH
4. WYWOŁUJE STRES
5. WBRĘW ZASADOM

13. STOSUNKI NIEDOBRO-SĄSIEDZKIE
16. NIŻEJ SRAJĄ, NIŻ DUPEJ MAJĄ
18. WIEJE GROZĄ
19. STARY ŁOBUZ
20. CO Z CIEBIE WYROŚNIE?
23. CZUWA NAD KUCHNIĄ

27. ...NY RUCH W NY
33. KRÓTKI DO WÓDKI
34. WYSŁANY BEZ ZNACZKA
35. OSTRO ZAKOŃCZONY KABEL
36. PAN HAU
37. PROWADZI DO ŚLUBU
38. ROZPADLINA

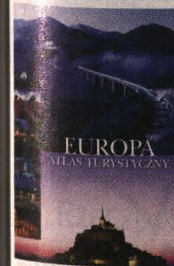
PIONOWO:

1. DOM ŁALKI
2. RACHUCIACHIZM
3. JAZDA BEZ ZATRZYMANIA
4. STOSUNEK ORALNY
5. MIGDAŁY NA GORĄCO
6. NA ŁONIE Z KOLEŻANKĄ
11. PAS DO POPUSZCZANIA

12. TO MASZ LISIE
14. ŚWIADEK NA WESELU
15. MIESZKO TAM KSIĄŻĘ
17. SAMIEC GREKA
20. LEŻY NA DESKACH
21. WYSOKA IZBA
22. KOMINEK BEZ OTWORU
24. NAJLEPSZY WARSZTAT W MIEŚCIE

25. ZUPEŁNIE OD CZAPY
26. UCHODZIÓB
28. NASZE PORCJE
29. PODNOSI DESKĘ
30. MOKRA ROBOTA
31. MISTRZ PRZEKRĘTÓW
32. MATERIAŁ ŁATWOPALNY

Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Europa. Atlas turystyczny” wyd. Global PWN



Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 34”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 1 września 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

GREMI MEDIA Sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przesać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni o zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesianie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.

LAUREACI Z NR. 30

Paweł Królak, Września; Magdalena Duda, Suchy Bór; Adam Karwowski, Warszawa; Anna Fedorowicz, Kraków; Marek Gubański, Swarzędz; Krzysztof Misiewicz, Wodzisław Śląski; Jacek Stychno, Sosnowiec; Grażyna Rudol, Chrzanów; Adam Pajak, Białsko-Biała; Jerzy Czerwiński, Węgrów

ROZWIĄZANIE Z NR. 31
KRZYŻÓWKA: UKRYTA KAMERA

POZIOMO: 1. ZĄB ZA ZĄB – ZGRZYŻ 7. MISTRZ WAGI PIÓRKOWEJ – BROJLER 8. AAAABY USNĄĆ – KOTKI 9. ŚRODEK MIASTA – TRAMWAJ 10. ZAPUSZCZONA NA ULICY – SONDA 13. STOSUNEK Z SĄSIĄDEM – ZWADA 17. MOŻNA JEŚĆ Z KOPYTKAMI – KONINA 18. ŻYCIE NA GORĄCO – UPAL 19. OBOWIĄZKOWY DESER – MUS 20. FASOLOWA LUB POMIDOROWA – TYCZKA 23. PSIA ZGUBA – TROP 27. DOPROWADZA DO SPIĘĆ – AGRAFKA 33. ZABAWA DO KOTLETA – MIĘSOPUST 34. POWODUJE FERMENT – ROZCZYŃ 35. OSTATKI W POŚCIE – RESZTKA 36. OKNO ZABITE DECHAMI – OKIENNICA 37. ZA WYSOKIE PROGI – BARIERA 38. PRZEDMIOTY NIEOBOWIĄZKOWE – KLAMOTY

PIONOWO: 1. ODLEGŁOŚĆ OD STACJI DO STACJI – ZAKRES 2. FIBAK ODPOWIADA WPROST – RETURN 3. KRZYŻÓWKA SŁOWNA – ZBITKA 4. NAJRZADSZY PRZYPADEK – WOLACZ 5. TŁUCZE SIĘ PO LABORATORIUM – ZLEWKA 6. CAŁA PRZYJEMNOŚĆ PO MOJEJ STRONIE – FRAJDA 11. RZADKO PUSZCZAJĄ OKO – OKOWY 12. W PUSTYNI I W PUSZCZY – DZICZ 14. ROBI KOŁO PIÓRA – WPUST 15. ROZMÓWKI POLSKO-NIEMIECKIE – DIALOG 16. OPAKOWANIE NA OLEJ – RAMA 20. PO CIOSIE W NOSIE – TAMPON 21. PŁASZCZA LUB SZPADY W FILMIE PŁASZCZA I SZPADY – CIĘCIE 22. NAJBARDZIEJ ŁÓDZKIE MIASTO – KROSNO 24. GĄSIENICE GĄSIENICY – RATRAK 25. Z NACISKIEM NA P – PRESJA 26. W OCZACH DZIKA – FURIA 28. UBRANIE NA JUTRO – FUTRO 29. KONIE Z GUMY – ARABY 30. KRÓLOWA NOCY – CZERN 31. SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA – SZLEM 32. PAMIĄTKA Z DREWNA – PNIĄK

PRZEZ OKULARY

Sławomira Mrożka



"Panie Redaktorze,
Tak się już przyjęło, że koń jest elementem niezbędnym w pomnikowaniu osób sławnych. Czy to dlatego, że wszystko zaczęło się od generałów kawalerii w starożytności, czy dla jakichś innych przyczyn, nie wiem dokładnie, ale faktem jest, że przyzwoity pomnik nie obejduje się bez konia, od czasu wynalezienia tego ostatniego.

W związku z tym rzucając luźno projekty pomników, kolejno:



A) Pomnik zasłużonego dżokeja wraz z jego koniem.



B) Pomnik grupy zasłużonych uczonych.



C) Pomnik zasłużonego liścia jesiennego (bardzo aktualne w związku ze zbliżającą się szybkimi krokami porą roku).
Z pozdrowieniami S.M.

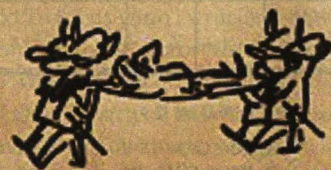
„ Określenie „zniewieściały” jest w gruncie rzeczy określeniem pochlebnym. Oznacza ono, że dany osobnik często się myje, nie lubi zabijać ludzi, zdolny jest do współczucia, nie lubi wrzeszczeć i pchać się, żeby udowodnić swoją ważność. (Dzienniki)



CO JEST?

WRACAMY TAM TEŻ NIE JEST DOBRZE

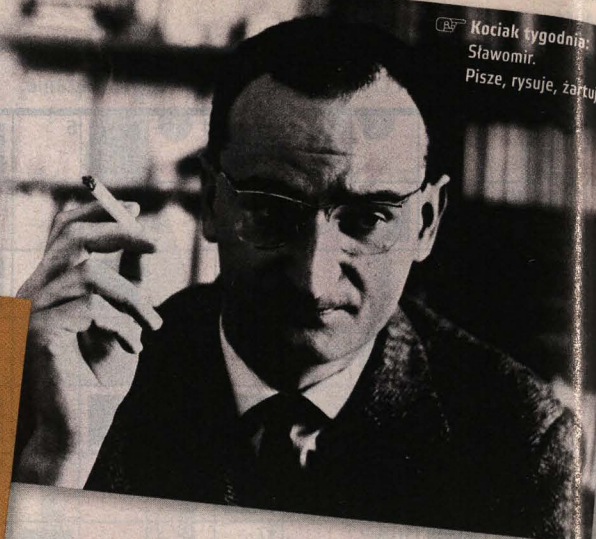
„ Świat przeszkadza mi w życiu. (Dzienniki)



WYNOŚZA HAMLETA. JAK SĄDZIŚ: CZY TERAZ PODROŻEJE CZY POTANIEJE...

„ Bunt to postęp w fazie potencjalnej. (Tango).

„ Jeżeli istnieje jakieś inne życie po śmierci, prawdopodobnie tak samo nie będę pamiętał mojego umierania. Trochę to smutne, bo to znaczy, że ani tego, że jesteśmy, ani tego, że nas nie ma, nie możemy być pewni. (Varia. Życie i inne okoliczności)



Kociak tygodnia: Sławomir. Píše, rysuje, żartuje.

W wakacje czytaj BEZ OGRANICZEŃ

DARMOWE WI-FI

W WYBRANYCH PLACÓWKACH POCZTOWYCH

CZYTAJ Z NAMI E-WYDANIA GAZET!

RZECZPOSPOLITA

Bloomberg Businessweek

Polska

PRZEKRÓJ

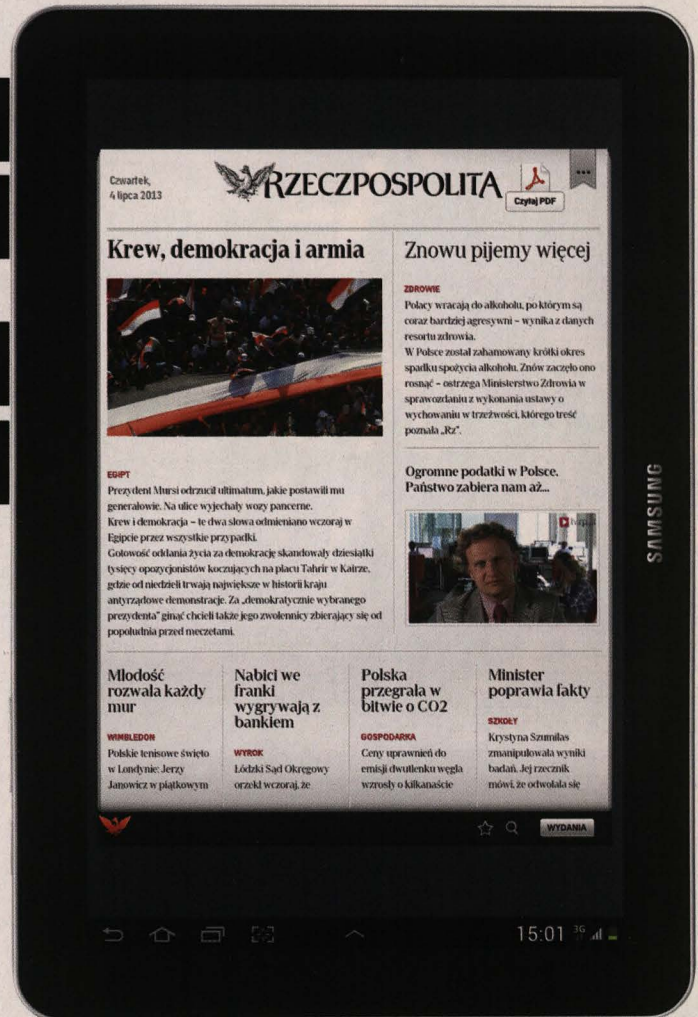
SUKCES

UWAŻAM RZE HISTORIA

W czasie wakacji przyjdź na pocztę* i:

- skorzystaj z bezpłatnego dostępu do Internetu
- czytaj bez ograniczeń e-czasopisma („Rzeczpospolita”, „Bloomberg Businessweek Polska”, „Sukces”, „Przekrój”, „Uważam Rze Historia”)
- wypróbuj tablet firmy **Samsung** – jeżeli chcesz go kupić, wystarczy złożyć zamówienie we wskazanej placówce pocztowej*

*dotyczy wybranych placówek pocztowych w lipcu i sierpniu 2013 r.



Partnerzy akcji:



SPORT.WP.PL
ZAWSZE Z TOBĄ



Czytaj **sport.wp.pl** w swoim smartfonie

